

*Człowiek jest mniej nieszczęśliwy, gdy nie jest nieszczęśliwy sam (H. de Balzac).
Doskonale wiedzą o tym bohaterki *Nie proszę o miłość*, które stawiają wszystko
na jedną kartę. Nie chcą być same. I nieważne, jaką cenę za to zapłacą...*

Natasza Socha, autorka *Biura przesyłek niedoreczonych*

NIE PROSZĘ O MIŁOŚĆ

Danuta Awolusi

Pascal

Danuta Awolusi

Nie proszę o miłość

Moim kochanym przyjaciółkom.

Z wami każda samotność boli mniej.

Obce

Rozdział 1

Hania

Jestem Hania. Taka sobie Hania. Moje imię kojarzy mi się właśnie z kimś „takim sobie”. Matka i ojciec mają odmienne zdanie.

Rodzice. Co mogą wiedzieć o dorosłej Hani?

Ostatnie miesiące, lata (całe życie?) miały prawo przyczynić się do niskiego poczucia wartości. Dlaczego taki farmazon przykleił się do mnie i pozostał? Etykieta. Jestem ometkowana.

Jestem Hania. Hania całkiem porządna, poukładana. Hania, która czuje się już zbyt zmęczona, by balować ze znajomymi do świtu, i zbyt energiczna, by odmówić pójścia na imprezę. Hania, która sama sobie wydaje się czasem nudna, a nudę widzi głównie w oczach rozmówców.

Jestem Hania. Tak często wypowiadam te słowa, że zaczynają mi przy tym drętwieć usta. Blokują się, bo ile razy człowiek może się przedstawiać? I ilu osobom?

Czasem krzyczę w myślach, wrzeszczę jak opętana: „Jestem! Słyszycie mnie? Jestem!”. Odbija się to echem w mojej głowie, bez odzewu. Miło sobie czasem pokrzyczeć. Poczuć, że się żyje.

Jest początek stycznia. Jestem tego pewna. Niedawno witałam nowy rok. Dobrze, że mam taki punkt zaczepienia, bo miesiące zlewają mi się w jedno, moją uwagę przyciąga jedynie zmieniająca się temperatura. Jesień, zima, wiosna, lato, dzień za dniem, taka sobie Hania żyje, bez sprzeciwu, poddaje się kolejnym miesiącom.

Stoję przed lustrem jak co dzień rano, jak prawie każdy człowiek, który musi gdzieś wyjść, pobiec, coś załatwić. Patrzę na siebie i myślę, że wyglądam jakoś blado. Wiem, co to za stan. To „mysiość”.

Mysiość jest czasoprzestrzenią, w której – mam wrażenie – udało mi się zbrzydnąć w ciągu jednej dosłownie nocy. Ciało chude, kościste, powyginane, jakbym dopiero co uciekła z frontu. Cera w lustrze razi bladością, rozległe cienie pod oczami ciążyą na wyrazie twarzy. Wąskie usta zbijają się w cienką linię, szczękę mam obolałą. Już ja dobrze wiem czemu.

Zaciskałam ją znowu całą noc, tak mocno, że zachodzę w głowę, jakim cudem nie wbiłam sobie zębów głęboko w dziąsła. Doprawdy, ludzki organizm jest wytrzymały. Ciotka ortodontka obiecała mi kiedyś załatwić specjalną nakładkę na szczękę. Mało mnie obchodzi nakładka, nie rusza mnie, że kosztuje fortunę i ogólnie... Ale jednak chcę mieć ładne zęby, jakaś część mnie dźwiga wciąż brzemię kobiecości. Ta część ciągle nalega i nalega, żebym o siebie dbała. Zmieniła majtki, wyprasowała bluzkę, sprawdziła, czy stanik się nie rozłazi, i wydepilowała pachy. Dobrze, proszę pani, zajmę się tym, tylko niech mi pani da już spokój.

Mysiość często mija, kiedy już wejdem między ludzi. Wystarczy, że moja stopa dotknie chodnika, a usta wypowiedzą pierwsze „Dzień dobry”.

Od razu lepiej, kiedy „taka sobie Hania” ma się do kogo odezwać.

Obudziłam się chwilę temu, jak zawsze rześka. Mój krnąbrny, całkiem rozre-

gulowany organizm budzi mnie za wcześnie. Od dwóch lat! Mechanizm jest prosty.

Świadomość daje mi sygnał, że to już koniec błędzenia w krainie snów. Czas zacząć dzień, wyznaczyć sobie cele, wypełnić go, jak najlepiej się da. Przekonanie, że należy najbliższe dwanaście godzin przeżyć z sensem, objawia się lekko drżącymi dłońmi i mocniej bijącym sercem.

Późno przyszedł sen. Późno i był zły... 1

1 Hey, [sic!], w: [sic!], Warner Music Poland, 2001.

W pracy mam być na dziewiątą.

Stoję boso w łazience, gapiąc się w lustro o piątej rano.

Zdążę jeszcze zjeść dwie łyżki owsianki i pójść na basen, jak zawsze od poniedziałku do piątku. Jak zawsze stanę pod drzwiami jako jedna z pierwszych, czekając na ich otwarcie. A potem zanurzę się w wodzie i zrobię dwadzieścia długości. Zawsze tyle samo.

Wsadzę moje kościste, koślawe ciało pod prysznic, świecąc nagością obok otyłej pani, która przychodzi na basen od roku i nie schudła dotąd ani kilograma. Mruzczy do siebie powitanie, ale nigdy nie rozmawiamy. Nie mam ochoty. Ona też nie. I to nam pasuje.

Dzień zaczęty. Zaraz wślizgnę się do metra, tuż przed siódmą, jeszcze nim cała Warszawa wleje się szarym, gęstym strumieniem do podziemi, opanowując wagony jak wygłodniała szarańcza.

A był taki czas, że wsiadałam do metra przed szóstą. Po co?

Zamykam oczy i widzę go. Moją nadzieję podpierającą drzwi w wagonie, choć to zakazane.

Rozdział 2

Ewa

Układam usta w dziubek i spoglądam w lustro. Są pełne i wydatne, choć nie-
tknięte żadną igłą czy skalpelem. Matka natura dzieli nierówno. Mnie dała skarb...

W oczach odbijają się łazienkowe lampy. Unoszę mocno zarysowane brwi
i przekrzywiam głowę. Dzisiejszy look zdecydowanie zasługuje na uwiecznienie.
Chwała i nieśmiertelność temu, kto wymyślił selfie. Dobrze zaczęty dzień to taki,
kiedy moje *alter ego* chce stać się po raz kolejny hitem mediów społecznościowych
i jeszcze zanim dojadę do metra, zebrać przynajmniej dwadzieścia nagród w postaci
polubień i komentarzy. Komentarze lubię najbardziej. To ma sens, wyraża emocje,
a te wzbudzam na pewno.

Krótką, rozkloszowaną spódniczka, sportowe buty. Bluzka i kolczyki połysku-
jące zwodniczo. Trzydziestka trójka, a wyglądam na dwudziestkę. Makijażu wiele nie
trzeba. Wystarczy pobieżne podkreślenie oczu albo mocniejsza szminka, a płęć mę-
ska zapomina wysiąść na właściwej stacji metra. Nie ułatwiam im zadania. Droczenie
się mam we krwi, to jak instynkt lwicy. Uśmiecham się, patrzę w oczy, a potem od-
wracam wzrok, bo wszystko ma swoje granice. Głównie moja ochota na zabawę.

Jestem Ewa. Ewa, co już swoje przeszła i wie, czego pragnie. Ewa, co chce
używać życia, bo, do cholery, ma się jedno.

Kiedy mój poranny look wędruje już w odmęty Internetu, by zapracować
na uznanie, zatrzymuję wzrok. Patrzę na nią. Na Ewę w lustrze. Ona poważnieje.
Myśl przenika szklaną taflę i ścianę łazienki.

Za tą ścianą leży prawnik od siedmiu boleści. Jeszcze nie zaszczycił świata
swoim majestatem. Śpi.

Mogłabym go obudzić. Kiedyś tak robiłam. Co to za „kiedyś” było, sama już
nie pamiętam.

On nie wie, co traci. Sukcesywnie, z każdym przespanym porankiem, milczą-
cym dniem i kłótlwym wieczorem, traci.

Już za chwilę nie będzie smakował moich wydatnych ust ani nie zajrzy w moje
ogromne oczy. Jeszcze moment, a będę stała w innej łazience. Nowa Ewa, wolna
Ewa. Ale tego jeszcze nie wiem. Przeczuję, bo kobieta taka jak ja nie będzie
wiecznie tkwiła w takim układzie.

Czuję, jak pod powieką zbiera się piekąca łza, słona zdrajczynie, ma ochotę roz-
mazać dopiero co nałożony tusz.

Nie mam teraz czasu na słabość.

Nie mam czasu na zabawę w miłość².

2 Ibidem.

Rozdział 3

Hania

O piątej rano lubię postać w łazience i zawiesić się na moment. Przed oczyma istna karuzela twarzy. Wspomnień. Ludzi, którzy byli przez chwilę, a teraz już ich nie ma. Tak nieznaczący, nierealni, jednak zapamiętani. Tak jak on. Chłopak z metra.

Wczesna pora, moja ulubiona. Jeszcze wrócę do tego, dlaczego taki ze mnie skowronek. Kiedyś zdarzyło mi się wsiadać do metra tuż przed szóstą. Ledwo wstało słońce. Wsiadłam, nieświadoma tego, że jedno spotkanie zmieni najbliższy tydzień w szereg wczesnych poranków.

Nadjeżdżający pociąg, huk, otwierające się drzwi. Nagle czuję czyjś wzrok. Atakuje mnie uśmiech chłopaka, który stoi pod drzwiami. Zastygam i myślę: „O matko. To on. Przeznaczenie. Te oczy. Takie łagodne, tak sympatyczne, ciepłe. Ktoś taki nie mógłby mnie skrzywdzić. I ten uśmiech. Jakby mnie przytulał już teraz, chociaż nawet go nie znam. Ale jestem jakoś pewna. Mogłabym iść przez życie z kimś takim, komu dobrze z oczu patrzy. Przystojny chłopak. Na pewno czuły i wyrozumiały. Partner, jakiego może potrzebować kobieta, która właśnie szykuje się na trzydziestkę”.

Zupełnie nie wiem, jak to się dzieje, jak działa ten mechanizm, ale widzę już siebie z bukietem kwiatów w ręku, jego przy ołtarzu, albo chociażby w urzędzie stanu cywilnego. Widzę NAS, a wokół moich przyjaciół, którzy z uśmiechem i podziwem odprowadzają piękną zakochaną parę.

Widzę, a wszystkie te obrazy przelatują mi przez głowę równie szybko, jak metro pokonuje stacje. Nie mam śmiałości podnieść głowy, a tymczasem przystanek Ratusz Arsenal wzywa mnie do wyjścia. Ostatnie spojrzenie, żeby się upewnić, że to nie przypadek, ale najprawdziwsze na świecie przeznaczenie. Istne powinowactwo dusz.

Tak. Patrzy na mnie, uśmiecha się. Nie spuszcza ze mnie swoich szafirowych łagodnych oczu, które tego poranka są piękniejsze niż cała wieczność wschodów słońca.

Nazajutrz wygłodzona wyobraźnia, która nie daje mi spokoju, budzi mnie o czwartej rano. Szepcze, że już za chwilę opowiem koleżankom o wyjątkowo romantycznej historii poznania mężczyzny w metrze. O tak, mój organizm, bez porozumienia z mózgiem, rozplanował wszystko. Poranny trening został przesunięty, aby można się było zjawić na stacji metra tuż przed szóstą i liczyć na spotkanie. A jeżeli to przeznaczenie, to na pewno uda mi się zobaczyć chłopaka ponownie.

Tuż po czwartej biegnę więc zamyślona ulicami Mokotowa. Organizm pompuje endorfiny jak szalony, jestem pobudzona, ale to nie z wysiłku. Całe ciało przeszło na tryb oczekiwania.

Tuż przed szóstą stoję na stacji metra. Mija mnie pierwszy pociąg. To taka zabawa: przeskanuj cały skład w sekundę! Pociąg nadjeżdża, a ja bez zastanowienia zaglądam za szyby w poszukiwaniu JEGO.

Nie ma.

Czekam więc na kolejny skład, to raptem niecałe dwie minuty.

Znów nie ma. Wciąż puste wagony dają niemalże stuprocentową pewność, że go nie przeoczę.

Trzeci pociąg i nagle sokoli wzrok, skupiony maksymalnie, wychwytuje jego obecność. Jest!

Wsiadam. Stoję naprzeciw niego. Uśmiecha się, patrzy na mnie. Mój wzrok utkwiony w podłodze na pewno nie pomaga w nawiązaniu znajomości, ale nie potrafię inaczej. Wsiadam po paru minutach, trzymając w ręce bukiet kwiatów i uważając, żeby nie podeptać śnieżnobiałej sukni.

Płyną dni. Jeden poranek – pudło. Nie ma go, choć mijają mnie aż pięć pociągów z rzędu.

Piątego poranka czekam cierpliwie, a polowanie zostaje nagrodzone. Jest chłopak. W czwartym metrze, tuż po godzinie szóstej. Tym razem więcej ludzi w wagonie, stoję bliżej.

Zbieram się na odwagę. Patrzę na niego. A on na mnie. Znowu podziwiam podłogę, ale nagle czuję, że on rusza z miejsca. Kościelne dzwony wybijają melodię, serce wali jak oszalałe, dłonie pocą się nieprzyjemnie. Jeszcze nie wiem, co powiem, jak przywitam miłość, jak to wszystko będzie, ale...

Ale, jak śpiewała Kayah, (...) *wyszło na jaw, że chodzi nie o mnie*³.

³ Kayah, *Na językach*, [w:] *Zebra*, BMG Poland, 1997.

Chłopak mnie mijają, podchodzi do jakiejś dziewczyny. Chyba dawno jej nie widział. Rozmawiają, ale ja już nie patrzę. Słyszę tylko, jak dzwony fałszują. Przepiękny bukiet z róż i storczyków nagle traci wszystkie płatki. Na podłogę metra opadają moje nadzieje.

Wsiadam. Wiem już, że koniec z porannym polowaniem na metro. W poniedziałek rano pójdę na basen, na szóstą.

Rozdział 4

Ewa

Poznałam go kiedyś na imprezie pracowniczej. To się musiało tak skończyć, bo w tamtym czasie, w tamtych okolicznościach był dla mnie idealny. Trzeba zrozumieć: nie zadaję się z byle kim.

Odganiam myśl, że może zołza ze mnie. Zarozumiała, nadęta sucz, ale...

Ale nie. Nie po to o własnych siłach, bez zaplecza finansowego i koneksji wyczołgiwałam się z domu na wsi, żeby teraz powiedzieć sobie dosyć.

Trzy lata temu spotkałam Rafała. Młodego, obiecującego prawnika. Jak to brzmi! Rój kobiecych spojrzeń, jaki go oblepił tego dnia, mógłby kogoś innego onieśmielić. Jeżeli jednak rodzisz się boski i wykuwasz swój sukces dzień po dniu, mało co może cię osłabić. Po prostu idziesz na imprezę w dobrze skrojonym garniturze, z lekkim zarostem i zawadiackim uśmiechem. Nawet nie musisz działać. Świat leży u twoich stóp. Świat, ale nie ja.

Ja rozgrywam te sprawy inaczej. Cała jestem jednym wielkim buntem przeciwko konwenansom i szufladkowaniu kobiet do klasy istot zbudowanych z emocji. Pokorne, cnotliwe? Tak, ale z wyboru. Mam wiele cnót, ale wiem, jak smakować życie i w jakich dawkach. Doskonale rozumiem, że zaspokajanie potrzeb i karmienie instynktów to jedyna droga do tego, by żyć w zgodzie ze sobą. Spełniona, zaspokojona kobieta może sięgnąć po wszystko. Po każdy sukces.

Biorę więc, co chcę. A chcieć, to MÓC. Rafała chciałam od pierwszej chwili, a droga do celu była wyjątkowo podniecająca. Jeszcze tego samego wieczora wylądowałam z nim w szatni, potem w samochodzie, a na koniec u mnie. Dokładnie tak jak w amerykańskich komediach.

Różnica polegała na tym, że rano chemiczna więź, zaprawiona naprawdę doskonałym seksem, nie osłabła. Zanim zjedliśmy śniadanie, zaspokoiliam wszystkie instynkty jeszcze kilkakrotnie. Rafał był godnym zawodnikiem. Nie wychodził z roli nawet na moment.

Cholernie podniecające.

Ogarnięty, zadziorny, przystojny. Dobrze zarabiający, inteligentny, stanowczy. Typ każdej kobiety na świecie, choć tylko nieliczne potrafią powiedzieć głośno, że O TO CHODZI. Tego pragną. Kogoś, kto je postawi do pionu, ale równocześnie uwiedzie. Kogoś, kto wie, kiedy kupić kwiaty, a kiedy jest odpowiednia chwila, by zedrzeć z niej sukienkę.

Rafał był kimś takim.

Był tym, który przez pierwsze tygodnie stał się dziką żądzą. Odezwał się we mnie jakiś nieznany wcześniej głód.

Rafał. Boski Rafał, ucieleśnienie fantazji snuty przed snem. Rafał, który jednym spojrzeniem sprawiał, że fala gorąca uderzała mnie w podbrzusze. Pożądanie to ja. Pożądanie, które znajduje ujście.

Nasz seks to było misterium. Od samego początku odkrywania swojej ciele-

sności nie bałam się szukać doznań, ale przy nim nie musiałam. Samo się znajdowało. Chodziło pewnie o Ewę – bezlitosną wampirzycę. Nienasyconą, dziką, poddaną instynktom, która w seksie z Rafałem znalazła słodkie ukojenie. Choć na moment, choć na chwilę czuła spokój, pewność, że nie błądzi.

A kiedy kładła się obok, słyszała, jak oddycha, czuła, jak szuka ręki. Jak chce wziąć w ramiona, jak nie pozwala zatrzeć wrażenia. Ta Ewa na chwilę postanowiła ułożyć się wygodnie i zasnąć. Zasnąć wieko krypty: szaleństwa, eksperymentowania, wiecznej zabawy.

Dlaczego nie? Stały partner. Ukochany. Facet. Mój chłopak.

Wszystko, co jest adrenaliną, daje mi mocnego kopa. To jeden z powodów, dla których unikam narkotyków. Mam wrażenie, że w połączeniu z moją osobowością chyba wystrzeliłyby mnie w kosmos.

To ja jestem narkotykiem. Lubiłam uzależniać. Rozpalać. Zostawiać na głodzie i wracać jak najbardziej wyczekana dawka.

Widziałam ten głód w oczach Rafała. Pragnął. Drapał. Brał. Zawsze z tą samą zapalczywością.

Jakaś część mojej drapieżnej natury tupiała nogą. Stabilizacja, stały partner i – uwaga, wielkie słowo – MIŁOŚĆ. Niby tego chciałam, ale...

Upoiła mnie myśl, że Rafał to ktoś, kto jest moją wizytówką. Kiedy pokazywałam go w towarzystwie, koleżankom buty spadały z nóg. On, wycięty z okładki piśma o modzie męskiej, obejmujący mnie w pasie, patrzący na mnie. I ja. Udająca, że to takie normalne, że dałam się ujarzmić, że oto ktoś, kto może stać u mojego boku.

Chciałam nieco wystygnać. Zamienić scenariusz *Seksu w wielkim mieście*⁴ na *Gotowe na wszystko*⁵. Z gorącej pogromczynie męskich serc stać się dziewczyną, która ranki spędza na picciu kawy, nago, ewentualnie obleczona w koronkowe majtki i koszulę swego faceta.

4 Bohaterkami są cztery wyzwolone singielki.

5 Bohaterkami są kobiety po trzydziestce, które można nazwać gospodyniami domowymi.

Mam zwyczaj przekuwania postanowień w czyn, więc tak się właśnie działo. Wiłam gniazdo w iście hollywoodzkim stylu. Jak na gwiazdę przystało.

Gdzieś po drodze doszłam do wniosku, że jest w tym wszystkim miłość. We wspólnych porankach i wieczorach. W weekendach i nocach. W nieustannym pożądanu i tym, że w tej materii pasujemy do siebie jak ulał.

Nie mogło być inaczej, skoro pragnęłam Rafała, włączyłam go do swojego świata i byłam mu wierna.

Moja miłość nie jest matematycznym równaniem. Urodziła się w zupełnie obcym środowisku, w którym rządzą zmysły i instynkt, ale ostatecznie kontrolę przejęła codzienność.

Byliśmy. Ta machina kręciła się szybko, a kiedy przystawała, łatwo było ją wprawić w ruch.

Nie zauważyłam rdzy, która pojawiła się od środka. Nigdy nie zaglądałam

do wewnątrz. To nie w moim stylu.

*

Kocha. Kocha. Kochał. A może jeszcze kocha. Dlaczego tego nie wiem? Czy wątpliwość oznacza brak uczucia?

Na samą myśl oddycham głębiej, a serce wali szybciej. To mi się nie podoba.

Kiedyś czas i okoliczności sprawiły, że ja pokochałam Rafała na pewno, nawet jeżeli nie wierzyłam, że mogę wykrzesać z siebie tak wymagające uczucie. Wymagające bo?

Bo miłość wyklucza. Daje w zamian sporo, ale oznacza pożegnanie się z jakąś częścią siebie.

Poczułam, że stoję przed wyborem. Być z nim, blisko, na co dzień. Tłumaczyć się ze swojego życia, planować wszystko, myśląc MY, uwzględniać drugą osobę w biegu, jakim jest życie.

Ktoś czeka na mnie w domu. Ktoś tęskni. Dla kogoś jestem ważna. Ale równocześnie muszę do tego domu kiedyś wrócić. Sama, nie z przygodą pod pachą. Muszę przewidywać, spowiadać się: gdzie, z kim, po co.

Oswajałam się z tymi nowościami stopniowo, aż w końcu zrozumiałam, że tak, tego pragnę. To jest ostateczny cel. Zostałam wychowana do życia w rodzinie i tkwiła we mnie myśl, że kobieta po trzydziestym roku życia powinna zmierzać ku ustakowaniu się. Nie dlatego, że takie są oczekiwania społeczne. Mam je gdzieś. Chcę się czuć bezpieczna. Chcę kiedyś budzić się u boku kogoś bliskiego i nie zwariować ze strachu, że jest się zbyt brzydkim i starym, żeby zbudować dom.

Wybrałam Rafała.

On wybrał mnie.

Trafiła mu się kobieta, która osiągnęła wiele, nie mając nic. Spełniła marzenia, startując od zera. Wyszła z głuszy do miejskiej dżungli i stała się jej panią.

Kiedyś usłyszałam w biurze, jak jedna suka powiedziała do drugiej:

– Ta Ewa to wyżej sra, niż dupę ma.

Nieładnie. Dosadnie i nieładnie, na dodatek kulą w płot. Dobrze wiem, jak mierzyć. Co mogę przeskoczyć, a gdzie mi jeszcze brakuje. Wiem, jak ochronić się przed ignorancją, zazdrością. Gram w grę, mając pod ręką zawsze jakiegoś asa. Nie ryzykuję, chyba że chcę stracić. Grunt to wyjść na swoje, zawsze z godnością.

Lubię się bawić, ale nie daję sobie w kaszę dmuchać. Nie pozwolę na przekroczenie postawionych przeze mnie granic, ale też nie waham się położyć serca na dłoni.

Wiem, jak pomóc, wesprzeć, ukoić. Wiem, kiedy przyjść z odsieczą i ogarnąć chaos zasiany przez kogoś innego. Wiem też, jakie mam braki. Wiem, że daję się ponosić przyjemnościom, ale... niech pierwszy rzuci kamieniem!

Taka właśnie trafiłam się Rafałowi. Świadomie ukształtowana. Ulepiona z dobrej gliny. I ja nie narzekałam. Rafał nie ustępował mi w niczym i to nadawało sens wszystkiemu. Swój do swego. Dwa ziarenka w korcu maku.

Zakochałam się i kochałam.

On się zakochał i trwał.

Zamieszkaliśmy razem. Po prostu – on już został. Nie wyganiałam. Mężczyzna w domu to dobry znak.

Gdybym miała teraz rozdzielić ziarno od plew, przeczesać dni w poszukiwaniu owej rdzy, która zaczęła infekować wszystko bez ostrzeżenia, mogłabym gorzko zapłakać. Z wściekłości.

Bo choć każde moje słowo może odmalowywać portret wyrachowanej, zbyt pewnej siebie i aroganckiej suki, to jednak w ten związek, w uczucie wpakowałam tę „lepszą siebie”. Nie zasłużyłam sobie na to. Nie z jego ręki. No chyba że ktoś uważa, że każda dojrzała kobieta, która nie boi się mieć osobowość, powinna przeżyć taki cios.

Czyżby?

Rozdział 5

Hania

Przesadziłam z tą suknią i kwiatami, z wyobraźnią i z działaniem. Na samą myśl o sobie, stojącej jak kretynka na stacji metra, robi mi się gorąco.

Nie, nie chcę, to wcale nie ja! Nie jestem zdesperowana, nienormalna ani nawet nachalna. Jestem po prostu samotna.

Coraz głębiej i rozpaczliwiej, coraz bardziej panicznie i coraz mocniej – samotna.

Obecnie z łatwością użalam się nad sobą. Kiedyś mocno się przed tym broniłam. Siedziałam w okopach i ani myślałam wychylić głowę. Teraz sama wyszłam na przedpole, pozwalając, by co chwila jakaś kula trafiała mnie i powalała na łopatki.

A czas nie zawsze leczy rany. Nieraz wykrzywia, przeżera, osłabia. Mnie się to zdarzyło.

Samotność, kiedyś tak naturalna i tolerowana jak każdy inny „problem”, z czasem stała się upiorem, który z całą radością usiadł mi na sercu i rozgościł się tam na dobre.

Skrzydłata bezwzględna bestia. Wiecznie głodna, wytrącająca z równowagi, wysysająca energię wampirzyca. Codziennie cięższa, waży tonę. Już nie potrafię oswoić się z tym, że jest, tylko myślę o niej i umartwiam się.

Jedyne, na co mnie stać, to przetrwać. Mogę żyć, funkcjonować, iść do przodu. Czasem czymś się cieszyć, odżywić nadzieją. Usłyszałam kiedyś, że tam, gdzie umiera nadzieja, zaczyna się pustka, która wprowadza w stan otępienia i choroby. Nie godzę się na przejście do świata cieni. Ale często mam wrażenie, że jestem blisko, niebezpiecznie blisko...

Depresja?

Nie, to nie moja broszka. Ja nie dam się wtłoczyć w taką przypadłość.

Depresja?

Nie, w żadnym razie. Jeszcze mogę wiele, wiele marzeń mam w głowie, wiele radości z najbliższych chwil. Wysysam je łapczywie i bardzo szybko, żeby choć na chwilę nasycić świat barwami. Udaje się. To, że jestem samotna, nie oznacza, że sama. Mam wokół siebie ludzi.

Depresja?

Nie boję się tego słowa. Po prostu cierpię na inną chorobę. Ponoć cywilizacyjną. Podobno tak mają młodzi, bo za szybko żyją, bo przedkładają karierę nad rodzinę, bo wolą najpierw zaspokajać swoje przyjemności, a dopiero potem myślą o zakładaniu gniazda.

Jakie szybkie życie? Jaki brak myślenia o rodzinie? Sięgam pamięcią do dwudziestoletniej Hani i widzę tam dziewczynę, która chciała tego wszystkiego. Ktoś napisał dla niej gorzki scenariusz, scena za sceną, coś nie gra. W fabule zgrzyta, świszczy, nie daje nadziei. To ja źle wybierałam? Czy byłam wybierana? Dałam się wybrać?

Teraz nie jestem ani wybrana, ani też nie należę do wybierających. Na pewno nie do przebierających. Taka ze mnie zwyczajna Hania.

Hanię nieco wymiętosilo życie. Żadna tam patologia czy kiepski start. Żadne wielkie dramaty. Ale jednak coś sprawiło, że moja uwaga musiała się skupić na wielu rzeczach jednocześnie.

Najbardziej „lubie” decydować o swoim „być albo nie być”. Stać na rozstaju dróg i zastanawiać się, która z kamienistych ścieżek ma szansę wyprowadzić mnie z mroku, a która jest zgubna. Jeżeli samotność jest chorobą cywilizacyjną, to znam jeszcze drugą: strach. Przyjdzie czas, że będę się mniej bała i ryzykowała coraz więcej, ale zawsze wbrew sobie.

Nie jestem bojaźliwa. Ale im więcej mam lat, tym więcej przybywa mi lęku. Wołałabym zmarszczki. Albo kilogramy. Cokolwiek.

Ze strachu człowiek robi różne rzeczy. Mniej dba o siebie, za dużo bierze na barki. Długo nie czuje ciężaru, jak heros dźwiga wszystko jednym palcem. Dopiero kiedy łamie się kręgosłup, prawda wychodzi na jaw. Herosi nie istnieją. Są tylko ludzie, którzy ukrywają prawdę tak głęboko, że sami nie mogą jej znaleźć. A ona ujawnia się zawsze w złym momencie. Najbardziej lubi pojawiać się wtedy, gdy jest już za późno. Po ptakach.

Tak to już jest, że o strachu i depresji myślę częściej, kiedy na weekend wybieram się do rodziców.

Matka wydzwania już od kilku tygodni. Muszę w końcu się zebrać i pojechać. Dobrze mi zrobi oderwanie się od Warszawy. Do innego świata, który widywany raz na jakiś czas bywa nawet miłym antidotum. To znaczy miłym do momentu, w którym nie napotykam zatroskanego wzroku mamy. A będzie to tak:

|SCENA I|

– Oj, Hanuś, ty moja Hanuś. I co tam w tej Warszawie słyhać?

Czytaj: „Masz już mężczyznę?”

– Nic, mamuś. To, co zawsze. Protesty, dużo samochodów na ulicach i zgiełk.

Mama tradycyjnie wywróci oczami, ale to nie koniec.

|SCENA II|

– Oj, Hanuś, jak ja to czekam, aż ty z kimś przyjedziesz. Coś tam się zadziało ostatnio?

– Nic, mamuś. Zupełnie nic takiego – odburknę coraz bardziej zniecierpliwiona.

Potem wchodzi trzeci aktor. Wkracza, sapiąc głośno, a mnie jak zawsze serce ściśnie się boleśnie.

|SCENA III|

– Tato...

– Hanuś moja, dawno cię nie widziałem! Tak mi się córunia w wielkim świecie zagubiła!

Rozczulam się często na takie słowa i tracę czujność, co jest katastrofalne w skutkach. Ojciec ma niezwykły dar uderzania w najczulsze struny duszy z precyzją osławionego wirtuoza.

– Hanulku moja ty słodka, ty to chyba potwornie samotna w tej Warszawie jesteś – mawia, a w jego oczach nie ma litości czy żalu, ale głębokie współczucie. Staram się nie patrzeć, ale tata rozbija mnie z łatwością. Przytulam się więc mocno,

myśląc: „Dobijasz mnie, tatulku”.

*

Tatulek i mamulka mieszkają na Podlasiu. I ja tam właśnie mieszkałam przez całe swoje dzieciństwo, do momentu, gdy zrozumiałam, że czas wybrać inną drogę niż rodzice.

Łatwo mi sięgnąć pamięcią do dawnych lat.

*

Choroba ojca, niezaradność matki, moje wieczne poczucie winy.

Ja – licealistka chodząca do szkoły ze świadomością, że trzeba coś zrobić, ratować ich jak najszybciej. Uciec przed biedą, ale lepiej wygonić ją z domu. Jak wielu ludzi z tych stron, kocham te oszałamiające pejzaże, łąny zboża, dróżki, gospodarstwa, lasy.

A jednak. Wieczorami, słuchając świerszczy za oknem i odganiając roje much, uciekam myślami do innego świata. Wiem, że chcę wyjechać. Do miasta, które ma autobusy, także nocne, zabudowane przystanki, tramwaje, może nawet metro. Do miasta, w którym do mieszkania wjeżdżasz windą, a balkon to twój jedyny ogród.

Wiem, że chcę zarabiać dużo pieniędzy, odciąć się, odnaleźć siebie. Nie patrzeć na kochanych ludzi, którzy nie radzą sobie w życiu, ledwo wiążą koniec z końcem, w tej swojej poczciwości stając się godnymi politowania.

Muszę się wyrwać, pomóc im, pomóc sobie. Przekonać się, czy ta prosta, nudna Hania może podbić świat i działać tam, gdzie nie ma łąnów zbóż, cykad, rzek i łosi wybiegających bez ostrzeżenia na drogę.

Żal mi tylko mojego brata, Kuby. Brata ciotecznego. Nie wychowujemy się w jednym domu, ale mieszkamy dosyć blisko. Jako jedynaczka zawsze miałam świadomość, że on wysłucha, pomoże, wesprze.

Dzieciństwo u boku Kuby mignęło błyskawicznie. Jak na rodzeństwo cioteczne byliśmy zawsze bardzo zgodni. Pokrewne dusze. Zanim mój ojciec zachorował, potrafiliśmy całe dni włóczyć się po bagnach, podglądać świat, podążać tropem wilków. Czasem po prostu siedzieć pod drzewem i rzucać kamieniami.

Kuba nie jest w stanie zatrzymać galopujących myśli. Zresztą, on doskonale wie, co się dzieje. Zna moje myśli, ale nikogo nie ocenia. Właśnie to uwielbiam w nim najbardziej. Magiczną, oderwaną od ludzkiej natury umiejętność nieoceniania innych. Zwłaszcza po pozorach. Nawet ja, w całym moim analitycznym myśleniu, nie potrafię tak zaufać i przyjąć stanu rzeczy bez narzekania.

Tymczasem już jako licealistka analizuję, czy zostać na Podlasiu. Zarabiać jak wszyscy. Prowadzić agroturystykę. Zostać przewodnikiem. Szukać pieniędzy, gdzie się da.

Nie chcę. Za blisko rodziców. Czuję, że się duszę. Tak im nie pomogę.

*

– A ty wiesz, Haniu, że ty imię masz po tej Hance z *Chłopów*? – mawia nieraz mama, która jest niesamowicie dumna, że tak to sobie wymyśliła. Reymontowska wieś, bardzo szczerą i niełatwą, bohaterką złożoną i ciekawą. I moje imię na cześć genialnego twórcy.

– Tak, mamuś – odpowiadam zawsze. – Dobrze, że mnie Jagna nie nazwaliście. Wtedy musiałabym nucić piosnki i ulegać miejscowym.

Ojciec za to, prawdziwy mistrz analiz literackich, dorzucił kiedyś taką refleksję:

– To by się, Hanulku, zgadzało. Zobacz, ta Hanka to taka szara, skromna myszunia była. Ale potem to ją życie zahartowało. I co? I wyszła z niej kobieta silna, najzaradniejsza, przyćmiewająca Jagnę!

To naprawdę nie fair z jego strony, że mnie z Hanką porównuje. Idąc tym tropem, widzę, że muszę zebrać od losu niezłe cięgi, żeby wydostać się ze skorupy zahukanej, prostej, nudnej dziewczuchy ze wsi.

*

Moi rodzice to ludzie, którzy dali mi nie tylko życie. W pakiecie dostałam sporo wiedzy, inteligencję, miłość do literatury, przyrody, innych ludzi. To, czego od nich nie chciałam przyjąć, to właśnie ta nieumiejętność poradzenia sobie z wymagającą rzeczywistością.

Kiedy ojciec zachorował, nikt z naszej trójki nie potrafił udźwignąć ciężaru. Brakowało i pieniędzy, i spokoju. Miłość musiała wystarczyć, żeby to wszystko jakoś posklejać. A Hanka licealistka musiała dojrzeć nieco szybciej i snuć nie marzenia, ale bardzo realne plany.

Tak więc, słuchając za oknem świerszczy, widziałam kilka opcji.

|SCENARIUSZ I|

Agroturystyka, łapanie się wszelkich sposobów zarabiania pieniędzy, zostanie równocześnie na Podlasiu.

PLUSY: Zostaję w rodzinnych stronach.

MINUSY: Potrzebny spory budżet na początek. Zostaję w rodzinnych stronach i duszę się...

|SCENARIUSZ II|

Studia, wyjazd do większego miasta. Podjęcie pracy i regularna pomoc finansowa dla rodziców.

PLUSY: Zmieniam otoczenie. Zmieniam siebie. Otwieram się na świat. Ratuję rodzinę.

MINUSY: Dźwigam na barkach brzemień utrzymywania siebie i innych.

Najchętniej studiowałabym polonistykę, może kulturoznawstwo... Turystykę? Nic już nie wiem. To, z czym kojarzą mi się pieniądze, to kierunki ścisłe.

Czasem te rozważania młodej dziewczyny wydają mi się naiwne. Mam ochotę nieco nią potrząsnąć i powiedzieć, cytując Mroźkowego Stomila: *No masz! Przecież ja cię cały czas namawiam: buntuj się*⁶.

6 S. Mroźek, *Tango*, Warszawa 2014, s. 54.

Na myśl o tym jakaś część mnie ma ochotę odpowiedzieć cytatem, który widnieje dosłownie wiersz poniżej: *Czy ojciec nie rozumie, że odebraliście mi ostatnią szansę?*⁷.

7 *Ibidem*.

I tak oto przyszłość zaczyna nabierać realnych kształtów. Marketing i zarządzanie. Kierunek, po którym możesz robić wszystko. Albo nic. Wyjeżdżam na studia.

Biorę ze sobą tylko to, co jest mi bardzo potrzebne. Sporą walizkę. Tyle zakrętników, ile rodzina zdołała zebrać na imprezie pożegnalnej. I kredyt studencki, który zaciągam po to, żeby od razu pomagać rodzicom.

Ciotka mieszkająca pod Piasecznem wie, jak jest. Przygarnia mnie na początek, daje mały kąt w mieszkaniu. Żywi. A ja kupuję bilet miesięczny strefowy, dojeżdżam na uczelnię i od pierwszych dni robię wszystko, żeby sobie poradzić. Mój cel nadrzędny: wysyłać złotówki, potem setki do domu. A jeszcze lepiej przywozić je osobiście.

Przyjmuję ten stan rzeczy nie jako brzemię, ale element życia.

*

Los jest w miarę łaskawy. Mam oczy i uszy otwarte. Daję sobie radę, coraz bardziej, lepiej, sprawniej. Już po trzecim roku studiów pracuję za niezłe pieniądze. Lawiruję, godzę dwa światy. Znajduję czas na wszystko. Prawie wszystko. Kto by się przejmował, że kroczę samotnie przez świat? Kto miałby czas na przelotne znajomości, randki, wdziękowanie się? Nie ja.

Zaczynam mieć przyjaciół. Tylko dwoje z nich przechodzi do grona tych prawdziwych. I tylko oni, Aśka i Kamil, wiedzą, jak żyję. Wiedzą i akceptują to, że wszystkie oszczędności wędrują ze mną na Podlasie. Wiedzą, że trzeba spłacać kredyt, że nie jeżdżę na wakacje, wypadki, czyli wszędzie tam, gdzie trzeba płacić.

Im to nie przeszkadza, choć może inni ludzie, ci niepoinformowani, mają mnie za wycofaną, skąpą, bezbarwną. Taką sobie Hanię.

W tych wszystkich latach kalkulowania każdego grosza pozwalam sobie tylko na jedno: samodzielne mieszkanie. Małe kawalerka, wyszperana na Mokotowie, niedaleko metra, kosztuje mnie tysiąc złotych miesięcznie. Do tego rachunki, media. Świadomość, że jestem samodzielna, wolna, dorosła, jest osłodą. Wolę być panią siebie i nie musieć dzielić przestrzeni z kimś obcym.

Asia i Kamil to para. Jasne, że proponowali mi wspólne mieszkanie. Czemu nie? Mam ochotę przemilczeć ten temat.

Otacza mnie mały chaos zaklęty w wielkim porządku. Wrażenie, że wszystko, co robię, jest obwarowane ryzykiem. Walczę o swój byt, o dom. Kiedy wsuwam mamie w rękę banknoty, zawsze czuję ulgę. Nie narzekam. Los daje mi w końcu całkiem niezłą posadę w korporacji. Asystuję, reguluję, pilnuję.

Trochę czasu zajmuje uwierzenie, że ta praca jest, będzie. Że dochód jest stały, jak w zegarku, a ja jako pionek nikomu się nie narażam. Jestem sobie. Taka zwyczajna Hania z biura, całkiem zaradna „spoko” dziewczyna.

Kiedy w końcu czuję, że wszystko zaczyna się układać, kiedy ostatecznie mogę powiedzieć sobie, że jest tak, jak planowałam...

Właśnie wtedy przeszywa mnie ból. Cholerna pustka. Duszność. Bezsens.

Zdumiona, rozglądam się wokół siebie i nie wierzę. Ta dziewczyna, która dała się wtłoczyć w rytm codzienności, to ja? Hania, która wychodzi po ośmiu godzinach z biura, to też ja? Czasem wpadnie do Aśki i Kamila, czasem pójdą razem coś zjeść albo do kina. Ma swoje pasje – zawsze znajdzie zajęcie. Ale coś nie gra. Brakuje kogoś. Ta potrzeba, zepchnięta w podświadomość, przykryta całymi tonami zmartwień,

w końcu zaczęła przebijać. Nieśmiało, cichutko, niezauważenie.

Nie usłyszałam jej na czas. Wyśmiałam, odgoniłam jak roje much z werandy rodziców. Więc wróciła. Ze zdwojoną siłą, wściekłością, rozpaczą. Nie jestem na nią gotowa.

Rozdział 6

Ewa

Umówmy się, że są faceci i są pizdy. Może jestem wulgarna, ale słownik nie zna lepszego określenia. No chyba że „cipy”, ale wychodzi na to samo.

Rafał na początku był facetem. Dosyć długo utrzymywał taki pozór, całkiem nieźle mu szło. Zdążyłam uwierzyć, że taki facet przy mnie to gwarancja zaspokojenia podstawowych potrzeb. A więc: bezpieczeństwa, dobrego, regularnego seksu, wzajemnego wsparcia, zrozumienia. I oczywiście chemii. Całej pieprzonej tablicy Mendelejewa. Idealnych związków nie ma? Jeżeli tak, lepiej nie być w żadnym. Lepiej nie nazywać związkiem czegoś, co nie przynosi kobiecie spełnienia.

Rdza w końcu wylazła. Coś zaczęło się psuć. Najpierw wrażenie, że jest nas jakby „mniej”. Więcej pracy, mniej bycia w domu. Mniej nas razem poza domem. Coraz więcej kłótni.

Skarpetki rzucone na podłogę i umywalka pełna zgolonego zarostu rodziły gniew. Ogarniała mnie furia, kontrola nie wskakiwała, jak zepsuty bieg. Jasne, że nie chodziło o skarpetki. Szukałam każdej okazji, żeby wyładować swój gniew, a było go coraz więcej.

Nic bardziej nie doprowadzało mnie do szału jak jego wieczne niezadowolenie. Jego roszczeniowa postawa. Jego milczenie. Jego odwracanie się do mnie plecami. Jego wyrzuty. Jego szukanie moich wad. Tak, mam wady. Jak każdy. Wcześniej bardziej mu pasowały.

Rafał chyłkiem wycofał się z łóżka. Coraz mniej seksu. W ogóle wszystkiego mniej: namiętności, pragnienia, ognia, pożądania. To, czego najbardziej nienawidzę w sobie, to fakt, że nie umiałam tego przerwać. Miesiące męczarni, z nadzieją, że może uda się coś naprawić.

Widzę się dzisiaj z Ingą. Inga może coś doradzi, miewa różne pomysły. A faceci jedzą jej z ręki. Nawet nie zostawiam karteczki: „Wrócę późno”. SMS-ów w ciągu dnia nie piszemy już prawie w ogóle.

Pizda, nie facet. Doprowadzi mnie to do ostateczności!

*

– Ewa, weź na luz. To tylko chłop. Znajdzie się na niego sposób. Pytanie tylko, czy ty na pewno chcesz to wszystko wskrzeszać?

– Inga, kurwa. Nie wiem sama, ale włożyłam w ten związek tyle czasu i tyle siebie, że nie odpuszczę. Poza tym...

– No, kochasz go jeszcze. Skąd ja znam tę śpiewkę?

– Nie tylko o to chodzi. Po prostu nie mogę znieść faktu, że nie ma już tego płomienia. Do cholery, najpierw bzykaliśmy się, gdzie się dało, kilka razy dziennie. Szalał za mną. Zadzierał mi kieckę nawet w knajpowych toaletach. Wszystko by mi dał. A teraz nagle zrobił się zimny. Ja pierdolę. Ja sobie nie zasłużyłam na coś takiego. Nie jestem mamuszką, co wkłada wielkie majty, przestaje się depilować

i tyje. Nie jestem paniusią, która zapomina, że ogień trzeba podsycać. On ma w domu boginię seksu i najbardziej ogarniętą babkę w Warszawie. Więc o co, do cholery, kaman?!

– A może coś zrobiłaś, o czymś się dowiedział? Widujesz się z kimś na boku? Nic mi nie mówiłaś, ale...

– Nie! Jestem święta, a za chwilę znowu stanę się dziewicą.

– Nie wiem, Ewka. Może zaskocz go jakoś. Dzisiaj. Jakaś kolacja, nieziemskie bielizna.

– Chodzę na co dzień tylko w nieziemskiej bieliźnie.

– No ale wiesz, kup coś nowego. Z pazurem. Niech na sam widok dostanie orgazmu.

– Kiedyś tak bywało.

– No właśnie. A jak to nie wypali, to ja już nie mam pomysłu.

– A ty jak?

– Jak to ja. Bzyknęłam się z młodszym. Ale bez sensu. W łóżku zajebiście, ale potem jakoś dziwnie. Może ja też zacznę myśleć o stabilizacji?

– Inga!

– Serio. Ostatnio jakoś tak zaczyna mi tego brakować. Czegoś na dłużej.

Przewracam oczami i myślę: „Ostatnio?! Inga, ty o tym marzysz, odkąd się znamy!”.

*

Jadę do domu. Z zamiarem gwałtu. Obciągnę mu siłą, jak będzie trzeba. A potem zmuszę do rozmowy. Wyduszę z niego, co się dzieje. Znajdę prawdę. Nie dam się traktować jak rzecz, niech jasno powie, co czuje.

Niech będzie facetem. Zdecydowanym i odważnym, który wie, czego chce. Kiedyś taki był. Gdzie się podział tamten facet?

Wiem, że przyjechał jakąś godzinę temu. SMS: *Jestem*. Potem drugi: *Gdzie ty?*. Jakby pisał do królowej lodu. Właśnie to mnie wkurwia najbardziej.

*

Siedzi przy biurku. Praca, praca, praca. Jasne. Kiedyś wieczorami wcale nie było pracy. Staję przed nim i długo się nie zastanawiam. Ściągam sukienkę. Jestem dla niego: w szpilkach i bieliźnie wartej sześćset złotych.

Patrzymy na siebie przez chwilę. A potem jest dobrze.

Rafał wstaje i przyciąga mnie do siebie. Nawet nie wiem, kiedy ląduję na kanapie. Jego palce wbijają się w ciało. Dociskam je mocniej, chcę, żeby się wryły, żeby zostawiły po sobie ślad. Słyszę, jak dyszy z pożądania. Wyłączam myślenie. Istota seksu, jego cudowność, polega właśnie na tym. Czysta rozkosz. Słodkie zapomnienie. Przez chwilę stajesz się radosnym hedonistą. Pieszcząc zmysły, czujesz elektrowstrząsy. Orgazm przychodzi tak łatwo, jak się dostaje dorodne pomidory na targu. Pisk w uszach i triumf to zwieńczenie akcji.

Nie czekam na refleksje, same przychodzą. Zerkam na niego, przyglądam się twarzy. Nie podoba mi się jej wyraz. To nie to! Brakuje kociego zadowolenia, spojżenia marzyciela. Jest za to dziwne zmęczenie i pustka. Jakbym zaglądała w opuszczone tunele. Czuję, jak jęk zawodu przeszywa cały mój umysł. Zapominam o unie-

sieniu. Kontrolę nad moim ciałem przejmuje popularny wkurw. Tyle że doprawiony ogromną dawką agresji.

Mam pragnienie: chcę go rozszarpać. Pragnę najbardziej na świecie zetrzeć z jego gęby ten kretyński wyraz pustki. Ile można?! I co jeszcze można?! Świerzbiam mnie dłonie. Zanim zrobię użytek z paznokci, zrywam się z kanapy i ruszam do łazienki. Targa mną siła tak nadludzka, że kiedy trzaskam drzwiami, huk roznosi się po całym budynku. Ściany drżą, a drzwi mało nie wypadają z futryn.

Ale to nie koniec. Muszę coś rozwalić. Wiem, że jeżeli za chwilę coś nie pójdzie w drzazgi, poleje się krew. Wściekłość, nienawiść, frustracja buzują we mnie. Wyglądam jak wilkołak przed transformacją. Emocje wyłazą ze mnie, przedzierają się przez mięśnie i nie dają spokoju.

Kuferek z kosmetykami. Idealny cel, pocisk emocjonalny. Drzwi otwierają się same, a różowe pudło, pełne szminek, podkładów i pudrów, zalicza lot przez całe mieszkanie. Naprawdę nie wiem, jak to możliwe, ale kufer roztrzaskuje się o ścianę z taką siłą, że nie zostają po nim nawet drzazgi. Różowe zgłiszcza dymią. W powietrzu wirują drobinki pudru i złocistego rozświetlacza.

Ja też dymię. Takiego upokorzenia chyba jeszcze nie doznałam. A może po prostu tego nie pamiętam. Zostaję w łazience. Opieram się o ścianę. Dobrze mi tu. Łazienka jest moja, póki będę miała taką potrzebę.

Rozdział 7

Hania

Co potrafię robić?

Śpiewać, tańczyć, rzeźbić? A może stepować lub wcielać się w role?

To ostatnie można nawet rozważyć, bo rzeczywiście grywam przeróżne postacie. Siłaczki, idealnego pracownika, dobrej przyjaciółki. Świętoszki. Kochającej córki. I tej, która się poświęca, bo tak trzeba i takie ma pragnienie.

Żadna z tych ról nie potrafi wypełnić pustki, która wdziera się w moje życie. Po skończeniu studiów, zdobyciu stabilnej pracy, uwiciu swojego gniazdka w stolicy staję przed lustrem o piątą rano i czuję, że nic nie ma sensu.

Bez sensu, bez smaku, bez polotu. Moje odbicie samo się zniekształca. Patrzę na swoje ciało, na twarz, na włosy. To wszystko jest jakieś nijakie, bez fantazji i tajemnicy. Myślenie o tym jest męczące i psuje mi nastrój. Wychodzę z domu ociężała, powłócząc nogami. Wlokę się do metra.

Mam taki dziwny zwyczaj, że do biura przychodzę wcześniej. Nie piętnaście ani nie dwadzieścia minut przed czasem. Najczęściej całą godzinę.

Kiedy zaczynałam, nasza kierowniczka biura podeszła do sprawy wyjątkowo nieufnie. Sama codziennie musiała być dużo wcześniej, bo kilku programistów, rozsiansych po piętach, także lubiło pracować od świtu.

Nie wiedziałam, że aż tyle mnie łączy z facetami, którzy żyją w alternatywnej rzeczywistości i ledwie rejestrują upływające doby. Nasz szef wolał, aby ktoś jednak ich „pilnował”. Pewnie założył, że w razie pożaru po prostu spłoną przy swoich biurkach, nie odrywając dłoni od klawiatury. Też tak uważam.

– Kobieto, co ty robisz w biurze o siódmej trzydzieści? – zapytała, widząc mnie po raz pierwszy.

Co robię? Otóż w sumie nic, a na pewno nie pracuję. Przychodzę sobie, wkraczając w obszar ciszy. Witają mnie puste blaty, podsuwane krzeselka, monitory, a w kuchni warkot lodówki. W powietrzu unosi się zapach wykładziny i plastiku. Mijam biurową dżunglę i moszczę się na swoim miejscu, niespiesznie włączając komputer. Coś mnie koi w tym pustym otoczeniu. I wiem dobrze co – obietnica, że lada moment zaczną tętnić tu życie. Dosłownie za chwilę korytarze wypełnią się ludźmi, którzy podzielą się na dwie grupy.

Jedna, ta mniejsza, rzuci się do biurek, przeglądając tonę poczty, wpisując w kalendarz tysiące spotkań i wykonując mnóstwo telefonów.

Druga zakorkuje kuchnię, spędzając przynajmniej godzinę na parzeniu kawy, przygotowywaniu strojnych kanapek, gawędzeniu i ustalaniu menu na lunch. Dopiero koło dziesiątej to biurowe życie zaczną skupiać się głównie na pracy.

A ja? Zanim jeszcze przywitam ten tłum korporacyjnych przyjaciół, poprzeglądam sobie pocztę, wypiję kawę, sprawdzę, co słychać w świecie. Zupełnie sama, ale nie samotna, bo przecież czekam na ludzi, którzy będą mnie otaczali przez kolejne godziny. Czekam na nich jak na członków rodziny. Muszą tu przyjść. Taką mają rolę.

*

Nie żebym jakoś szczególnie kochała ludzi z mojego biura. Z nikim nie nawiązałam głębszej relacji, nikt nie stał się przyjacielem. Mamy tu cały przekrój osobowości. Inteligentów, zniszczonych pracą managerów, przeżartych ambicją, aroganckich dupków, ludzi kreatywnych, mądrych i kilka zagadkowych pań. Czy dostały pracę za ładne oczy, czy przez przypadek? A może korporacja specjalnie zatrudnia pustaki, żeby konstrukcja była bardziej stabilna?

Miałam przyjemność siedzieć blisko dwóch takich. Potem stwierdziłam, że chyba istnieje granica umartwiania się i zmieniałam biurko.

Nazwałam je w myślach Pixie i Dixie. Obydwie całkiem ładne. Kreska na powiece, włosy błyszczące, noski zadarte. Usta skrzące się ponętnie błyszczkiem. Typ kobiet, wokół których unosi się mgiełka perfum i które śmiesznie piszą na klawiaturze, bo długie paznokcie skutecznie im to utrudniają.

Przez jakiś czas było nawet zabawnie. Dziewczyny uwielbiały rozwodzić się nad swoją tuszą i szukać rozwiązania na pozbycie się „balastu”.

Agnieszka, wysoka i szczupła blondynka o urodzie isticie dziewczęcej, narzekała najgłośniej. Unosząc wzrok do sufitu, zwykła mówić:

– Nie mogę! Nie mogę schudnąć. Ja już nie wiem sama, co mam robić. Na siłkę chodzę, marchewki wpierdzielam i nic. Ani grama tłuszczu mniej! – Po czym spuszczała zboląły wzrok, oczekując współczucia.

Innego dnia Aga z widelcem zanurzonym w wielkiej misce z sałatą lodową oznajmiła:

– Ja przeczytałam wczoraj, że jak się je dużo łososia, to się ma niskie IQ! Nie będę go już jadła, a szkoda, bo lubię taką rybkę.

Nic jednak nie było w stanie przebić analizy ćwiczeń na mięśnie brzucha:

– Ej! A wiecie, że jak się robi brzuszki, to talia znika? Mówię wam, wczoraj obczaiłam na portalu. Mięśnie rosną i nie ma wcięcia! Od teraz koniec z brzuszkami. Koniec!

Aga nie była wcale głupią dziewczyną. Miło było z nią czasem pogadać. Znała się na swojej robocie, a jako specjalista od PR chyba musiała mieć nieco oleju w głowie. A jednak, podobnie jak w przypadku wielu innych koleżanek z biura, Agnieszka uwielbiała wyciągać na światło dzienne rzekome wady, rozwodzić się na temat diet, doszukiwać się w swoim ciele całego spektrum niedoskonałości. „Czuję się taka... monstrualna”. Oczywiście Aga nie miała z monstrualnością nic wspólnego. Miałam ochotę jej to powiedzieć. Prosto w twarz. Bezczelnym tonem, na taki sobie zasłużyła.

Przesiadłam się w momencie, kiedy zrozumiałam, że próbuję się do nich porównywać. Do takich właśnie kobiet, które niby są śmieszne, rażą teatralnością i męczą gadaniem, ale jednak roztaczają urok. Zadbane, skupione na sobie i spełnione – takie sprawiają wrażenie.

Stojąc w firmowej toalecie, zerkałam w lustro na swoje ciało. Chude i kościste, jakbym miała niedowagę. Twarz blada, a włosy – choć pielęgnowane na wszelkie sposoby – cienkie i bez wyrazu. Przez myśl przeszło mi parokrotnie, że coś musi być nie tak, skoro one mają facetów, a ja nie.

Chyba będę jadła więcej łososia, może IQ się obniży i świat stanie się prostszy?

*

– Jeśli chcesz, to sobie przychodź na dziewiątą, a ja będę pilnowała naszych programistów – proponuję nieśmiało. Obecność kierowniczkii biura wcześniej rano to dla mnie przeszkoda. Patrzy na mnie przez chwilę jak na idiotkę, ale w końcu zauważa korzyść dla siebie.

– Nie no, jasne, czemu nie. Ale na pewno będziesz?

– Na pewno. Jakby coś się miało zmienić, dam znać wcześniej.

Już ma odchodzić, kiedy wyrywa się jej:

– A ty masz jakieś problemy? No nie wiem, spać nie możesz czy jak?

Śmieję się tylko i mówię, całkiem niezgodnie z prawdą:

– Nie, no skąd, taki ze mnie ranny ptaszek!

*

Całe lato budzę się mniej więcej o czwartej rano. Najpierw lekkie kołatanie serca, jakbym się czegoś bała. Potem szybka analiza: jaki dzisiaj dzień tygodnia?

Dni zaczynają wyglądać tak samo. Budzę się, ćwiczę. Idę do pracy. Albo i nie. Jeżeli nie, zastanawiam się, czy chciałam jechać do rodziców, czy zostać, czy jest jakiś plan na weekend, czy trzeba coś wymyślić.

Szybko, bo ryzyko pozostania ze sobą sam na sam jest po prostu nie do zniesienia. Poniedziałek czy środa, piątek czy niedziela – każdy dzień wydaje się jednakowo bez sensu.

Parę miesięcy temu, być może za sprawą koleżanek z pracy, a może wsłuchana w wewnętrzny głos, postanawiam zacząć uprawiać sport. To naprawdę dobry pomysł, bo jako żołnierz, który walczy z osamotnieniem, potrzebuję musztry. Czegoś stałego, co na mnie czeka, co da się zrobić i co odciągnie uwagę od wielu rzeczy.

Postanawiam spróbować wszystkiego. Niczym się nie ograniczać. Biegać, pływać, dźwigać, skakać. Mierzyć się z własnym słabym ciałem i osiągnąć sukces.

Wokół mnie, każdego dnia, pojawia się tłum biegaczy. Ludzi, którzy mają w nosie totalnie wszystko. Są skupieni tylko na sobie i na tym, co robią. Czasem wyglądają dziwnie, czasem groteskowo, a czasem nadzwyczaj dobrze. Kolorowe stroje, drogie buty, śmieszne czapki, gadżety, telefony...

Ja też tak mogę i chcę.

Biegnę. Kilka razy w tygodniu, czasem codziennie. Biegnę ulicami Mokotowa, szybko znajduję swoje ścieżki, swoich ludzi, którzy mnie pozdrawiają, i swoje psy, które mnie gonią.

Biegnę i czuję, jak w głowie zaczyna się niesamowity proces przeglądania przeróżnych myśli, wizji, refleksji. Obrazy układają się w pokaz slajdów, nad którym nie panuję. A ja i tak biegnę. Wietrzę głowę. Kiedy przystaję, zmęczone ciało odciąga uwagę od wszelkich zmartwień.

O tak, treningi z tygodnia na tydzień stają się coraz trudniejsze. Czasem, kiedy budzę się i od razu jestem zmęczona, wybieram basen. Po pracy siłownię. Znalazłam całodobową. Przydaje się, zwłaszcza zimą.

Trenuję, trenuję, trenuję. To zabiera mój czas, dwie, nawet trzy godziny. Daje mi cel, nadaje minutom sens. Nie całemu życiu, ale liczy się każda sekunda. Jakaś część mnie wie, że ćwiczę za dużo, że przetrenowanie to wcale nie bełkot specjali-

stów, ale mnie to nie rusza.

Robię swoje i rozpaczliwie łapię się normalności. To mój sposób, żeby nie zwariować, nie zgorzknąć i nie dać się wepchnąć w żadną szufladkę.

Singielka, stara panna, karierowiczka – takich określeń czasem używa się za moimi plecami. Wiem to. Najczęściej czytam w myślach – przecież oczy to zwierciadło duszy.

Sport wożę ze sobą jako bagaż priorytetowy. Fantastycznie biega się w rodzinnych stronach. Po polach, piaszczystych ścieżkach, lasach. Ludzie ze wsi przyzwyczajeni są do biegających turystów, ale mnie się trochę dziwią. Podobnie jak temu, że jeszcze nie mam męża i dwójki dzieci.

Z odsieczą przybywa Kuba, który łapie bakcyła biegacza w mig. Szkoda, że nie ma go w moim świecie. Nadajemy na tych samych falach, zawsze tak było.

Ale Kuba został. Kiedyś na chwilę, za miłością, pojechał do miasta. Wrócił po pół roku jak zbity pies i chyba uznał, że tam go nie chcą. A może się obraził na wielki świat – to moje zdanie.

Kuba z kobietami bywa. Czasem jakaś turystka, czasem miejscowa. Zdarza się, że na dłużej, ale częściej nawet nie zdążę wysłuchać od matki wszystkich plotek, a sprawa się kończy.

Znajduję w tym pewne podobieństwo do siebie, ale nie lubię tych porównań. Przystojny, ciepły Kuba z iskierkami w oczach to ideał żeńskiej populacji na całym globie. Nie ma szczęścia. Jego samotność to przypadek, wielokrotnie powtarzający się, bezmyślny, niezależny przypadek.

Kiedy razem biegamy, milczymy.

Lubię słuchać wtedy muzyki. Na mojej playliście tłoczą się setki utworów, ale jeden towarzyszy mi zawsze. Katuję [sic!] dzień w dzień i mam wrażenie, że głos Nosowskiej, jego zardzewiały ton i przedziwna rozpacz, jest jak tuba, która nagłaśnia moje myśli. Całe obolałe.

Nie dobijaj się

Nie otworzę ci

Nie wyglądam dziś przesadnie ładnie

Późno przyszedł sen

Przyszedł i był zły

Nie mam siły na zabawę w przyjaźń⁸.

8 Hey, [sic!], w: [sic!], Warner Music Poland, 2001.

Rozdział 8

Ewa

Pełna godność. Podejdę do sprawy z godnością, bo nie mam siedemnastu lat, żeby zachowywać się jak rozhisteryzowana Julia. Zero Julii. Ja jestem Balladyna. Nie morduję (jeszcze) i nie mam żądzы władzy (na pewno?), ale jestem babą z charakterem. I lepiej ze mną nie zadzierać.

Gdzie on? Chyba w łózk. Chociaż... Nie. Pewnie skoro świt wyszedł z domu. Albo zniknął wieczorem. Nie wiem. Dopiero co opuściłam twierdzę. Nie mam się czym umalować, muszę wyszukać coś w ruinach.

A tu proszę. Rafał siedzi przy stole. Centrum dowodzenia w komplecie. Tablet, prasówka, kawa. Ja nic nie przełknę, ale okazywanie słabości nie leży w mojej naturze.

Panuje idealna cisza. Nie ma „Cześć” ani nie ma „Spierdalaj”. Wyciągam więc masło. Kromkę chleba. Ser. Wędlinę. Kroję pomidor.

Siadam. Smarowanie kromki zaczyna się całkiem nieźle. Jedna warstwa. Druga warstwa. Trzecia. Strasznie grubo. A co tam. Czwarta warstwa niech będzie.

– Ewa.

– Tak mam na imię.

– Chyba... Chyba wiesz. Co?

– No chyba nie wiem, ale zaraz się, kurwa, dowiem.

– Nie daliśmy rady. Ty i ja.

– Co ty pierdolisz? Ja nie dałam rady? – Nóż drży, masło topi się w palcach. Oby nie wylądowało na jego twarzy. Pilnuj się, już dosyć demonstracji. Pamiętaj, przede wszystkim godność!

– Spakowałem rzeczy. Poza tymi z łazienki...

– Super.

– Posłuchaj...

– Słuchać mogę. Łaskawca w końcu postanawia przemówić.

– No właśnie. Przez ostatnie miesiące nawet nie zapytałaś, co mi jest. Dlaczego... dlaczego to wszystko się dzieje.

Z wściekłości aż odbiera mi mowę.

JA MIAŁAM DOCIEKAĆ, CO JEMU JEST. Traktowana jak rzecz.

– Słyszałaś kiedyś o czymś takim jak depresja?

– No, kurwa, teraz to pojechałaś!

Wstaję. Wychodzę!!! Nie będzie mi szmaciarz wyjeżdżał ze łzawą historią o depresji. Co to jest depresja?! To wymysł psychologów, którzy za godzinę słuchania cudzych bredni zgarniają sto pięćdziesiąt złotych! To ideologia słabeuszy, którzy szukają wymówki. To nie mowa faceta, tylko pizdy!

Niech zniknie. Niech się wynosi. Depresja, proszę państwa, jeżeli naprawdę istnieje, może dotknąć samotną matkę z trójką dzieci. Bezrobotną. Może dotknąć chorego, któremu odliczają dni życia. Może spotkać kogoś, kto stracił robotę i nie

może znaleźć nowej.

Ale jakim cudem może zdarzyć się facetowi, który wygląda niczym Adonis, ma znakomitą pracę, pozycję, pieniądze i cudowną, seksowną dziewczynę?!

To nie depresja. To kłamstwo! Nie może mi powiedzieć prawdy? Znudził się? Może znalazł kogoś innego. Może jest niedojrzałym dupkiem. A może tylko pizdą.

Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Spakował rzeczy?! To jazda.

*

W tle słyszę krzątanie. Drukarkę. Siedzę znów w łazience. Moja twierdza! Czekam, aż wyjdzie. Wyjdzie i już nie wróci. Nareszcie. Koniec udręki. Nowy rozdział, prawda? Koniec duszenia się z kimś, kto nie ma ochoty starać się, okazywać zaangażowanie i doceniać mnie. Mnie!

W końcu drzwi się zamykają. Nastaje spokój. Tylko w mieszkaniu, bo wokół mnie, póki co, panuje chaos.

W kuchni na stole znajdują klucze. Jego klucze do naszego mieszkania. I kartki, złożone. Na jednej ręcznie napisana wiadomość. Na drugiej tekst. Artykuł, wydrukowany z Internetu. Uhm. A więc edukacja na „do widzenia”. Lekcja zamiast „żegnaj”.

Nie daliśmy rady. Przepraszam. Ale nie zapytałaś nawet raz czemu. Podjąłem terapię. Dostałem leki. Walczę. Myślę, że nie chciałybyś taplać się w tym bagnie, więc nie prosiłem o nic.

Widać tak miało być.

R.

Artykuł nosi tytuł: *Kiedy druga strona woła o pomoc*. Przebiegam oczyma pierwsze wersy:

Depresja u partnera. Dotykająca dorosłego człowieka, któremu pozornie nic nie brakuje. Dla jednego związku będzie nowym etapem, umocnieniem, dla drugiego: bolesnym końcem. Jedna strona woła o pomoc, ale równocześnie nie chce jej przyjąć. Druga chce lub nie chce pomagać. Musi się zmierzyć zarówno z poczuciem osamotnienia i strachu, jak i widokiem cierpienia u ukochanej osoby.

O matko jedyna. Psychologiczny bełkot wydrukowany prosto z internetowych odmętów. Najpewniej ze strony: www.jestempizda.com.

Drę te brednie na drobne kawałeczki. Precz ode mnie! Precz!!

*

– Depresja? Neeee no, nie ma takiej opcji! – Inga zaciąga się papierosem i patrzy na mnie uważnie. – Chyba mu nie uwierzyłaś?

– Jasne, że NIE. Pewnie ma kogoś na boku albo zachciało mu się nowości. Nie obchodzi mnie to, kurwa, nic a nic!!

– No przecież! Ewka! Idzie nowe. Będzie zajebiście!

Butelka wina zaraz pęknie. Powietrze jest aż gęste od dymu. Nie ma tu miejsca na lody śmietankowe, łyzy i oglądanie *Titanica*. Nie tak inauguruje się kolejny etap życia. Ja dopiero zaczynam żyć.

– Inga, kochałam skurwiela, mówię ci.

– Pewnie, że kochałaś. Bo jesteś dobra, najlepsza, najzajebistsza na świecie!

- Ale dosyć. Nie chciał, jego strata.
- Jego! Jeszcze będzie błagał.
- Nie ma opcji na powroty. I wiesz co?
- No?
- Teraz to będzie dzika jazda. Będzie *sex and rock'n'roll!*
- Bez *drugs?*
- Co ty mnie, Inga, za kretynkę masz? Alko mi wystarczy. Jak się bawić, to świadomie. Nie tylko faceci mogą wydupczyć cały świat. Ja też mogę i będę, bo tak mi się podoba.
- Bosko! To jak? Idziemy do klubu?
- Dziś czwartek, kobieto, nie ma szans. Ale jutro... Noc należy do nas.
- I na serio, nie będziesz po nim ryczeć?
- Naoglądałaś się *Bridget Jones*. Inga, ja nie jestem żadna Bridget. Druga butelka pęka. Za to ja trzymam się świetnie.

*

Czy to bunt? Szał pizdy? Chcica? Wyładowanie? Co mnie to obchodzi?! Ważne, że wiem, czego chcę. I wiem, czego zupełnie nie chcę.

Na przykład nie chce mi się płakać. Za to chce mi się seksu, adoracji i flirtu. Chcę znowu poczuć, że jestem tego wszystkiego warta. Najbardziej warta we wszechświecie. Chcę czuć, że moje ciało i umysł to najgorętszy towar, który będzie rzucał facetów na kolana.

Użalenie się nad sobą zostawię byłemu. Niech się Rafałek dobrze naćpa tymi lekami. Jak sobie uświadomi, co zostawił – wtedy zacznie się depresja!

A potem, kto wie? Jak się już pobawię, może się z kimś związę. Z kimś, kto ma jaja i umie ogarnąć wszystko. Z kimś, kto nie drukuje kretyńskich artykułów z Internetu.

– Jestem nieczułą suczą? – pytam pijaną Inge. Mnie jakoś nie szumi w głowie. Kilka kieliszków wina i zero reakcji...

– O czym ty gadasz? Przecież to on cię zostawił!

No właśnie. On mnie. Nie ma więc czego żałować i rozpamiętywać. Jak sam napisał: widać tak miało być.

Rozdział 9

Hania

Aśka i Kamil. Razem od pierwszego roku studiów. Rachuciachu. Zobaczyli się na korytarzu. I już coś było, nic porozumienia, sporo chemii... Dzwoneczek. To ona! To on! I tak już na zawsze razem. A przynajmniej tak to wygląda.

Jako para i jako dwoje ludzi stali się częścią mojego świata. Dzisiaj to nie mogłoby się udać, ale na pierwszym roku byłam jeszcze daleka od świata udręk.

Aśka. Rozchichotana, gadatliwa, wszędzie jej pełno. Serce na dłoni. Dużo mówi, ale potrafi słuchać. Kamil. Równy facet. Zaradny życiowo, z celami i pomysłem. Bycie „ogarniętym” to obecnie chyba najbardziej pożądana cecha na świecie i on może się takową poszczycić.

Zamieszkali razem po pierwszym roku, w sumie niedaleko mnie. Dwadzieścia minut piechotą. Widujemy się razem lub osobno. Czasem, jak nie ma Aśki, idę na piwo z Kamilem. I odwrotnie. Każde z nich inaczej patrzy na moje życie, choć obydwójce, bardzo zgodnie, starają się nie dawać mi złotych rad.

Nie narzekają, że nie wydaję pieniędzy, nie jeżdżę na wypadach, nie pozwalam sobie na zbyt dużo. Nie marudzą, kiedy z imprezy wychodzę wcześniej, bo o dwudziestej trzeciej jestem już po prostu trupem. Wolę tak. Tracić przytomność z przemęczenia i szybko zasypiać. Skracać dzień, jak najbardziej się da.

Czasem się przed nimi otwieram, ale ostatnie miesiące zaczynają zmieniać wszystko. Nie chcę się dzielić opowieścią o demonach i udrękach. Brzydzi mnie myśl, że ktoś poczuje się zobowiązany do ratowania mnie. Bo jak pomóc? Jak pocieszyć? Kiedy myślę o tym ostatnio, widzę, że Aśka i Kamil bardzo dbają o to, żebym nie była sama. Zwłaszcza w ważnych momentach.

Jedziesz z nami na sylwestra? Co robisz w majowy długi weekend? Na święta na pewno jedziesz do rodziców? Możemy w walentynki gdzieś wyskoczyć we troje?

Bronię się, ale często przyjmuję taką formę opieki. Tylko na walentynki nie dają się namówić. Od dziesięciu lat.

*

Mam swój sposób na rewanż dla nich. Dwa, trzy razy do roku biorę ich do siebie, na Podlasie. To kapitalne rozwiązanie. Oni po prostu szaleją na punkcie piękna przyrody. Moja para Werterów, co to może wzdychać do każdego źdźbła trawy. Ja z kolei nie czuję się wówczas piątym kołem u wozu. Są rodzice, jest Kuba. I tysiące miejsc, które znam, do których mogę pójść. Nie muszę się spowiadać, tłumaczyć.

Usłyszałam kiedyś, że na Podlasie jedzie ten, kto szuka samotności albo przed czymś ucieka. Rzeczywiście: tutaj bycie samemu nie jest niczym niezwykłym. Po prostu, natura też jest milczeniem. Jeżeli chcesz żyć z nią w zgodzie, musisz się wyciszyć.

W sezonie letnim planujemy więc sobie przynajmniej tygodniowy pobyt. Nie pozwalam im za nic płacić. Za to matka ma szansę wykazać się jako kucharka. Pełnia

szczęścia.

Pakujemy się, zatrzasujemy bagażnik samochodu i po paru godzinach jesteśmy. W innym świecie, w innej rzeczywistości. Teoretycznie w moim świecie, choć coraz częściej mam wrażenie, że chyba nie mam swoich miejsc. Poza siłownią albo basenem. Tam jestem po coś, po coś konkretnego.

– Hanulka, Asiunia, Kamil! – matka wita nas od progu, całuje czule, jak gromadkę dzieci. Ojciec, postępując, wychyla się, najpierw przytula mnie. Długo i mocno. Patrzy krótko w oczy.

Uciekam wzrokiem. Widzę to pytanie. Zapominam jednak, że matka jest twardego zawodnikiem.

– Hanuś moja, jak ja bym chciała, żebyś tak kiedyś kogoś przywiozła. Przywiesz, prawda?

– Kuba będzie na obiedzie, mammo?

*

– Hanuś, posłuchaj, deser będę robiła. Z miodu. Podjedziesz do Magnata po miód? Zamawiałam, nie miałam jak odebrać.

Niewinna prośba, ale od razu tracę rezon. Matka i ojciec wiedzą, że wycieczki do Magnata nie należą do moich ulubionych.

– Hanuś, miej litość, przecież nic ci nie zrobi. A ostatnio pytał o ciebie.

– Czy przy okazji dawał ci jakieś zielsko na płodność dla mnie? Albo maść na przyciąganie samców?

– Hanulka, ale jak ty chcesz, to ja mogę wsiąść na rower...

– Dobrze już, dobrze.

Faktycznie, jadę. Prowadzę samochód po wyboistych ścieżkach. Mina marsowa. Nikogo ze sobą nie wzięłam, bo akurat na ten moment, jak na złość, chętnych brak!

Skąd ta niechęć?

Magnat to miejscowy dziwak. Szaleniec i odludek, każdy może znaleźć na niego swoje określenie. On sam uważa się za szamana, a może nawet czarownika. Ja mam wobec tego sporą dozę dystansu, niemniej jednak facet wyraźnie lubi się nade mną pastwić. Ilekroć gdzieś na niego wpadnę, patrzy przenikliwie i rzuca jakieś dziwne hasła. Myśli, że mnie zna, że coś może wyczytać z moich oczu. Nawet jeżeli wolałabym, by zostawił to dla siebie.

Magnat, jak każdy wiejski outsider, ma swoją historię, która dla turystów jest niczym najbardziej zajmująca baśń.

Kiedyś obrzydliwie bogaty. Tak bogaty, że potrafił kupować ziemię i kolekcjonować je jak drogie książki. Szczególną obsesję miał także na punkcie dzieł sztuki. Jego posiadłości, rozsiane po Polsce, tonęły w obrazach i rzeźbach. Skąd miał tyle pieniędzy? Skąd on się w ogóle wziął? Tego się nie dowiem. Niektórzy mówią, że wygrał kiedyś na loterii, inni, że otrzymał spadek, jeszcze inni uważają, że kogoś okradł. Tak czy siak, na Podlasiu usidliła go kobieta. Poznał ją, gdy przyjechał szukać tu miejscowych, wybitnych zresztą, artystów ludowych. Ona była podlaską czarownicą.

Znała każdy liść i każde źdźbło trawy. Potrafiła przygotować mieszankę ziół na wszystkie bolączki, problemy i choroby. Sama żyła w przedziwnej drewnianej

chacie. Daleko od ludzkich osiedli, za to blisko łośi i wilków. Potrafiła godzić świat przyrody i człowieka, ucząc innych, jak nie szkodzić naturze. Dla niej zwierzęta, owady, ptaki, nawet robactwo, były ważniejsze od ludzi, bo to one wymagają opieki i ochrony.

Magnat, no cóż – zapalał uczuciem wielkim, nie tylko do niej, ale również do terenów. Podobno zatruł się czymś silnie i dlatego niezwłocznie go do niej przywieziono.

Kiedy zobaczył czarownicę, wówczas kobietę przed czterdziestką, zakochał się i postanowił zostać. Miejscowi opowiadają, że to była wielka, żarliwa miłość. Taka jedyna w całym życiu. Magnat od momentu, gdy zamieszkał u boku ukochanej, stał się spokojnym człowiekiem. Tu wkrada się element baśniowy. Całe dni spędzał na nauce tego, co dla wielu było wiedzą nie tylko tajemną, ale i magiczną. Miał ku temu talent – może zawsze szukał harmonii z przyrodą? W każdym razie był znakomitym uczniem. Magnat i wiedźma stanowili niezwykłą parę. Ich wiedza robiła wrażenie na wszystkich.

Oczywiście historia ma swój tragiczny finał. Pewnego poranka czarownica, która często ratowała łośie z opresji, tym razem nie zdołała wybawić samej siebie. Kłusownik nie chciał odpuścić. Czarownica ani myślała porzucić ciężarną kłepę... Plotka głosi, że ona także była w ciąży. Zresztą, dla czarownicy narodziny małego łośia to zawsze było wielkie wydarzenie. Nieraz osłaniała łośzaka własnym ciałem przed watahami psów, wilków lub myśliwymi. Zapłaciła za to wysoką cenę. Kiedy o tym myślę, jestem przekonana, że świadomie wybrała śmierć. Woląca oddać życie za coś tak cennego, niż męczyć się ze świadomością, że ktoś może mordować z zimną krwią, wśród piękna przyrody, otoczony spokojem.

Magnat najpierw kompletnie się załamał. Szalał z rozpacz. Natychmiast odciął się od wszystkich, nie tolerując absolutnie żadnych wizyt na jego leśnych włościach. Wcześniej od czasu do czasu jeździł do miasta załatwiać jakieś interesy i pilnować spraw majątkowych, ale od śmierci czarownicy zniknął dla świata.

Przez długie miesiące nikt nie miał odwagi zapuszczać się w tamte strony, a on sam nie wyściubiał nosa poza las. Mówiono później, że cały ten czas leżał, a później spisywał ręcznie wiedzę, jaką zdobył od czarownicy.

Magnata nigdy nie można było określić mianem „normalnego”. To właśnie pierwiastek szaleństwa sprawił, że zakochał się w czarownicy i był z nią szczęśliwy. Kiedy jej zabrakło, pomieszały mu się zmysły. Moim zdaniem instynktownie wybrał ucieczkę do lepszego świata, w którym wszystko było po staremu. Bo w pewnym sensie było. Ludzie z czasem zaczęli do niego przychodzić po zioła i lecznicze mikstury. Nikt inny nie sprzedawał tyle miodu co on. Czy dla niego pieniądze miały jeszcze jakieś znaczenie? Trudno powiedzieć, ale z tego, co miejscowi zostawiali mu „co łaska”, miał niezły dochód. Pewnie upychał pieniądze gdzieś w szafie, bo i tak nic nie wydawał, poza drobnymi rachunkami za prąd. To, co wyróżniało Magnata, to jego rzekome wizjonerstwo. Podobno potrafił przepowiadać przyszłość. I wiedział o ludziach różne rzeczy.

Czasem przywożono do niego opętanych, czasem przyjeżdżali turyści, których dusze były chore. Niejeden wyjeżdżał uleczony. Potęga podświadomości? Cudowne placebo? Czy faktycznie cuda?

Każdy znał historię Magnata, każdy znał jego. Pojawiał się na targach staroci,

czasem w okolicach kościoła. No i tak się utarło, że do niego jeździło się po miód i suszone zioła.

*

Czuję, że to nie będzie ani miła, ani spokojna wizyta. W duchu mam nadzieję, że może go nie będzie, a ja zwinę miód ze stodoły, zostawię pieniądze i zwieję. Niestety. Na moje wejście rozszczękały się psy, zapiał kogut i zrobiło się złowieszczo. A Magnat wytoczył się z chaty i ruszył prosto w moją stronę.

Dodać należy, że choć Magnat to szaleniec, to jednak nie jest w żaden sposób odrażający. Nie śmierdzi, ma wszystkie zęby. Ubiera się w lniane koszule, a siwe, długie włosy spina w koński ogon. Koszule nie są najświeższe, ale też nie cuchną i nie odstraszą. Magnat na swój sposób jest elegancki. Chodzi boso, ma styl.

Staję na środku polany, zupełnie wybita z rytmu.

– Hanka... – wita mnie. Magnat zna wszystkich z okolicy po imieniu. Nie wiem, jak to robi, ale każdego pamięta.

– Dzień dobry. – Uśmiecham się niepewnie.

– Tak myślałem, że cię tu matka do mnie wyśle.

– Po miód, tak, zgadza się...

– Miód dostaniesz. Nie martw się. Najpierw powiedz, jak tam sobie radzisz.

– Tam?

Patrzmy sobie w oczy. Mierzmy się wzrokiem, choć jego spojrzenie jest łagodnie, przenikliwe i dziwnie czułe. Czuję, że wymiana uprzejmości za nami i czas przejść do sedna sprawy. Nie mylę się.

– Czemu takiej młodej, zapracowanej damie wydaje się, że sens życia przyjdzie sam jak cud? Na szczęście trzeba czasem zapracować. – Śmieje się nieco chrapliwie, ale serdecznie. To nie jest wcale scena rodem z prozy Stephena Kinga. Na razie wydaje mi się tak odrealniona, że zastanawiam się, czy to sen. Kto nie zna tego uczucia?

– Ja nie wiem, o czym pan...

– Haniu. Haneczko. Hanulka... Czuję, jak robak zjada ci serce. Czuję, jak się wierci i jaki jest głodny. Tyle zgryzoty. Tyle cierpienia.

Tym razem milczę.

– Śnisz mi się ostatnio – rzuca i rusza z miejsca. Idzie za szopę.

Odruchowo podążam za nim. Pasię tam koń. Puszczony samopas. Kary koń. Wiem, że uratowany przed śmiercią – Magnat ściąga do siebie takie zwierzęta.

– Dotknęła nas ta sama choroba. Znam wszystkie jej odcienie. Znam każdy smak. Cierpki, gorzki, kwaśny, mdły... Samotność. Wierna jak pies, choć bardziej przypomina Cerbera. Dyszy nad człowiekiem. Nie spuszcza z oka. Pilnuje swego i nigdy nie zostawia w spokoju. – Kiedy mówi, mlaszcze i krzywi się. Jakby czuł to wszystko na języku.

– Pan na nic nie patrzy. Nie znamy się!

Co za rozpacz w głosie.

– W tych snach nie mogę oddychać. Budzę się przez to bardzo wcześnie. Serce mi wali. Tak jak kiedyś. Nie jesteś wolna. Dusisz się we wszystkim, co sama na siebie ściągnęłaś.

– To nieprawda.

– Życie jest zawsze wyborem.

– Bzdura. Pan nikogo nie ma. Z nikim nie musi się liczyć!

Magnat podchodzi krok bliżej. Nie cofam się ani o centymetr.

– Wyłuskaj się z tej skorupy. Sprawdź, czy miłość przyjdzie, jeżeli ją zaprosisz. Nie katuj się stanem w miejscu. Straciłaś już tak wiele dni... Tak wiele szans i chwil.

– Miłości się nie woła... Ona przychodzi, kiedy jej się podoba – szepczę, ale jest już za późno. Magnat jednym zdaniem otwiera szczelnie zaryglowane drzwi, za którymi kotłują się wyrzuty sumienia. Czemu nie szukam? Czemu nie robię żadnego kroku, żeby kogoś poznać? Czemu się boję?

Wydaje mi się, że nie mam siły. To jest takie... sama nie wiem. Upokarzające. Przykre. Żalotne. Czemu właśnie ja mam się wdzięczyc, narażać, wyciągać rękę do obcych? Dlaczego nikt mnie nie zauważy, nie pokocha, nie zdobędzie?

Dlaczego liczę na łatwiznę? Skąd pomysł na grom z jasnego nieba? Za dużo komedii romantycznych i książek. Zbyt wiele idealizacji w głowie. Jestem totalnym zaprzeczeniem wszystkiego, czego pragnę. Jeśli ja sama nie potrafię zdobyć się na krok, więc kto by miał się starać zrobić go za mnie?

Głupia, głupia, głupia.

– To już teraz. Działaj. Skoro nie robi się samo, przejmij kontrolę.

– A jeżeli to nic nie da? Po co mam cierpieć? – przemawia przeze mnie nastolatka.

– Cierpienie! – Chichocze nieprzyjemnie. Chyba tym razem ma na myśli siebie i swoją historię. – Dziewczyno, jesteś zdrowa. Umiesz osiągnąć wszystko. Ale pociąg ze stacją docelową „samozagłada” pędzi, a ty jakoś nie wysiadasz.

– Lokalny dziwak, który mieszka w szopie i gada sam do siebie, będzie mnie pouczał?! Co się pan tak czepia? Sama się zadręczam, niepotrzebny mi doradca. Ani głos rozsądku.

– Ale mężczyzna ci potrzebny – ucina i uśmiecha się nieco bezczelnie. Znowu podchodzi bardzo blisko.

– Miałem kiedyś mieszkanie w Warszawie.

– Serio?

– Na Mokotowie.

– Serio...

Rozdział 10

Ewa

Brakowało mi tego. O tak, w klubie jestem jak lampart na sawannie. Wolna, dzika i naprzężona. Bacznie badam teren.

Muzyka. Kocham muzykę. Elektroniczne dźwięki poruszają moje ciało. Drinki – obowiązkowo. Jest też i zasada: żadnego chlania na umór. Lubię być wstawiona, ale nigdy nie tracę kontroli. Nie jestem jedną z tych lasek, co czołgają się po podłodze, a potem mają zaniki pamięci. O nie. Ja muszę wiedzieć, co, z kim i gdzie. Przyjemność powinna być pełna. I to ja decyduję. Zawsze!

Jestem królową parkietu. I władczynią całego tego miejsca. Łoże, bar, konsola DJ-a. Wszystko jest moje. Puls, rytm, beat, który rezonuje w podłodze, drewnie, łazienkowych kabinach. I we mnie.

Światła zmieniają się jak szalone. Każde oświetla inną twarz. Wiem, kto się pojawia na parkiecie, a kto znika. Wiem, kto się na mnie gapi, a czyją uwagę chcę przyciągnąć.

Niektórzy faceci tutaj to przykład żalonych niedorajd szukających najbardziej pijanych panienek. Ubrani w koszule w kratę albo (o zgrozo) sweter. W tanich dżinsach i śmiesznych butach. Zawsze z kuflem piwa w ręce.

Są też lamparty takie jak ja. Przystojni, zadbani. Bogaci. Przychodzą na żer, wybierają długo. Czasem czekają, ile trzeba. A jak nie ma nic, wołają wyjść bez łupu. Nie warto brać byle czego.

Jakieś dziesięć procent z tej pulsującej, podrygującej masy to ludzie, którzy przyszli potańczyć i się zabawić. Cała reszta to łowcy i ci, którzy chcą zostać złowieni. W tej drugiej grupie można jeszcze wyróżnić łanie, które szukają przygody, i naiwne niunie, którym jeszcze nikt nie powiedział, że w klubie raczej trudno poznać męża. Seks, romans, ostra jazda – owszem. Kandydat na chłopaka, partnera, ukochanego – NIGDY.

Ja jestem w grupie łowców. Jako wytrawny gracz mogę lawirować do woli. Cały fun polega na tym, że delikatnie, z precyzją wirtuoza, pozwalam się zaczepiać tylko tym, których wybiorę. Niech sobie myślą, że mnie wypatrzyli. Niech im się wydaje, że okręcają mnie wokół palca. Niech upajają się myślą, że ich podziwiam. Kiedy już przypnę ich do muru, zobaczą, z kim mają do czynienia.

Czego szukam? Dobrego seksu. Inteligencji. Klasy. Kogoś z polotem. Odpadają pustaki-mięśniaki. To mają być równi zawodnicy. Nie ma ich tu wielu. Zdecydowana większość to faceci, którym dużo brakuje.

Ale od czasu do czasu na teren klubu wejdzie odpowiedni gracz. Wówczas cała moja uwaga skupia się na nim.

A dzisiaj, w piątkowy wieczór, czuję się wyjątkowo. Niech muzyka ryczy! Niech daje, daje, daje! Chcę rzucić się w to całe szaleństwo. Posmakować wolności, znów stanąć w szranki. Uwodzić i być uwodzoną. Tańczyć, błyszczeć, zawładnąć czasoprzestrzenią.

*Kiedy patrzę tak na ciebie, jesteś fajna, aj!*⁹

9 Trzeci Wymiar, *Dla mnie masz stajla*, [w:] *Cztery pory rapu*, Camey Studio, 2003.

Tańczymy obie z Ingą, okręcamy się jak frygi. Biodro przy biodrze. Udo przy udzie. Małe czarne opinają pośladki jak skóra. Nogi w szpilkach zdają się sięgać nieba. Kolczyki połyskują w mroku. Wytuszone rzęsy wyostają spojrzenie.

*Kiedy łączymy nas noc upalna, aj!*¹⁰

10 *Ibidem*.

W końcu wysoki brunet podchodzi bliżej. Obejmuje mnie od tyłu. Kładzie rękę na talii. Bezpiecznie. Nie jest prostakiem. Na razie bada grunt. Inga ulatnia się szybko, a ja pozwalam badać się dalej. Odwracam się do niego. Uśmiecham się, poważnieję. Istny szal zmysłów. Taniec godowy. Boski brunet i boska brunetka. To do siebie pasuje, takie są prawa natury.

*Dla mnie masz stajla!*¹¹

11 *Ibidem*.

– Idziemy się czegoś napić? – pyta. Ma niski głos. Bosko. Przebiega mnie dreszcz. Jak to mawiają: kisiel w majtkach. Chodźmy się napić. A potem gdzieś poza klub. Do mnie. Do ciebie. Do hotelu. Dokąd chcesz.

– Jak masz na imię? – pytam.

– Adrian.

– Ewa.

Przy barze napiera na mnie delikatnie ciałem. Przyciskam go do siebie. Nie wiem, czy damy radę się czegoś napić. Jestem spragniona i zaraz nie wytrzymam. Daję się pochłonać tej zwierzęcości. Zupełnie świadomie i z całą rozkoszą.

*

Budzę się. W głowie nieco szumi, ale jest dobrze. Adrian oplata mnie mocno. Czuję jego oddech na karku. Jesteśmy u niego. Niezłe mieszkanie. Pościel pachnie nowością. Dobrze wiedział, że kogoś ze sobą przyprowadzi.

Było cudownie. Chcę jeszcze... Dawno nie czułam się tak spokojnie, leniwie, błogo. Nie pamiętam już, jak to jest budzić się i nie myśleć, że JEMU coś nie pasuje, że nie wiem, co robić, i że przede mną same zapory. Żadnych perspektyw...

On też się obudził.

– Jestem cholernie głodna.

– To doskonale. Ale umiem robić tylko jajecznicę. Całkiem niezłą.

– Może być jajecznica. I kawa. Kawa!

Jajecznica, całkiem serio, niezła. Kawa pyszna. A do tego poranna pogawędka. Pierwszy taki sobotni poranek od długiego czasu. Poproszę jeszcze jedną kawę. I szybki seks. Jeszcze się nie nasyciłam.

Rozdział 11

Hania

Wracam bez miodu, za to z burzą uczuć. Pulsują we mnie jak rój wściekłych pszczoł, który właśnie zauważył, że królowa zniknęła.

Pędzę jak wariatka. Noga sama dociska gaz, zaraz stracę panowanie nad samochodem. Wszędzie unosi się kurz, na liczniku prawie sto czterdzieści na godzinę.

Myślami jestem jednak daleko. Nie czuję jazdy, skupiam się jedynie na zakrętach. Przebłyski świadomości nakazują, żebym się zatrzymała. I w końcu z całym impetem staję na poboczu. Ogłuszający ryk silnika milknie i zostaje jedynie moje dyszenie. Ręce zaciskam kurczowo na kierownicy. Ciało mam nadal spięte.

Magnat właśnie wytknął mi błąd. Ja sama zgotowałam sobie swój los. Moja beczynność, nieuważność, ignorowanie narastającego problemu zaprowadziły mnie aż tutaj. W wąski, ciasny, ciemny korytarz. Nie mogę wrócić. Mogę teraz ruszyć przed siebie z wyciągniętymi rękoma i mieć nadzieję, że nic mnie nie zatrzyma. Że będę miała szczęście...

Życie to wybór? Co jest wyborem? Miałam zostawić rodziców i skupić się na szukaniu miłości zaraz po szkole średniej? A może miałam zrealizować ciche pragnienie i pojechać w podróż dookoła świata? A może...?

O Chryste, ile goryczy. Narasta we mnie jak mdłości. Nie mogę do tego dopuścić, żeby żal i pretensja do całego świata przejęły nade mną kontrolę. Chwila nieuwagi i zamienię się w starą pannę. Jeden moment i zostanę zdesperowaną singielką.

W głowie rozlega się piosenka kabaretowa. Zasłyszana dawno temu, odtwarzana nieraz...

Chłop żeby jaki, wcale nie piękny

Bandyta, oszust, pijak, złodziej, wszystko jedno jaki zły

By się skończyły dziewczęce męki

Niechby katował, niechby i bił

Niechby ją porwał całą zemdloną

Niechby przycisnął do grubych ust

I tam ją wywiózł gdzie chłopcy mają

Nieuropejski zupełnie gust

Ech, przeżyć wreszcie ten piękny wieczór

Kiedy się zjawia bajkowy czort

I jej wyznaje w swoim narzeczu

Do you mój darling wsiadaj do ford12.

12 Kabaret Elita, *Kryśka i DJ*, tekst: J. Kaczmarek, www.kabaretelita.pl/teksty-_kryska.php [dostęp online: 14.07.2017].

Ale ja nie chcę być Kryską z piosenki.

Już nią jestem.

Biorę się w garść.

NIE. Ja jestem kobietą. Nie dziewczynką. Wyjechałam, skończyłam studia, zarabiam. Mam samochód, trochę mebli. Przyjaciół. Dałam radę tam, skąd wiele osób uciekłoby z krzykiem...

Ogarnia mnie pewność, że czas otworzyć zupełnie nowy rozdział.

Jestem wściekła. Na siebie, na zidiociały świat, na życie. Wściekła na cały ród męski, na konwenanse, na niesprawiedliwość losu. Mówiąc najprościej: wkurwiona.

Czas odrzucić uprzedzenia. Strach przed odrzuceniem. Lęk przed napiętnowaniem społecznym. Tak, szukam faceta. Tak, jestem samotna. Tak, umawiam się przez portale randkowe.

Jestem Hania. Szukam kogoś, bo za chwilę zwariuję. Szukam, bo podobno łączenie się w pary jest zapisane w genach. Wcale nie jest za późno. Szaleńcza miłość jeszcze ma szansę się zdarzyć.

Tak to jakoś wyszło, że nikogo nie miałam, nikogo na dłużej. Kilka kiepskich randek na studiach. Ja spięta i niechętna. Skupiona raczej na tym, żeby pracować, spłacać, mieć wszystko pod kontrolą. Nie było miejsca na motyle w brzuchu, na słodkie zapomnienie.

Byłam głupia. Ale jeszcze mam szansę.

Rozdział 12

Ewa

Ludzie w biurze pytają, czy coś się zmieniło. Ponoć jestem jakaś inna. Alicja, koleżanka, choć nie przyjaciółka, wie o Rafale i nowych znajomościach.

– Ale z ciebie szmacicho. – Chichocze w kuchni. A ja razem z nią. Taki żarcik. Już dawno przemyślałam tę kwestię i przegadałam całość z Ingą na wieczornym posiedzeniu.

Kobieta, która poszukuje swojej seksualności i zaspokaja potrzeby, to nie szmacicho. Tak samo jak facet, który lubi seks, nie jest dziwkarzem. Szmacicho i dziwkarz to określenia zarezerwowane dla kogoś, kto nie wytrzyma w związku. Zdrada! Po cholere? Jeżeli mam ochotę na kogoś innego, to jasny znak.

Ten ktoś nie jest dla mnie.

Proste do bólu.

Tak, jasne – miłość rządzi się swoimi prawami, czasem ktoś zboczy ze ścieżki, czasem ktoś się pomyli, a czasem trzeba stracić, by odzyskać i szanować. Kto nakładł ludziom takich głupot do głowy? Pewnie psychologzy na swoich drogich sesjach.

Ja wiem, że partner i związek to rezygnacja z wolności. Teraz jako tak zwana singielka robię to, na co mam ochotę. Nie wiążę ani nie angażuję – siebie i innych. Jestem wolna i daję wolność. Mam do tego prawo. Zdradzanie to oznaka słabości. Możesz mieć ciastko i zjeść ciastko, ale tylko wtedy, gdy jesteś wolny.

Wyzwolenie, słodkie i niespodziewane, buzuje we mnie jak kofeina. Czuję się bardzo pobudzona. Mam mnóstwo energii. Nie chce mi się siedzieć w domu. Mam ochotę randkować, flirtować, eksperymentować. Chcę stroić się od stóp do głów, emanować kobiecością. Nie ograniczam się więc, działam.

Portale randkowe są moje. Wrzucam kilka zdjęć i po prostu nie mogę się odgonić od wiadomości. Jest w czym wybierać. Muszę przyznać, że w sieci z łatwością znajduję facetów, którzy robią wrażenie. Przystojni, zadbani, z pozycją. Zdobywcy, karierowicze czy po prostu okazy trzeźwego myślenia o życiu. Być może zdjęcia są przekłamane, ale najczęściej spotykam tych, którzy nawet przekraczają wyobrażenia.

To jest efekt zatytułowany: „Wygląda lepiej niż na zdjęciu”.

Mój powrót do gry sprawia, że nie czuję tęsknoty za Rafałem. Nie ma go raptem kilka dni, a ja mam wrażenie, że... nie było go w ogóle. To nie jest płytkie, żałosne ani wredne. To dowód na to, że byłam niekochana i niepożądana. Rafał za mną nie nadążył i, jak widać, bardzo skutecznie wygasił uczucia.

To jest mój czas, muszę go wykorzystać w pełni. Sama ustalam zasady. Jest ich kilka.

Pierwsza: nie biorę nic na poważnie. Nie szukam związku, wielkiej miłości, nie wylewam na cudzym ramieniu frustracji i smutków. Od tego mam Ingę.

Druga: tylko faceci z klasą. Żadnych prostaków, biedaków, obdartusów. Żadnych pizd i życiowych nieudaczników.

Trzecia: żadnego oceniania samej siebie i kaca moralnego. Seks dla seksu, flirt dla flirtu, dowartościowanie ego i tyle. Żadnych ideałów. W dupie mam społeczne oceny. Dobrze wiem, co widzę w oczach innych, którzy próbują mnie sądzić. Naganę i oburzenie. Ale zaraz za tym dostrzegam nutkę podziwu. „Wow. Ty to umiesz sobie dogodzić. Wow! Jesteś jak facet w spódnicy. I brawo! Czemu tylko oni mają szukać przyjemności?! Ich to nikt nie gani”.

Czwarta zasada, która tak naprawdę jest pierwszą. Zawsze na tabletkach antykoncepcyjnych i zawsze z gumką. Cięższe i choroby weneryczne to ostatnie rzeczy, jakich mi trzeba.

Moje zasady, moja wolność, mój wybór.

– Inga, czy ja się puszczam?

– Jasne, Ewka. No, ale umówmy się: robisz to, bo chcesz. I nikogo nie oszukujesz. Nikogo nie zdradzasz. Żadnych łez i złamanych serc. To uczciwe!

– Dokładnie! Czemu ludzie tak nie rozumują? Baw się, ale na własny koszt?

– No!

– Piszę z takim jednym. Moja droga, ciacho takie, że nawet mnie buty spadają.

– I co? Widzicie się?

– Czekam, aż zaproponuje spotkanie. Wymieniliśmy się numerami.

– I jak?

– I tak. – Pokazuję Indze ostatniego MMS-a.

– O kurwa.

No, nie inaczej. Zdjęcie przyrodzenia, i to tak okazałego, zasługuje na takie właśnie określenie.

*

Damian, właściciel wielkiego arsenału, to całkiem interesujący gość. Nasze spotkanie zaczynamy z pełną kulturą, czyli kolacja z dobrym winem. Kocham jedzenie. Mogę godzinami oglądać telewizyjne programy kulinarne, a potem wytrwale testować wszystkie możliwe pomysły. Dlatego zaproszenie do restauracji na poziomie to wielki plus dla tego pana.

Przegrzebki, polędwica wołowa, deser z koziego sera. Czuję się szczęśliwa. A po drugiej stronie stolika facet jak ze snów.

– No więc, panie tajemniczy, czym się pan zajmuje?

– Kluby. Sieć klubów. Tak się złożyło, że jestem właścicielem.

– Mówisz, że wiesz, co to dobry clubbing? – pytam niewinnie, zajądając się przystawką. Zasada numer pięć brzmi: nigdy nie okazuj, czy ktoś robi na tobie wrażenie. Nie podniecają mnie pieniądze. Za to pozycja społeczna i fakt, że ktoś dorobił się czegoś takiego: owszem. Damian obdarza mnie hollywoodzkim uśmiechem. O tak, na dentystę wydał fortunę.

– Wiesz, jak to jest. Masz lokale, często w nich bywasz, nudzisz się.

– I dlatego chodzisz na randki?

– Nie. Na randki chodzę, bo piękna kobieta jest lepsza od clubbingu.

Rozmowa całkiem na poziomie. Zupełnie jakbyśmy nie wymieniali się wcześniej zdjęciami genitaliów. Restauracja naprawdę niezła. Będę tu wracała.

Teraz jednak zaczynam mieć coraz większą ochotę, żeby przejść do czynu. Damian wygląda na takiego, który wie, jak się zabrać do rzeczy.

– Jedziemy do mnie? – szepcze do ucha, a ja zalotnie unoszę głowę i odchylam szyję. Całuje ją, a mnie przebiegają ciarki. Bosko pachnie. A jego ramiona są silne...

Całą drogę rozmawiamy. Damian jest dumny ze swojego wozu, czuje się za kierownicą jak młody bóg. W windzie zaczyna wychodzić z niego zwierzę. Z ledwością dochodzimy do sypialni. Tak to jest, jak klucz do zamka nie chce wejść, a samych zamków jest kilka.

Cała jestem pożądanym. I do tego mam szczęście. Należę do tego grona kobiet, które osiągają rozkosz dosłownie w ciągu chwili. Wszystko zależy, z jakim partnerem mają do czynienia. U mnie decyduje przede wszystkim to, jak bardzo jestem nakręcona. Czasem wystarczy jedno spojrzenie, czasem całe tygodnie wzajemnych podchodów.

Można mi tego pozazdrościć. Świadomości własnego ciała. A może to po prostu dar? Akademii seksu nie ukończyłam, ale czuję, że byłabym w tym dobra. I uratowałabym setki panienek, które chodzą do łóżka, bo tak trzeba. Wydaje im się, że muszą, albo kieruje nimi strach, że bez tego szybciej się zestarzeją. Jak im coś nie wychodzi, uznają, że tak po prostu jest i że widocznie natura pokarała kobiecy gatunek nieumiejętnością czerpania z seksu pełnej satysfakcji. No i liczy się, oczywiście, żeby jemu też było dobrze, bo jest taki wspomniały. Bla, bla, bla.

Z Damianem będzie szybka piłka. Namiętnie i dziko. Taki mam dzisiaj nastrój. Wszystko dzieje się błyskawicznie, ale jakimś cudem udaje się nam dojść do sypialni.

Jego ciało jest po prostu doskonałe. Zbudowane z wielkim mozołem, widać, że facet wie, jak o siebie zadbać. Bardzo mi to imponuje.

Długo nie wytrzymuję. On zresztą też. Już po chwili obydwój dyszymy i spływamy potem. Przez myśl przechodzi mi, że jestem bardzo samowystarczalna. Damian nie musiał się specjalnie napracować. Ale to przecież nie koniec!

I tu czeka mnie wielkie zaskoczenie. Wspomniały Damian, tak hojnie obdarzony przez naturę, po prostu przetacza się na drugi bok, odwraca się plecami i zasypia. Leżę przez chwilę, myśląc, że to jakiś żart, ale nie... On po prostu odpłynął!

Zrywam się jak dzika kotka na równe nogi. Czy ja wyglądam jak worek na nasienie?! I co to w ogóle ma być? Bo przecież nie seks! Raczej krótka rozgrzewka. Pan pięć minut zakończył już dzieło?!

Wydawało mi się, że tacy faceci to raczej znudzeni tatusiowie, którzy chodzenie do łóżka uważają za rutynę. Ale facet o wyglądzie mitycznego herosa chyba nie ma z tym nic wspólnego?! Jeżeli komuś się wydaje, że seks to dla mnie tylko siła, myli się. Lubię, kiedy mężczyzna okazuje opiekuńczość. Lubię poczuć, że zarówno przed, jak i po, uwaga jest skupiona na mnie. Nie pogardzę też dobrym śniadaniem, kawą, pogawędką czy wspólnie spędzonym czasem. Chyba że to ja zadecyduję o wcześniejszym ulotnieniu się. Jednak nie mam tego w zwyczaju. Seks i kopulacja to dwie różne sprawy.

Damian okazuje się bezmyślnym kopulatorem. Żalność tej sytuacji po prostu odbiera mi mowę.

Wychodzę. Rozglądam się po mieszkaniu. Każdy sprzęt, począwszy od lodówki, poprzez ekspres ciśnieniowy wbudowany w ścianę, a skończywszy na salonie rodem z katalogu, świadczy o zamożności. Prycham z pogardą. Po co komu fortuna, skoro w łóżku okazuje się być gnidą?

Tak właśnie. Znowu pomyliłam faceta z pizdą. A zapowiadało się całkiem inaczej...

Hania

Asia i Kamil siedzą ze mną w pokoju i patrzą uważnie. Pełne skupienie na mnie, na dziewczynie, która zwołała przyjacielskie zebranie, bo chce coś obwieścić.

Postanowiłam, że o moim nowym planie powiem głośno. Powody takiej mojej decyzji są dwa i każdy jest równie ważny. Po pierwsze: kiedy inni się dowiedzą, jakie mam zamiary, nie będzie odwrotu. Dokładnie tak, jakby wtedy mieli zacząć oczekiwać ode mnie efektów, postępów, sukcesów.

Poza tym nie chciałam, żeby sami zauważyli, że coś się zmienia, i to coś tak istotnego. Znają Hanię, która prawie nie randkuje, a na pytanie, czy chciałaby kogoś mieć, odpowiada: „Kiedyś pewnie tak”. Znają Hanię, która w ogóle nie chce o tym rozmawiać, czuje się skrępowana. Ucieka wzrokiem, szybko zmienia temat. Hanię, której lepiej nie męczyć tym tematem, bo widać, że to coś, co boli, piecze, tkwi bardzo głęboko.

– Chcę kogoś znaleźć, wiecie – rzucam głupio i wbijam wzrok w pościel. Siedzę na łóżku po turecku i czuję się jak mała dziewczynka.

Najpierw chwila ciszy, a potem Aśka budzi się, wyciąga ręce i piszczy:

– No to super, Hanka, super! No... – dodaje i patrzy na Kamila. Widać, że nie bardzo wie, jakiej reakcji oczekuję.

– Hanka, dobra twoja! Ale... co się stało? Mówisz to tak oficjalnie, sorki, jeżeli nie wiemy, co dokładnie powiedzieć...

Śmieję się cicho. Widzę, że Aśka i Kamil są równie uradowani, co zszokowani. Najbardziej zatwardziała samotnica oświadcza, że oficjalnie kogoś SZUKA. Być może za chwilę ta właśnie Hanka, u boku której absolutnie nigdy nikogo nie widzieli, będzie miała chłopaka. Faceta. Ukochanego.

– No, wiecie, trochę nie z tej strony zaczynam... To tak jakbym powiedziała, że będę próbowała zająć w ciąży. Prędzej powinnam zakomunikować, że już w niej jestem.

– No co ty, Hanka, luzik! Dobrze, że mówisz, kobieto!

– No... no właśnie, bardzo dobrze – wtóruje Kamil, którego gorący entuzjazm Aśki zazwyczaj wyprowadza z równowagi.

– To jak... znacie kogoś? – pytam niewinnie.

– Kogoś w sensie... kogoś wolnego...? Eee... – Aśka robi wielkie oczy i wyraźnie skanuje w głowie mapę wolnych facetów, których mogłaby polecić.

– Hanka, spokojnie. Przecież nie o to chodzi, żeby umawiać cię z byle kim – wtrąca Kamil. Chyba głównie po to, żeby zyskać na czasie.

Biorę głęboki oddech. Jak już działać, to na całego. Otwieram się. Wszystkie okna, wszystkie drzwi – szeroko. Wpuszczam powietrze.

Rozdział 14

Ewa

W tym tygodniu były trzy randki. Poniedziałek należał do Wojtka. Facet złożony w Internecie. Seks całkiem niezły, ale wynudziłam się. Chyba jestem za stara na trzymanie się za ręce w kinie.

Wtorek należał do Irka. Irek na co dzień jest modelem i trzeba przyznać, że jego ciało to istne dzieło sztuki. Od samego patrzenia mogłabym chyba dojść kilka razy.

Czwartek należał do Marka. Marek to brutal. Czasem mi się podobają takie gierki. Czasem, a nie zawsze, dlatego podobną znajomość wolę odnawiać sporadycznie. Dobrze nam było...

– Marek, Irek, Damian... Ewka, dużo tych chłopów. Z żadnym nie spotkasz się jeszcze raz? – pyta Inga. Dobrze ją znam. Nie martwi się o to, z iloma facetami chodzę do łóżka. Chce tylko sprawdzić, czy mam nad wszystkim kontrolę. I czy na pewno jest mi dobrze. Na razie jest. Zajeście. Niczego nie żałuję i nic nie chcę zmieniać.

– Widzę się jutro z tym kolesiem, którego poznałam w klubie. Z Adrianem.

– A, no tak. Ciągnie cię do niego?

– Jasne. Chemia niczego sobie. No wiesz, jest niezły w te klocki. I... ma wielką pałę. – Obydwie wybuchamy śmiechem, który roznosi się echem po całym bloku. W kwestii pał i ich wielkości mam swoje zdanie. Tak, proszę państwa, to ma znaczenie, dla mnie osobiście, ale wiem też z przeróżnych opowieści, że różnym kobietom różne członki dogadzają. Tak więc musi trafić swój na swego, oto cała filozofia.

Inga. Dobrze, że jest. Bez niej pewnie byłabym cholernie samotna na tym świecie pełnym ludzi, którzy pierwsi rzucają kamieniem, zapominając o swoim bagażu. Jesteśmy do siebie podobne. Z tym że Inga podchodzi do tematu nieco inaczej. Ona szuka cały czas kogoś na stałe, tylko że po prostu jej nie wychodzi. Nie ma szczęścia, bo trafia albo na idiotów, albo na emocjonalnych pomyleńców. Rzadko zdarza się jej przyciągnąć kogoś normalnego.

Przez łóżko Ingi przewinął się cały tabun facetów. Z każdym chciała próbować związku. Bywało różnie. Czasem rozstanie po tygodniu, czasem zero odzewu po pierwszym seksie (i potem łzy, nie umiem jej tego wybić z głowy), a czasem udawało się wytrwać nawet kilka miesięcy. I potem trach – związki Ingi sypią się jak domki z kart. Myślę, że wiem dlaczego. Ona ładuje od razu cały pakiet. Pani domu, pracownica miesiąca, zdzira w łóżku, a do tego świetna kompanka na co dzień. Facet trafia na taką i nie wie, czy mu się to śni. Ucieka więc albo się nudzi. Nie ma nic do zdobycia, bo to ona kocha zdobywać.

Inga jest rodowitą warszawianką. Kiedyś kupiła sobie niewielką kawalerkę z myślą, że jak już znajdzie kogoś na stałe, wynajmie ją albo sprzeda. I tak mijają lata, a ona wciąż zaprasza tam kolejnych kandydatów. Łóżko ma wygodne, zainwestowała w najlepsze.

Ona zazdrości mnie, a ja czasem jej. Inga chciałaby umieć się bawić, bez nadziei, że to właśnie ten jedyny. Pragnie nabrać dystansu. Ja z kolei czasem chciałabym mieć jeszcze tyle wiary co ona. Już dawno uznałam męski ród za niezdolny do tworzenia szczęśliwych związków. Zawsze coś jest nie tak. Czegoś brakuje. I mam tu na myśli cechy tworzące fundamenty. Każdy ma prawo mieć wady, ale są granice...

Mamy obie na koncie wiele klubowych nocy, przegadanych wieczorów. Mówimy sobie nawzajem, z kim, co było i jak. Wiem, że ona nie ocenia mnie, a ja jej. Tak powinien wyglądać związek: dbanie wzajemnie o swoje dobro. Nic więcej!

Kiedy byłam z Rafałem, Inga nieraz wzdychała. Że ona też by tak chciała. Że taka świetna z nas para, a Inga już zawsze będzie się bujać z kretynami. Kiedy między mną a Rafałem zaczęło się psuć, to się poryczała. Runęła jej nadzieja, że można mieć przystojnego, mądrego, dobrego faceta, nie musząc wybierać tak zwanego mniejszego zła.

Trudno. Widać, takie kobiety jak my muszą sobie radzić same. Na dodatek nie mogą zbyt epatować pewnością siebie i zadowoleniem z życia. Ja ostatnio mam za długi jęzor. Koleżanki w biurze z wypiekami na twarzy słuchają moich pikantnych opowieści.

*

Zaczął się od tego, że jedna zauważyła na telefonie zdjęcie pewnego, nie ukrywam – boga seksu.

– O matko! Sorry, że zaglądam ci przez ramię, ale... zdradź mi, kto to jest! Błagam, powiedz, że nie znasz go osobiście i to tylko tapeta...

– Kobieto, wczoraj bzykaliśmy się, aż wióry leciały – rzucam i liczę, że dziewczyna się spieszy albo zmieni nastawienie. Tymczasem w jej oczach dostrzegam podziw.

– To twój facet?

– No co ty! – pryham. Idę za ciosem. – Na razie tylko seks. Co z tego będzie, zobaczymy.

To hasło szybko przeszło w biurze do historii. O dziwo, nie stałam się jednak główną firmową zdziwą, ale obiektem sporego zainteresowania. Grono Faustyn, które postawiły na mnie krzyżyk, okazuje się o wiele mniejsze, niż się spodziewałam. Przeważają kobiety, dla których stałam się wcieleniem Samantha z *Seksu w wielkim mieście*. Piękna, niezależna, wyuzdana, z klasą. Dbająca o siebie. I dużo młodsza od serialowego pierwowzoru.

Ta myśl całkiem mi schlebia. Mogę być jak Samantha, czemu nie? Dla pokoleń to absolutny wzór wyzwolenia seksualnego i rewolucji w budowaniu obrazu kobiety. To Samantha zwykła mówić: „Kocham Cię, ale siebie kocham bardziej”. Otóż to. Ci, którym wydaje się, że to idea całkowicie hedonistyczna, nie mają szans na szczęście i spełnienie. Ja wiem, że kiedy mi będzie dobrze, dobrze będzie również ludziom wokół mnie. A przynajmniej tym, których wybiorę.

Chcę być ostrożna. Z jednej strony mam gdzieś, co myślą o mnie inni. Z drugiej – ludzie nie mają pojęcia, jak zaszufładkować taką jak ja. Przyklejają etykietkę „szmata”, i tak już zostaje. To może utrudniać zdobywanie celów. Chcę być sobą i realizować swoje pragnienia, ale nie za najwyższą cenę napiętnowania.

Niemniej mam zdecydowanie za długi jęzor.

*

Leżę u boku Adriana. Sen skleja mi powieki.

– Muszę jechać. Jutro od rana zapierdol w pracy. Pa, mała.

– Pa. – Odwracam się na drugi bok. Jakos tak dziwnie, że nie zostanie, dziwnie, że nikt nie przytula. Olewam to. Na telefonie sygnał wiadomości z komunikatora. Półprzytomnie zerkam kto to. Waldek. No nie mogę. Zасыpiam. Niech ten Waldek pójdzie po rozum do głowy...

Rozdział 15

Hania

W biurze jest tak cicho. Mój czas, moje miejsce. Siedzę pograżona w myślach. Nie rozpraszają mnie ludzie, telefony, e-maile. Kubek kawy stygnie.

Moja poranna celebracja. Boski napój, okno na świat i ja sama, zaszyta przy biurku, odcięta od wszystkiego.

Tym razem nie siedzę jednak tak spokojnie. Serce bije szybciej, a na ekranie miga strona główna portalu. Nie muszę chyba dodawać, że randkowego. Dwa serca. Ona i on. Trzymają się za ręce.

Zarejestruj się.

Dostaniesz tysiące szans na randkę, na miłość, a może tylko na flirt?

O matko. Ja tam wchodzę z nadzieją na miłość życia. Chyba niedobrze. Ale to się właśnie zaczyna dziać, więc nie ma odwrotu.

Bach, bach, bach. Nick, zdjęcie profilowe. Dodaj więcej zdjęć: faceci to wzrokowcy, muszą cię dokładnie zobaczyć. Bez zdjęcia w ogóle nie masz na co liczyć. To jest nie fair. Ale w sumie racja, ja też bym nie ryzykowała.

Jakie masz upodobania? Czym się interesujesz? Stan cywilny? I najważniejsze: czego oczekujesz od partnera?

To dopiero wyzwanie. W sumie nikt mnie nigdy o to nie pytał. A czy ja pytałam siebie?

Jestem zwykłą dziewczyną, która szuka kogoś na dłużej.

Czy to brzmi rozpaczliwie? Jeszcze raz. Muszę wyglądać na pewną siebie. Zdecydowaną. To w sieci najważniejsze.

Jestem zwykłą dziewczyną, która wie, czego chce. Uwielbiam sport, książki, dobry film, wyjścia z przyjaciółmi. Szukam kogoś miłego, kto podzieliłby ze mną optymizm życia.

Chryste! OPTYMIZM ŻYCIA? Trudno. Nie mam siły wymyślać niczego nowego. Wchodzi taki opis albo żaden.

Już jestem. W wirtualnej sferze flirtu, podrywu, poszukiwania drugiej połówki. Ustawienia w wyszukiwarce... Wiek: dwadzieścia osiem – trzydzieści pięć. Bez dzieci. Bez nałogów. Kawaler. Wykształcenie: wyższe. Zobaczymy, jakie będą na to szanse.

Galeria twarzy staje przede mną otworem. Ilu ich jest! Kilka stron, mogę przebierać i przebierać!

I nagle: dzyń, dzyń! Wiadomość.

Patrzę na zdjęcie. Przystojny. Wdech i wydech. Otwieram. Kawa stygnie.

Cześć. Piękne zdjęcia. Chciałem zaproponować ci układ. Seks bez zobowiązań. To chyba uczciwe, nie wydaje ci się?

Zły początek. Głęboki oddech. Byłam na to gotowa. Nieraz słyszałam, ilu złoceńców i pomyleńców siedzi na takich portalach. Przyglądam się jego zdjęciu. Wygląda normalnie. Młody, zadbany, w granicach normy. Może nawet przeciętności?

Aż trudno uwierzyć.

Nie odpisuję. Takie mam postanowienie, że milczenie będzie moją bronią.

Skrzynka miga. Kolejne wiadomości. Ręce lekko mi się trzęsą. Wciąż nie wiem, co zastanę. Muszę szybko się uodpornić. Nie brać tego do siebie.

Uff. Czemu świat jest taki popieprzony?

Ewa

W biurze pracujemy w dosyć skromnym gronie. Kilkadziesiąt osób. Wszystkich znam – z widzenia, z rozmów, pogawędek, e-maili czy zebrań.

Waldek. Waldek to młody chłopaczek. Kilka miesięcy młodszy ode mnie, choć mam wrażenie, że dzieli nas lata. Zajmuje się opieką nad klientem. Całkiem ładnie się rozwinął w naszej firmie. Najpierw działał tylko telefonicznie, a teraz zaczynają go wysyłać w teren. To wiele zmieniło.

Zaczął o siebie dbać. Równo przystrzyżona broda, ułożona fryzura. Elegancka koszula, dobrze dobrane spodnie, buty z gatunku tych droższych. To rozumiem! Tylko oczy pozostają te same. Z nutką rozkosznej naiwności, która może kogoś rozbroić. Mnie jedynie wzrusza.

Waldek od jakiegoś czasu zagaduje do mnie, ile się da. To jasne, że się na mnie napalił. Jest jak szczeniak, który skacze wokół i bardzo chce dostać zabawkę. Ostatnio zauważyłam, że kupił nowe perfumy, które musiały go dużo kosztować. Wygląd nienaganny. Widzę, że dziewczyny z biura obserwują metamorfozę i chichoczą. Z sytuacji, bo Waldek bardzo wyprzystojniał i może zrobić wrażenie na kobiecie.

Jaki jest ten nasz poczciwy specjalista do spraw obsługi klienta? Spokojny, odrobinę nieśmiały. Inteligentny, z dużą wiedzą. Lubi życie w grupie, na pewno nie jest typem samotnika. Wobec kobiet uprzejmy i uczynny. To on pierwszy rwie się do kupna kwiatów i upominków na ósmego marca. Waldek nie jest gapciowaty, nie o to chodzi. Po prostu widać, że nie dostał od życia po pysku i nic nie starło jeszcze uśmiechu pełnego nadziei z tej słodkiej twarzy.

– Cześć, Ewa. Ślicznie wyglądasz – zagaduje przy parzeniu porannej kawy. Wiem, że zwałam z nóg. Widzę się dzisiaj z facetem, którego poznałam w klubie w ubiegły weekend. Mam na sobie elegancką koronkową sukienkę z długim rękawem i granatowe lakierowane szpilki. Ten look zrobił furorę na Facebooku. A Waldek był pierwszym, który polubił post.

To, co znajduje się pod sukienką, rzuciłoby go na kolana.

– Dzięki, stary. Ty też się dzisiaj odstrzelełeś. Masz randkę? Z takimi perfumami możesz wysoko mierzyć, hm? – Puszczam oko. Odnajduję sporą przyjemność we flirtowaniu z nim. Widzę, jak go to cieszy i jak rozbudza nadzieję. Taka dziewczyna to dla niego marzenie. Dostrzegam jednak, że nie chodzi tylko o to, że mu się podobam. Ja mu imponuję w całości. Staję blisko niego i sięgam po kubek, który stoi nieopodal. Muskam ręką jego koszulę. Waldek oblewa się rumieńcem, ale uśmiecha się dzielnie. Rzucam mu jeszcze jeden powłóczysty uśmiech i wychodzę. W tych butach nie muszę nawet kołysać biodrami. Same wykonują zmysłowy taniec. Waldkowi spada łyżeczka. To miłe.

O Waldku szybko zapominam, ale wieczorem dostaję od niego wiadomość na Messengerze. Cudownie. Tego mi brakowało. Pyta:

Co tam, jak tam?

A nic. Miałam spotkanie.

No tak. Taka dziewczyna jak ty raczej nie spędza wieczorów samotnie.

Spędza i nie spędza. Nie ma na to reguły.

Oj, proszę cię. Wiem, że faceci szaleją za tobą. I nie dziwię się! Mam tylko nadzieję, że ktoś potrafi o ciebie zadbać.

Co masz na myśli?

To, że piękna i inteligentna kobieta może po prostu czasem kogoś przerosnąć. O kogoś takiego trzeba się bardzo starać. Cały czas.

W sumie wychodzi na to, że z Waldkiem zaczynam sporo pisać. Zaskakują mnie jego poglądy – bardzo dojrzałe i sensowne. Dobrze się z nim gada. Waldek to ktoś, kto kojarzy mi się ze świetnym kumplem, facetem „do schrupania”, przyjacielem i mędrcom. Taka Inga w męskiej skórce, tylko że nieprzeorana przez życie.

– Młokos się w tobie buja? – pyta przyjaciółka i ogląda jego zdjęcia na Facebooku.

– Nie taki znowu młokos. Właściwie jest w moim wieku. A no, przyczepił się. Ale gadam z nim, bo jest niegłupi.

– Ty, Ewka, uważaj, bo jak się zakocha na poważnie, to potem może być trudno.

– W jakim sensie? Bo to on jeden się za mną ugania?

– No wiesz. Ładna buźka, pewnie zwraca uwagę w pracy. Żeby potem nie było, że młokos będzie skamlał w rogu, a ty wyjdiesz na najgorszą sukę w stolicy.

– Halo! On jest dorosły. Wie, na kogo się porywa. Jeżeli coś się wydarzy, to bierze to na własną odpowiedzialność.

– Spoko. Tylko badam grunt.

– Wiem, Inga, ale wszystko jest pod kontrolą.

Wszystko pod kontrolą, znaczy się: wiem, co robię, i nic mnie nie zaskoczy. Waldek pisze, aduruje. Jest go coraz więcej wokół mnie. To bardzo miłe i motywujące. Przychodzi człowiek do roboty, a tu kawka, ciasteczko, karteczka na komputerze, komplementy. Z niejakim rozbawieniem czekam, aż Waldek w końcu zdobędzie się na odwagę i gdzieś mnie zaprosi. Czekam długo. Zależy mi, żebym zobaczyła, jakie to wszystko jest dla niego ważne. Dostaję jasny sygnał, że nie chodzi tylko o przygodę. Myśli o mnie jak o kimś, z kim mógłby się związać. Czy on chce ze mną chodzić?

W końcu Waldek przystępuje do ostatniej fazy adoracji. Nie jest w stanie wydusić tego osobiście, więc pisze:

Hej, Ewa, może dałabyś się zaprosić na kawę? Albo jeszcze lepiej: może poszłabyś ze mną coś zjeść?

Nie mam zamiaru ułatwiać mu zadania.

Waldek! Czy ty zapraszasz mnie na randkę?!

Konsternacja. Pisze coś i usuwa. Znowu pisze, znów usuwa. W końcu czytam:

Tak. Zapraszam panią na randkę.

Ok. To o której i gdzie?

Znowu konsternacja. Nie spodziewał się tak szybkiej reakcji. Będzie zabawa! Czy jest na to gotowy, czy nie, może go czekać sporo doświadczeń.

Matko, nie wiem, czemu wychodzi ze mnie taka sucz, ale zaloty Waldka

w ogóle mnie nie wzruszają. Patrzę na chłopaka i myślę: „Po cholerę porywa się z motyką na słońce...?”. Waldek jest miły. Zdecydowanie za bardzo. Ktoś w końcu da mu lekcję życia i obawiam się, że może paść właśnie na mnie. Głównie dlatego, że nie mam kaca moralnego. Przecież jak się igra z ogniem, można się poparzyć. Czemu winna jest świeca? Temu, że płonie?

*

Modna restauracja. Coś w rodzaju loftu, nowoczesny design, całkiem niezłe jedzenie. Punkt dla młokosa, jak by to określiła Inga. Siedzę z Waldkiem przy małym stoliku i widzę, że ten ledwo siedzi. Maślane oczęta. Wiem, że pięknie wyglądam. Powiedział mi to już jakieś pięć razy. Były też kwiaty. Kiedy w końcu dostajemy nasze makarony, pięknie pachnące ziołami, Waldek nieco się rozluźnia. Nareszcie zaczyna ze mną normalnie rozmawiać.

– Wybacz, że zapytam... Wiem, że jakiś czas temu byłaś z kimś. Ale teraz już nie jesteś?

– Nie, teraz nie.

– To dobrze dla mnie... – Uśmiech pełen ulgi. I nadziei. Kipi od słodyczy, naiwności, ale też chęci posiadania. Ileż to mężczyzna może przekazać w jednym geście!

– Co się właściwie stało? Jeżeli oczywiście chcesz o tym mówić. Nie chcę sprawiać ci przykrości.

Ależ jakiej przykrości? Nic z tych rzeczy, panie Waldemarze.

– Właściwie nic konkretnego. Znudził się i tyle.

– Znudził się... tobą? Nie wierzę.

– A widzisz. Określił to mianem depresji.

– Aha... Kurczę, musiało być ci niełatwo. To najgorsza sprawa, kiedy ktoś odchodzi, a ty zupełnie nie wiesz, co się dzieje. Masz wrażenie, że to twoja wina, a przecież nic złego nie zrobiłaś.

Oj, Waldeczku, nie baw się, proszę, w psychoanalityka. Lepiej nie próbuj mnie więcej analizować, bo jak ja ci zrobię sondę psychologiczną, możesz się nie pozbiierać.

– No widzisz. Trudno było, ale nie drażmy tematu. Wszystko musi mieć swoją przyczynę.

Waldek się rumieni, widać stalowe nutki w moim głosie wyprowadziły go z równowagi. Ojejku. Taki biedny.

Reszta wieczoru upływa jednak w miłej atmosferze. A może to wino? Nie. Waldek jest zdecydowanie przeuroczy. Dowcipny, dżentelmeński. Inteligentny, spostrzegawczy. Same plusy. Śmieję się jak nastolatka i wdzięczę. Miło patrzeć, jak traci głowę. Zobaczymy, co będzie dalej.

Waldek mnie odwozi. Umieram z ciekawości, czy zdecyduje się na odważny krok. Postanawiam przedłużyć sobie zabawę i nie wykonuję żadnych gestów. Pod moim mieszkaniem spogląda na mnie i uśmiecha się.

– To nasza pierwsza randka. Ale nie ostatnia?

Ja także się uśmiecham. Jemu to wystarczy. Nieśmiało zbliża się i składa na moich zmysłowych ustach pocałunek. I tyle! Wiem, że dalej nie pojedzie. Szarmancki Waldek chce odczekać trzy randki, aż dobiegnie mi się do majtek. Czegóż ta-

kiego dawno nie widziałam. Ale dobrze, nie mam nic przeciwko temu. To słodkie i doceniam to. Być może tacy faceci już nie istnieją. Pewnie nie. Za to wciąż częstym okazem są kobiety, które czekają właśnie na takich dżentelmenów. O tak, siedzi przede mną ideał wszystkich księżniczek, delikatnych panienek i świętoszek. Rycerz na białym koniu.

A ja, taka wyrachowana i bezlitosna, w ogóle nie jestem tym poruszona. To mi schlebia. Jest przeurocze. Ale zastanawiam się, czy Waldek to mazgaj. Czy za wrażliwością i inteligencją kryje się po prostu osobowość pizdy?

Rozdział 17

Hania

Tak zwane słuchy chodzą po firmowych biurkach. Odbijają się jak piłeczki pingpongowe i wpadają do e-maili, SMS-ów, komunikatorów. Z ust do ust. Można je znaleźć w kawie, lunchowych sałatkach i mikrofalówce.

Sieją grozę. I docierają w końcu do mnie. W ramach niesamowicie szybkiej integracji. Tak doskonałej, że żaden szef HR czy marketingu nie zdołałby tego lepiej zaaranżować.

Wkraczam do kuchni dosłownie na chwilę. Przy automacie z batonikami stoją dwie moje ulubienice. Ręce założone, włosy zakrywają twarze. Ewidentnie spiskują. Wiem, że mają mnie za szarą mysz, w dodatku taką, co nie potrafi usidlić faceta. Poza tym – jestem spoko. Jednak nawet ja – ich zdaniem mało zaangażowana – zasługuję na najświeższego, tłustego newsa.

– Siemano. Słyszałaś już? Zwalniać będą.

W waleniu informacją między oczy chyba jest lepsza od mojego ojca. Staję z pustym kubkiem w ręce i wlepiam głupawo wzrok to w jedną, to w drugą. Moje myśli uciekają ku ich hybrydowym paznokciom, doskonale dobranej garderobie i znakomicie ułożonym włosom. Zaćmienie.

– Hania, no weź, nie gadaj, że nie słyszałaś. Serio?

– Co?! – zdobywam się na resztkę odwagi, by krzyknąć.

– No, zwolnienia. Cięcia. Gadaj, jak chcesz, wczoraj trzy osoby poleciały. Z trzeciego piętra.

– Ale dlaczego?

Proste pytania w takich sytuacjach wydają się zawsze najgłupsze.

– A skąd mamy wiedzieć? Podobno firma ma jakieś kosmiczne długi. I teraz gównem wypływa.

Potem zaczynają się przerzucać zmartwieniami, jak to teraz będzie, i obstawiać, kto poleci następny. Ale ja już tego nie słyszę. W głowie mam tylko huk i bardzo namacalny strach.

Co teraz? Co będzie, jeżeli stracę moją stabilną, dobrze płatną pracę?

*

Dochodzę do toalety na chwiejnych nogach. Lęk, który przychodzi tak nagle, ma wyjątkową moc. Oddycham płytko. Żołądek zawiązał się na supeł. W ustach mam tak sucho, jakbym zamiast kanapki najadła się piachu. Nie mogę się skupić. Myśli biegają w głowie w kółko, głuche na jakąkolwiek próbę zebrania ich do kupy. Wołają tylko: „Co teraz będzie, co teraz będzie?!”...

Zupełnie nie wiem. Muszę wyjść. Do ludzi. Spokojnie. Może to tylko plotki. Wielka firma z zagraniczną centralą ma zwolnić wszystkich pracowników z dnia na dzień? To jakiś obłąd. Głupia plotka. Straszak. Nie dam się zwariować.

Kiedy wracam do biurka, zauważam, że wszyscy mają wystraszone miny. Po-

dejrzewam, że jest tak od dłuższego czasu, tylko ja, pogrążona ostatnio w swoim świecie, niczego nie zauważyłam.

Szepczą między sobą. Palce aż się palą od pisanych wiadomości. Gadają między sobą na komunikatorach, bo mówić głośno, mówić O TYM, to strach.

*

Na pasku pulpitu coś miga na pomarańczowo. To Andrzej. Pierwszy facet, który mi się spodobał. Od ponad tygodnia topię się w internetowej otchłani. Pierwszy dzień to była mieszanka euforii, szoku, nadziei i rozczarowania.

Ile razy będę musiała się zdziwić, sparzyć, zrazić, żeby w końcu zyskać odporność? Być może istota mojego pokroju nie ma na to szans.

Palec wskazujący jeszcze nie boli, ale pewnie zaraz zacznie. Scroll, scroll. Myszka w górę i w dół. Na ekranie przesuwają się twarze. Siedząc od tygodnia na tym samym portalu, niektóre znam już na pamięć. Ciągłe te same.

Krzysiek, lat dwadzieścia osiem. Całkiem przystojny. Dostępny ONLINE. Maciek, lat trzydzieści dwa. Rozwiedziony. Jego motto to: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Misiek88. Brzydki straszliwie, zawsze dostępny. Zaczepiał mnie raz czy dwa. Alek, lat trzydzieści pięć. Całkiem sympatyczny. Całkiem zwyczajny. Napisał do mnie kilka słów. Nie podoba mi się. Nie odpisałam. Adrian, lat dwadzieścia dziewięć. Bardzo przystojny, wyrzeźbiony niczym Dawid. I pusty jak wydmuszka.

Cześć, mała, co tam? Umówimy się na jakąś kawkę albo piwko?

Hej! Lubię dobrą książkę i kino. Szukam kogoś, z kim spędzę letnie wieczory. Umówimy się?

Cześć! Co taka piękna kobieta robi na tym portalu? Mogę oferować swoje czarujące towarzystwo. Choć pewnie nie może się równać z twoim.

Dzień dobry. Jesteś piękna. Czy interesuje cię seks bez zobowiązań?

Hej. Jestem Krzysztof. Mieszkam w Hiszpanii. Może będę w Polsce za jakiś czas. I jak będziesz miała ochotę i czas, to możemy się spotkać na kawę, i jakbyśmy się spotkali i fajnie by się nam rozmawiało, to może bym Ciebie zaprosił do Hiszpanii na wakacje i zapłacił za bilet.

Głowa mi pęka. Od nich wszystkich. A to dopiero preludium.

Nie. Nie mam ochoty na kawę w pańskim towarzystwie. Ani na bilet do Hiszpanii. Nie, wcale nie mam ochoty na przygodny seks ani małe piwko.

A ty? Ty mi się po prostu nie podobasz. Skręca mnie w żołądku na samą myśl.

Nie o tobie, ale o tym, że jestem taka pusta. Wyglądasz całkiem normalnie i piszesz całkiem składnie. A jednak nie jesteś w moim typie, więc skazuję cię, potencjalnie dobry chłopaku, bez nałogów i natręctw, na pustkę i niechcenie. Pewnie stworzylibyśmy dobry związek. Pewnie dałbyś mi poczucie bezpieczeństwa, spełnienia. Ale ja nie czuję tej chemii, delikatnej mgiełki, której wdychanie powoduje zawroty głowy i przyspieszone bicie serca. To nie twoja wina. Moja też nie, więc dlaczego czuję tak okropne wyrzuty sumienia? Dlaczego czuję się jak najbardziej popieprzona dziewczyna na świecie?

Jestem paradoksem. Szukam i nie chcę znaleźć. Szukam i odrzucam. Jestem odrzucana. I choć samotność jest stanem permanentnym, który osłabia mnie mocniej niż gorączka, to jednak wciąż mam swoje wyobrażenia, które chcę zrealizować.

Nie mogę tego znieść i przez to jeszcze trudniej znieść mi samą siebie...

Śmiem stawiać wymagania? Ilekroć czytam, jak bardzo ci zależy, żebym się jednak odezwała, kiedy pytasz, dlaczego nie chcę rozmawiać, mam ochotę walić głową o ścianę. Bo? Bo nie znam odpowiedzi. Bo kiedy mi się nie podobasz, nie dopuszczam myśli, że to się może zmienić, kiedy cię poznam. Ale przede wszystkim: tak bardzo boję się cię zranić. Zakleszcza mnie paniczny strach, że kiedy już mnie poznasz, a potem usłyszysz: NIE, będzie gorzej. Sto tysięcy razy gorzej.

I tak w kółko. Jeden tydzień pisania z ludźmi, z potencjalnymi kandydatami na partnera (uwielbiam te psychologiczno-społeczne określenia), a ja przeżywam wszystko o wiele mocniej i bardziej niż inni. To znaczy – tak mogę wywnioskować z rozmów. Pamiętam pewną kobietę, znajomą, która niespodziewanie stanęła w obliczu zdrady męża. Wyznała mi to zupełnie niespodziewanie i przyznam, że całkiem mnie zamurowało. To było służbowe spotkanie, a my znałyśmy się bardzo słabo, widziałam ją drugi raz w życiu.

Na chwilę zostałyśmy same w pokoju konferencyjnym, a ona rzuciła nagle:

– Wczoraj sprawdziłam telefon męża. Znalazłam tam jej SMS-y.

Nastała cisza. Wpatrywałam się w nią. W jej twarz, po której przemknęły ból i wielki żal. A zaraz potem gniew.

– Nawet nie zaprzeczył. Po prostu znalazł sobie inną i ma romans.

Wyrzuciła to i być może jej ulżyło. Taką mam nadzieję, bo ja myślałam o tym jeszcze długo. Potem spotkałam ją znowu, kilka miesięcy później. Przywitała mnie jak starą znajomą.

– Ty wiesz, zajebistego faceta w Internecie poznałam. Mówię ci! Zajebisty!

– Wow! Gratulacje... A długo szukałaś?

– No co ty, nawet zdjęcia nie miałam. – Zachichotała i oddaliła się od mojego biurka, kołysząc biodrami. Matka dwójki dzieci i przyszła rozwódka, z pozwem w sądzie.

Może to ze mną coś jest nie tak, skoro już na wstępie otaczam się murem lęków i wyobrażeń. Pewnie tak właśnie jest. A może... A może wcale nie chcę wyjść z tego wszystkiego? Może samotność mi się podoba jak samobójcom stryczek? Kiepskie porównanie. Ale coś w tym jest. A może po prostu... *ja za dużo widzę, zbyt mocno czuję*¹³? Słowa tej piosenki chodzą mi ostatnio po głowie. I taki mam nick w sieci. Jenny⁸⁵.

13 Edyta Bartosiewicz, *Jenny*, [w:] *Dziecko*, PolyGram Polska, 1997.

Jenny85 jest niestety dokładnie taka jak ja. Nie udaje mi się za bardzo zgrywać nikogo innego.

Jenny85 jest idealistką, pełną marzeń i wiary w mężczyznę. Od razu daje poznać, że szuka miłości i stabilizacji. Chce się poczuć bezpiecznie. Wszystko jest na poważnie. Flirt umiarkowany. Rozmowa na wysokim poziomie. Żadnych sprośności, bo to ją bardzo krępuje. Nie kłamie, szybko kładzie kawę na ławę. Tak, szuka związku, tak, wierzy w miłość, tak, jest pełna emocji...

Na razie zostaje Andrzej. Patrzę na jego zdjęcie, dosyć wyraźne, legitymacyjne, i moją uwagę zwracają przede wszystkim oczy. Duże, oliwkowe, łagodne. Przy stojny, przynajmniej taki się wydaje. Jest budowlańcem. Jakiś głosik w głowie szepcze, że może nie chcę się umawiać z budowlańcem, ale zagłuszam go. Trzeba spróbować, a kto nie ryzykuje, ten nie ma.

I kto to mówi?

Andrzej nie pisze o sobie za dużo, bo ogólnie jest zapracowany. Mieszka pod Warszawą. Ma trzydzieści cztery lata. Wykształcenie zawodowe. Lubi gotować.

Proponuje spotkanie w niedzielę. Kiedy czytam te słowa, serce zaczyna bić ze stresu, a dłonie robią się mokre w sekundę. O matko, matko, matko.

Zgadzam się. Podaję mój numer. Czekam.

Ewa

Przesuwam palcem po jego klatce piersiowej. Twarda jak skała. Opuszkami wyczuwam, jak pięknie jest wyrzeźbiona. Zjeżdżam niżej, aż wyczuwam zwężenie. Pamiętam, jak w szkole czytaliśmy *Pamiętniki Adama i Ewy* Marka Twaina. Kiedy Ewa zobaczyła Adama, opisała go tak:

*Zupełnie nie ma bioder; zwęża się ku dołowi jak marchewka; kiedy wstaje, staje w rozkroku jak dźwig, myślę więc, że jest gadem, choć równie dobrze może być jakąś budowlą*¹⁴.

14 M. Twain, *Pamiętniki Adama i Ewy*, Kraków 2006, s. 20.

Kiedys z Ingą przypomniałam sobie ten tekst po pijaku. Pamiętam, że w podstawówce, podczas czytania, dziewczyny chichotały jak wariatki, a chłopcy mieli policzki czerwone niczym buraczki. Odgrzebałyśmy w Internecie fragmenty.

Myślę, że to mężczyzna. Nigdy nie widziałam mężczyzny, ale ten Eksperyment wyglądał jak mężczyzna, i jestem pewna, że nim właśnie jest. Zdaję sobie sprawę, że odczuwam większe zainteresowanie nim, niż jakimkolwiek innym gadem. O ile to gad, a przypuszczam, że tak jest, gdyż ma włosy w nieładzie i niebieskie oczy, i wygląda jak gad. (...)

*Dzisiaj znowu to samo: to stworzenie znów wlazło przeze mnie na drzewo*¹⁵.

15 *Ibidem*.

Serio, każdy facet to właśnie taki eksperyment. Muszę udawać nieśmiałą, wtedy nie włązi na drzewo. Wręcz przeciwnie, wychodzi z niego jaskiniowiec. Kto by przypuszczał, że wyrośnie ze mnie taka pogromczyńni męskich serc?

Mirek ma ciało jak *Dawid* Michała Anioła. Całkiem udany z niego eksperyment, a ta marchewka u dołu jest wyjątkowo pokaźna. Jeszcze zanim dotrę do kępki włosów, łapie mnie za rękę. Mocno.

Mirek to wojskowy. O matko, wojskowy w każdym calu. Znalazłam go na Tinderze. Gdy tylko zobaczyłam koszulkę opinającą bicepsy i zacięty wyraz twarzy, wiedziałam, że musi być mój. Jeszcze tego samego dnia umówiłam się z nim w knajpie. To on wybierał miejsce, dosyć osobliwe. Nie w centrum, ale w zielonej dzielnicy, słynnej Saskiej Kępie.

Można sobie w głowie układać wiele stereotypów na temat wojskowych. Można sobie wyobrazić faceta dowódcę o sztywnych gestach i zwięzłym sposobie mówienia. Opalonego, wyrzeźbionego, gotowego wszędzie, o każdej porze dnia i nocy, stanąć do walki w obronie kraju. Nieco oschłego w obejściu, stosującego dyscyplinę w każdej czynności, nawet przy oddawaniu moczu.

I taki właśnie jest Mirek. Ubaw po pachy. Siedzi przy stoliku. W piwnych groźnych oczach odbija się blask świec.

– Trzeba uważać, maleńka... – Nie wierzę, że mówi do mnie „maleńka”, ale

dobrze słyszę. Widać kobieta dla takiego macho jest zawsze maleńka.

– Zobaczysz, że niebawem coś pierdolnie.

– Ale co? Nie rozumiem.

– Mam dane, o jakich ci się nie śniło.

Zbliża się do mnie, czuję jego oddech na twarzy. Pachnie kawą i papierosami.

– Będzie lepiej, jeżeli w te wakacje wyjedziesz z Warszawy. Może się zadziać.

– Co zadziać? – Próbuję zachować powagę. Mam przed sobą wizjonera, pomysleńca czy człowieka, który właśnie sprzedaje mi narodową tajemnicę państwową za kilka groszy?

– Tego nie mogę zdradzić. Ale uwierz mi, rządy mają takie pomysły i takie brudy poupychane w swoich strukturach, że nawet ci się nie śniło.

– O matko... – Pełna powaga. Łódzka filmówka nieskończona, ale mój wyraz twarzy to pełen profesjonalizm. Oscar dla mnie, proszę!

– Nie inaczej. Wiem już za dużo. Zepsuli mnie. Już się nie wydostanę.

Mówi apokaliptycznym tonem, a ja chyba zaraz nie wytrzymam, parsknę śmiechem i zepsuję swoją kreację niewzruszonej i przejętej „maleńkiej”. Muszę przyznać, że bawię się świetnie. Mirek nie jest głupi, rozmawia nam się bardzo dobrze. Im więcej dowiaduję się o jego wojskowym zdyscyplinowanym życiu, tym jest ciekawiej.

Zastanawiam się, czy owa wojskowość zadziała również w sferze intymnej. Nie mogę się doczekać, żeby to sprawdzić. Jak się okazuje, Mirek również nie ma oporów. Stawia sprawę jasno.

– Jedziemy do hotelu, maleńka? Ja płacę.

Odpowiadam uśmiechem. Wstajemy, idziemy do samochodu.

Hotel ładny, nie najtańszy.

Pościel czysta, pachnąca. Uwielbiam hotelowe pościele.

Mirek jest w łóżku dokładnie taki jak w gadce. Twardy, zdyscyplinowany. I bardzo pracowity. Wspaniale, doskonale!

Rozdział 19

Hania

E-mail szefa działu obiega służbowe skrzynki lotem błyskawicy. I równie szybko wybuchają wrzawy. Najpierw tłumiona, a potem coraz głośniejsza.

Zebranie. Zebranie dla wszystkich, za piętnaście minut w dużej sali konferencyjnej.

– Zwolnią nas. Zobaczycie, wszystkich zwolnią!

– Nie, najpierw powiedzą, że zostaną najlepsi i mamy wziąć udział w wyścigu szczurów...

– No co ty! Powiedzą, że sytuacja jest kryzysowa i obcinają nam pensje, że o premiach nie wspomnę.

– A ja myślę, że to spotkanie to pic na wodę, a potem i tak będą wręczać zwolnienia. Każdemu po kolei.

Siedzę i słucham. Jest piątek. Godzina jedenasta rano. Normalnie o tej porze ludzie myślą już o jedzeniu, a w tak szczególny dzień jedną nogą są już na parkiecie, na drinku, w podróży lub po prostu pod kocym, z książką. Weekend. Słodki weekend. Przykro patrzeć na nich teraz, kiedy piątek zamienia się w wielką niewiadomą.

Ja sama dostaję spazmów z przerażenia.

Szef naszego działu wtacza się do sali. Prawdę mówiąc, wpełza. Niski, chudy, uosobienie cwaniactwa i chłodu. Jego fizjonomia doskonale współgra z charakterem. Lisek chytrusek. Oślizgła jaszczurka. Nienawidzimy go wszyscy. Zasłużył sobie na to, ale może ma po prostu w nosie wszystko i wszystkich. Poza pieniędzmi.

Zaciera ręce, uśmiecha się i przemawia. Nikogo z nas nie zna po imieniu. Patrzy na szereg liczb, słupków i tabel. Nasze twarze to dla niego szara breja, z której z ledwością odróżnia jakiegokolwiek elementy: zbiór garniturów i sukienek, szpilek i krawatów.

– Chyba czas na zebranie, moi drodzy, bo słuchy mnie dochodzą, że martwicie się o zlecenia. – Uśmiecha się szeroko i obejmuje nas wzrokiem jak proboszcz na kazaniu.

Odpowiada mu grobowa cisza.

– No więc, kochani... – Znow ten szelmowski uśmiech. – ...nie ma powodów do obaw. Pracy jest dużo! Żadne bankructwo wam nie grozi. Firma planuje się dalej rozwijać, więc nie macie się czego bać. W żadnym razie! To tyle z mojej strony. Jeżeli ktoś ma pytania, zapraszam do gabinetu – kończy znow tym przebiegłym uśmiechem. Nikt, absolutnie nikt dobrowolnie nie poszedłby do jego gabinetu.

Krótkie zebranie. Nikt nie wierzy kłamcy, ale... paradoks polega na tym, że czujemy się uspokojeni. Łatwo uwierzyć, gdy ktoś, prowadzący cię właśnie do przepaści, zapewnia, że nic ci nie grozi. Wiesz, że za chwilę spadniesz, ziemia osypuje ci się spod nóg, ale idziesz, udajesz, że nie widzisz, czekasz na tragiczny finał.

*

Piątek jest jak zły sen, w sobotę czuję więc ulgę. Ale już od południa denerwuję się randką. Pierwszą w życiu internetową randką. Na razie z nikim nie rozmawiam, z nikim więcej się nie umawiam. Emocje i tak buzują we mnie, skutecznie przepędzając zmęczenie i sen.

Sprzątam mieszkanie jak szalona. Mała przestrzeń mnie nie powstrzymuje. Myję okna, porządkuję szafki, sprzątam lodówkę. Robię porządek w przyprawach. Odsuwam niektóre meble. Jeszcze chwila, a wyjmę wałek do malowania...

Postanawiam wtajemniczyć przyjaciół. Powtarzam sobie, że muszę się bardziej otwierać i śmieiej pokazywać światu status „szukającej”. To może, sama nie wiem, sprzyjać szczęściu?

– Aśka, mam randkę. Jutro.

– No co ty gadasz, Hanka, bosko! Kto, co, jak?

– Andrzej. Taki z portalu. Przystojny.

W niedzielę, w południe, kiedy słońce daje popis swoich możliwości, stoję na placu Zamkowym, nieopodal Kolumny Zygmunta. Mój wzrok przeczesuje teren jak komandos w buszu. Sama nie wiem, kogo się spodziewać.

Oddycham głęboko i przestępuję z nogi na nogę. Zaczynam rozważać ucieczkę, ale chyba zabrnęłam za daleko.

Poza tym nadzieja, że być może dosłownie za chwilę ujrzę przed sobą miłość życia, jest... zaskakująco wielka. To chore. Szalone. Niewłaściwe. Zamieniłam z nim kilka słów na portalu. Nawet nie znam brzmienia jego głosu.

Dostrzegam w końcu wysokiego mężczyznę. Patrzy na mnie i zbliża się, kuląc nieco ramiona. Przynosi różę. Całkiem niezły początek... Chyba. Przez myśl przebiega mi raczej, że za moment wybuchnę. Ze stresu, emocji i niepewności.

Andrzej podchodzi i mówi po prostu...

– Cześć. Hania...? – Po czym nieśmiało się uśmiecha, a ja jestem zupełnie nieprzygotowana na to, co widzę.

Czyli na brak jedyńki.

Zamiast przedniego zęba Andrzej ma po prostu dziurę. Nie daję rady ukryć szoku, więc on jeszcze bardziej kuli ramiona, robi się czerwony jak burak i wybąkuje:

– Ja, eee, no tak wyszło, tak mi to dentysta na NFZ spieprzył, będę to robił, serio... Czy już jestem skreślony?

Teraz to mnie jest głupio. Widzę, że Andrzej pali się ze wstydu, ale na pewno nie będzie wstawał z popiołów niczym Feniks. Wygląda raczej jak zmarnowany kogut. Jak już spłonie, będzie za późno. Zapewniam go, że nie, jeszcze nikogo nie skreślałam, spokojnie! I w końcu przyglądam mu się uważniej. Jest całkiem przystojny, ale nie tak jak na zdjęciu. Nieśmiałość i speszenie odbierają jego oczom spokój i głębię. Czarna, wypłowiała koszulka i sprane džinsy sprawiają wrażenie zaniedbania. Wygląda jak facet, którego kobieta „tak wypuściła z domu”, albo raczej jak stary kawaler.

Andrzej bardzo się denerwuje. Idziemy chwilę w milczeniu.

– To co, dasz się zaprosić na kawę? – rzuca niepewnie.

Czuję, że się rozluźniam. Przyozdabiam twarz uśmiechem i myślę sobie: „No dobra, nie ma zęba. Ale ząb można wstawić, świat się na tym nie kończy”. Im dłużej

kroczyć u jego boku i słucham opowieści, jaką snuje o swoim życiu, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to nie jest facet dla mnie. Coś mi nie pasuje. Coś ważnego. Jesteśmy z różnych światów. Łączy nas wrażliwość i emocjonalność, ale poza tym jest przepaść.

– Mieszkam z mamą i siostrą. No, wiesz, tak wyszło. Czternaście lat byłem z kobietą. To był toksyczny związek. Rozumiesz. To już skończone, teraz trzeba zacząć coś nowego. A ty? – Ciągłe nerwowo się śmieje. Chyba bardzo mu się podobam. Robi wszystko, żeby jakoś mnie do siebie przekonać.

– Czternaście lat wytrzymałeś z kimś, kto ci robił w życiu piekło? – wrywa mi się. I już nienawidzę siebie za to, że okazuję jakąkolwiek troskę, bo widzę, że jest tego złakniony. Moja uwaga to dla niego balsam. I nadzieja. Nie chcę dawać żadnej nadziei. Wiem, że to się nie uda. Wiem, że my się nie udamy, i lepiej, żeby na nic nie liczyć.

Jeszcze nawet się nie rozstaliśmy, jeszcze razem siedzimy na kawie, a ja już płaczę wewnątrz, że będę musiała powiedzieć NIE. I tym samym zetrzeć z jego twarzy ten wyraz radości, że spotkał fajną dziewczynę. Taką, która go nie wykorzysta, ale otoczy ciepłem, miłością, zadba o niego.

Niesamowicie dużo emocji jak na jedno spotkanie.

No tak, zapomniałam. To ja jestem emocją. Prędzej zamęcę samą siebie i utopię w udreće, niż dam spokój i spojrzę na sprawę trzeźwo.

Randka z Andrzejem trwa w sumie trzy godziny. To niemało. Rozmawia nam się spokojnie, choć poczucie, że to zupełnie „nie to”, się wzmaga.

Chce mi się płakać. Patrzę na jego spięte barki, wciąż nieco speszony wzrok i szczerbaty uśmiech. Widzę, że on ma zupełnie inne odczucia niż ja.

A ja będę musiała go odrzucić. Życie? Nikt mnie nie przygotował na odrzucenie. Kłania się w pas brak doświadczenia. Kiedy taka stara baba jak ja ma przystąpić do dzieła, okazuje się, że... to nie działa. Za dużo współczucia, refleksji. Zbyt wielkie przekonanie, że nie chcę, aby innych bolało tak jak mnie...

Wracam do domu. W końcu. Telefon pobrzękuje. No jasne.

Super się bawiłem. Jesteś bardzo fajną dziewczyną. Kiedy się znowu spotkamy?

Nigdy!!!

*

– Ale, Hanka...

– Co Hanka? Wiesz, jak on będzie cierpiał?

– Kobieto, ty słyszysz sama siebie? Widział cię raz w życiu! Ma ponad trzydzieści lat i jest po czternastoletnim związku! Nie ma powodu do rozpacz, to człowiek, który wie, że tak bywa! – Aśka zupełnie nie wie, co robić. Ja też nie wiem, to dla mnie nowy rozdział i nie podoba mi się jak cholera.

– Będzie mu przykro. Przeze mnie! Ja nie jestem od sprawiania cierpienia! To niesprawiedliwe... – Może trudno w to uwierzyć, ale łzy ciekną mi tak, jakbym miała obciąć komuś głowę. W końcu Aśka pojmuje, że cała moja dojrzałość i waleczność odleciały gdzieś daleko. Przytula mnie jak dziecko. Bo nim jestem. Tak mało umiem.

Rozdział 20

Ewa

Waldek, Waldek, Waldek. Dzisiaj na biurku znajduję małą, uroczą pralinę. Karteczkę. Wierszyk:

Kocham czekoladę. Lubię poezję. Na to zasługuje kobieta.

Te maślane oczy wlepione we mnie bezustannie. Ta obecność, ciągła i rozpaczliwa. To staranie mozolne, gorliwe, twórcze. Waldek.

Miło mieć w pracy adoratora. Od naszej randki chłopak traci głowę. Przetawiał mu się tryb z „Marzę o niej” na „Spotykamy się”. Ciekawe, co będzie na statusie „Pieprzę ją”.

Dzień za dniem Waldek nie odpuszcza. To robi wrażenie. Nic go nie zniechęca i cała firma widzi, że coś się między nami zaszło. Dziewczyny posyłają mi uśmiešky. Inga ma rację, wiem. Muszę uważać, żeby te spojrzenia z pobłażliwych, a nawet przychylnych, nie zamieniły się w nienawiść i potępienie.

Jeszcze czuję na pośladkach mocarne dłonie Mirka, a już umawiam się z Waldkiem. Czemu nie? Ostatnimi czasy wracanie do pustego mieszkania zaczyna mnie jakoś nudzić. Przeanalizowałam też finanse. Koszty są za duże. Muszę wynająć komuś pokój.

Chichoczę na samą myśl. Może Mirek albo Krzysiek, a może Adam albo Marek. Który chce mieszkać w moim mieszkaniu? I być zawsze gotowy na niezapowiedzianą wizytę? Płacenie w naturze odpada. Przyjemności to bonus ode mnie!

Waldek marzy o kolejnym spotkaniu. A ja spełniam marzenia jak dobra wróżka. I oto znów jesteśmy na wspaniałej kolacji. Wino, świece, zachwycony chłopak. I ja.

Dzisiaj wodzę go na pokuszenie. Patrzę na niego. Biedak nie wie, co robić. Pożera wzrokiem moją małą czarną. Ta kiecka to najgenialniejszy wynalazek ludzkości. Waldek zatracą się w wyrazistym spojrzeniu. Wariuje na widok pełnych, zmysłowych ust. Cała się mienię, jakby opromieniał mnie jakiś blask. Satynowy cień na powiece, kolczyki z cyrkonią, delikatny błyszczek. I płomienie świec, odbite w wielkich oczach. Zielonych, bo właśnie takie soczewki sobie dzisiaj wybrałam. Nie, chłopaku, nie musisz wiedzieć, co to, ani znać tajników damskiej torebki. Ważny jest efekt. Ja jestem efektem, tak skutecznym, że zrobisz dla mnie wszystko.

Oglądają się za mną kelnerzy. I panowie w restauracji. Gdy idziemy do samochodu, jeden wpada na drzwi. Nie przeszkadza mu to, gapi się dalej.

Uwielbiam być panią sytuacji. Uwielbiam kołysać się na wysokich szpilkach. Kobiecość to wielki dar.

W samochodzie Waldek nie wytrzymuje. Całuje mnie. Całkiem niezłe! Punkt dla niego. Całuje dalej. Namiętnie i rozpaczliwie. A kiedy nieco się rozluźnia – słodko. Nic nie mówi i o nic nie pyta. Kiedy stajemy pod moim mieszkaniem, wiemy, że tym razem wejdzie na górę.

Mężczyznę można poznać po seksie. Czasem wiesz dobrze, czego się spodzie-

wać, a czasem czeka cię zupełne zaskoczenie. Lubię być zaskakiwana.

Waldek jest taki, jak sobie wyobrażałam. Delikatny i zmysłowy.

– Mówię ci, Inga – opowiadam potem – taki seks od czasu do czasu jest zajebisty. Chłopak skupiał się wyłącznie na mnie. Cokolwiek bym nie próbowała zrobić, od razu wracaliśmy do mojej przyjemności. Bogini w pościeli!

– Ech, Ewka, co ci mam powiedzieć. Fajnie!

– No, fajnie.

Namiętny i słodki. Czuły i wrażliwy. Oddany i uważny. Waldek w łóżku. Koniec to dla niego preludium. Przejście do kolejnego etapu. Zamyka w ramionach, głaszcze. Delikatnie całuje. Jego czujność nie ustaje. W końcu odpływam ukołysana. Poddaję się pieszczocie. Znikam.

*

Budzę się. Nie śpi. Patrzy na mnie. Wyciąga rękę, gładzi po włosach. Nic nie mówi. Łagodnie się uśmiecha. Jedyne, co umiem na to odpowiedzieć, to:

– Kawy.

Wstaje i znika w mojej kuchni. Chwilę bada szafki, robi rozeznanie. A po kilku minutach moje nozdrza rozpieszcza smakowita woń. Cudowne aromaty wyciągają mnie z łóżka.

Kiedy zaszczytam kuchnię swoją obecnością, czeka na mnie zastawiony stół. Waldek wykorzystał to, co znalazł w lodówce. A skoro nie było pieczywa, wyczarował pulchne, amerykańskie naleśniki. Tak zwane *pancakes*. Do tego jajecznicą, trochę twarożku, warzywa. I kawa.

Zajadam się i patrzę zagadkowo. Nie pierwszy raz ktoś robi dla mnie śniadanie. Nie pierwszy raz jestem traktowana jak księżna. I dobrze. W przeciwieństwie do większości kobiet, uważam, że tak powinno być, i pławię się w chwale. Dbam o siebie i wyglądam jak milion dolarów albo raczej cały skarbiec Ali Baby. On dba o to, abym nie przestała lśnić. To ma sens. Kto zaszufadkuje taki pogląd jako egoizm, ten widocznie nie rozumie podstawowych mechanizmów traktowania kobiety.

Ja też potrafię kogoś rozpieścić. Też umiem zadbać i zrobić dobrze, nie tylko w łóżku. Na wszystko jest czas i miejsce. Na razie cenię wygodę.

Jedziemy do biura razem. Waldek uśmiechnięty. Oczy mu błyszczą, a kąciuki ust bezustannie zdradzają zadowolenie. Spełnia się jego sen. To przeurocze.

– Zobaczmy się dzisiaj po pracy? – pyta i pochyla się, by delikatnie mnie pocałować.

Och, Waldek. Taki jesteś słodki. Twoja czułość i dobroć mogłaby rozwiązywać konflikty zbrojne i obłaskawiać tyranów. Ale nie. Nie chcę się spotkać dzisiaj po pracy, bo jest już ciebie nieco za dużo. Nie jesteśmy razem. Nie galopuj tak. Jedna noc i jedno śniadanie to nie cyrograf!

– Dam znać, dobrze? – I błyskawicznie wysiadam. Duszno w tym aucie. Muszę zmienić otoczenie.

Siadam za komputerem i czuję ulgę. Bosko, ale to nie to. Zupełnie nie to. Waldek popłynął za daleko. Jest już na drugim brzegu i woła mnie, ale biedak nie ma pojęcia, że ja mam zupełnie inny kurs.

Jestem królową spławiania, mówienia NIE i dyktowania swoich zasad. Odprawię go z kwitkiem bez mrugnięcia okiem.

Taka ze mnie suka? Wręcz przeciwnie. Jest jeszcze wcześniej. Spełniłam marzenie Waldka, ale nie zawałam mu życia. Może go zabolę, ale przecież sam się pchał, sam się zgodził, sam zaryzykował. Szybko mu przejdzie. Ja pójdę dalej, on się czegoś dowie. O sobie, o relacjach, o kobietach. A może nie?

Waldek. To marzenie większości pańienek, które wypatrują księcia na białym koniu. Taki dobry jak świeży, tradycyjny chleb. Masło rozkosznie się na nim topi...

Cudownie. Ale ja czuję, że moją skórę nadal napina łaknienie. Pragnę adrenalinę. Emocji. Szału. Nic nie jest w stanie mnie zaspokoić i zatrzymać.

Przykro mi, Waldek.

*

Muszę wybrać dobry moment. Szybkie cięcie. Ostatni raz dopuszczam do siebie kogoś z bliskiego otoczenia. Przestałam się bawić, a zaczynam odczuwać zmęczenie.

– Inga, jestem podłą suką? – pytam, jak zawsze wiedząc, co usłyszę. Tym razem Inga chwilę milczy. Kołyszę kieliszkiem. Różowy płyn obmywa szkło, kojarząc mi się z przyływem. Morze. Kiedy ja ostatni raz byłam nad morzem? I z kim chciałabym spacerować po plaży?

– Nie, Ewka, nigdy nie nazwę cię podłą suką. Za dobrze cię znam, żeby tak myśleć. Mały sobie zasłużył na baty.

– No, zasłużył.

– Ale nie do końca tak, jak myślisz, że ja myślę.

– Co ty, Inga?

– Pan superromantyczny książę na białym koniu ma dziwną skłonność do kobiety, która jest nie dla niego. Kapujesz? Widzi, z kim ma do czynienia, a i tak się pcha! Właśnie za to należą mu się baty.

Teraz to ja myślę. Nie o tym, co powiedziała Inga, ale o tym, że wyskakuję z taką analizą w momencie, kiedy całkiem nie o to proszę. Za dużo wypięła? Faktycznie, wina poszło sporo. Ale nie aż tak wiele, żeby tyle główkować.

– Sorki, Ewka. Sorki. Tak mi się powiedziało. Mam jakiś gorszy czas ostatnio.

– Tylko nie depresja, błagam!

– Nieee, żadna depresja. Chyba, kurde, zaczynam się oglądać za bardzo za siebie. Trzy dychy już dawno za mną. A rodziny ni widu, ni słyhu. Zaczyna mnie to dobijać. Każdy jest super w łóżku. Każdy w moim łóżku chce się znaleźć. Ale wytłumacz mi, kurwa, jakim cudem Nowy Rok spędzam sama, a na święta nie mam się gdzie podziąć?

Unoszę tylko brwi. Ja także piłam wino, ale nie jestem w nastroju na głębokie rozmowy o życiu. Cholera. W sumie od długich miesięcy nie mam ochoty na zwierzenia. Mogę opowiadać Indze godzinami o tym, z kim spałam i w jakich pozycjach. Ona wie dokładnie o każdym facecie, bez wyjątku. A jednak, gdyby zapytała mnie, dokąd właściwie jadę, co mam w głowie i jaki jest plan, powiedziałabym jej: spierdaj. Pewnie dlatego nie pyta.

Siedzimy kilkanaście minut w ciszy. Nic nadzwyczajnego. Potrafimy sobie pomilczeć. Ale czuję, że z Ingi wyłazi jakiś wyjątkowo paskudny demon. Powiało mi tu jakimś smutkiem, rozbiciem, rezygnacją. Kogoś mi to przypomina. Rafała.

Inga wychodzi. Ulga. Chciałabym pocieszyć przyjaciółkę. Przytuliłam ją moc-

no. Chyba tym gestem wyraziłam to, co do niej czuję. Nie mam bliższej osoby od niej. Nawet Rafał nigdy nie był aż tak ważny. Ale coś sprawia, że nie czuję się kompetentna, żeby wyciągnąć ją z tego nastroju.

Oj, mała. Kumpela cię potrzebuje, to jest ten moment, kiedy masz działać, a nie odpuszczać. Ona to nie fagas z Internetu!

Jutro mam zamiar od rana się tym zająć. I dać kosza Waldkowi. Co do tego nie mam nawet śladu wahania. Wkroczenie w obszar „wrednej suki” zaczyna się w momencie, w którym coś można nazwać związkami. Ja z Waldkiem nie jestem w żadnym związku. Z nikim nie jestem i nie chcę być.

*

Messenger? Telefon? Karteczka? Nie! Ja mam jaja. Zimną krew. Odwagę cywilną i co tam jeszcze można sobie wymyślić.

Waldek już od wejścia łąsi się jak pies. Jest niespokojny. W odpowiedzi na jego poranne wiadomości napisałam tylko: „Musimy pogadać”. Wszyscy to uwielbiamy. Wezwanie na rozmowę. Nikt tego nie uniknie. Życie składa się między innymi z trudnych rozmów.

To zaczynamy! Będzie miał klasę, godność, przyzwoitość? Nie znam go, nie jestem w stanie przewidzieć. Kilka wspólnych wieczorów, jedna noc. Za mało, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Słuchaj, Waldek. Myśl o mnie, co chcesz, ale dla twojego dobra musimy przystopować. Właściwie to zupełnie przestać się widywać.

Waldek blednie, marnieje w oczach.

– Coś się stało?

– Nic konkretnego.

– To o co chodzi? Nie rozumiem. Ewa...

– Rozumiesz, bardzo dobrze... Przecież wiesz, że nie jestem dziewczyną dla ciebie, a ty facetem dla mnie.

Niecierpliwie się, bo nawet najtwardszy gracz nie lubi konfrontacji. To będzie bardzo krótka rozmowa. Dorzucam więc ostatnią, najważniejszą uwagę:

– Jesteś zajebistym facetem. Zmarnowałbyś się przy mnie.

Wychodzę. Kurtyna w dół. Czuję ulgę. Mam to z głowy.

Wcześniej, tuż przed siódmą rano, podjechałam do Ingi. Przypuściłam szturm na drzwi. W rękę dzierżyłam jeszcze gorące drożdżówki z serem. Drzwi otworzyła kupa nieszczęścia.

Postarałam się. Drożdżówki, mocna kawa i do tego jajecznica z trzech jaj. Zestaw stawiający na nogi od zaraz. I zrzucający kamień z serca. Żadnych wyrzutów, że nie wspieram przyjaciółki.

*

Waldek chyba nigdy nie popełniał podobnych błędów albo też nie uczył się na nich. Próbuje jeszcze ratować sytuację. Nie poddaje się. Imponuje mi to. Ale nic nie zmienia. To, co czuję do Waldka, to jedynie sympatia, która może zblednąć, jeżeli nie da mi spokoju w najbliższym czasie. Na razie krąży z miną zbitego szczeniaka i nie umyka to uwadze koleżanek z biura.

Miałam co do nich sporo racji. Większość to kretyнки. Skąd myśl, że ja, podzi-

wiana przez nich Samantha, dam się usidlić chłopakowi o gołębim sercu? Miałam przejść nagłą metamorfozę? A no tak – siła miłości. Pewnie naiwne myślały, że to zadziała tak błyskawicznie...

Teraz łypią na mnie rozeźlonym okiem. Bardzo im się nie podoba to, co się stało. Waldek w ich oczach to chodzący cud, potraktowany jak śmieć. Mam to gdzieś. Żadnego stresu, napięcia, poczucia winy. Sama nie wiem, komu zawdzięczam taką cechę. Nie przejmuję się. Jak to się mówi w męskim świecie? Biorę to na klatę.

Za to w mojej skrzynce znajduję całkiem ciekawego e-maila. Jeszcze zanim automatycznie wywalę reklamę do spamu, moją uwagę zwraca grafika i napis: SPEED DATING.

Superszybkie randki! Oszczędzaj czas, nie marnuj go na pisanie w sieci! Przyjdź na speed dating i poznaj kilkudziesięciu przystojniaków równocześnie. Któremu dasz swój numer? To będzie zależało tylko od ciebie!

Proszę państwa! Biorę Inge pod pachę i zjawiam się tam natychmiast! Dobrze będzie odpuścić jeden clubbing i pobuszować w zupełnie nowym klimacie. Tak. Zmiana się przyda. Potrzebuję jej, żeby zaczerpnąć powietrza.

Rozdział 21

Hania

Cześć, Andrzeju. Dzięki za spotkanie. Piszę tutaj, bo w SMS-ach nie pomieszczę wszystkiego.

Niestety, nie mogę się z tobą ponownie spotkać. Przepraszam. Nie czuję „tego czegoś” i nie chcę, żebyś się angażował czy coś. Jesteś świetnym facetem, naprawdę! Trzymam za ciebie kciuki i mam nadzieję, że nie będziesz zły.



Kursor wciąż pulsuje, a ja się zastanawiam, skąd we mnie tyle żoły, hetery bez serca? Matko! Nie radzę sobie z tak prostymi emocjami. Nie przyjmuję do wiadomości rzeczy równie oczywistych jak odrzucenie nieodpowiedniego kandydata na partnera? To zupełnie obcy człowiek.

Wyrzucam czerwoną różę. Już nieco zwiędła.

Moje największe marzenie obecnie to, żeby Andrzej nie odpisywał. Żeby przemilczał sprawę i nie okazywał emocji.

Aśka tłumaczyła, że wcale nie ma u niego emocji. Że to ja sobie coś wyobrażam, że wyolbrzymiam, że on wcale nie myśli i nie czuje podobnie, bo każdy jest inny i w ogóle. Nie trafiają do mnie takie argumenty. Przeraza mnie za to, jak bardzo nie jestem gotowa na poruszanie się w tym świecie. Świecie poszukiwania. Odrzucania lub aprobowania.

Chryste, a to dopiero pierwsza randka!

*

Nastroje w firmie coraz gorsze. Piętro wyżej znowu zwolnienia. To przypomina krwawe żniwa. Konsekwentne i bezlitosne.

Dlaczego nie szukam nowej roboty? Panika odbiera mi zdolność trzeźwego myślenia?!

*

Andrzej odpisał. Jest mu bardzo przykro. Taka fajna ze mnie dziewczyna. Może chociaż się zaprzyjaźnimy? Nie, nie, nie! Nic już nie odpowiadam.

*

– Mówię ci, czegoś takiego jeszcze nie przeżyłam. Siedzi ich tam ze trzydziestu! Z każdym gadasz, masz raptem minutę.

– I co dalej?

– Nic, jak się sobie spodobacie, dostajesz numer.

– Speed dating? Jak w Ameryce?

Strzygę uszami w metrze. Zapamiętuję hasło. Sprawdzam niezwłocznie w telefonie. Znam taką zabawę z amerykańskich komedii romantycznych, ale skoro moda zawitała już do Warszawy, to znak, że trzeba spróbować. Kto jak nie ja?

*

Internet nie kłamie. Internet podpowie, co robić dalej. Nie podobają ci się portale randkowe? Wyjdź do ludzi. Idź na spotkanie na żywo...

Superszybkie randki! Oszczędzaj czas, nie marnuj go na pisanie w sieci! Przyjdź na speed dating i poznaj kilkudziesięciu przystojniaków równocześnie. Któremu dasz swój numer? To będzie zależało tylko od ciebie!

Przecieram oczy ze zdumienia. Speed dating w Polsce, i to pod moim nosem! W każdy weekend przychodzisz, płacisz trzy dychy i odbywasz kilkanaście, czasem kilkadziesiąt randek naraz. Ja mam siedzieć przy stoliku, panowie co pięć minut powinni się zmieniać.

Pięć minut. Tyle dostajesz od losu, żeby zaprezentować się jak najlepiej. Pięć minut, żeby zdobyć zainteresowanie, rzucić żart, powiedzieć coś ujmującego rozmówcę. Na tyle mocno, aby przy imieniu postawić krzyżyk. Ten medal ma dwie strony. Ja także dostaję krzyżyk. Jestem oceniana i analizowana. Zasada jest prosta: tylko dwa krzyżyki, dane sobie nawzajem, oznaczają przekazanie numerów telefonu.

*

Piątkowy wieczór to ten, który często spędzam z Aśką i Kamilem gdzieś na mieście. Ale jeszcze częściej jestem sama w domu i próbuję udawać, że to jest mój czas na osławiony CHILL.

Ja nie potrzebuję ani chillu, ani relaksu, ani czasu dla siebie. Nie mam w zasadzie co z nim robić. Często asekurowuję się sportem. Wieczorny basen, siłownia. Ratupek dla kogoś takiego jak ja – osoby samotnej. Byle się zamęczyć, a po powrocie do domu po prostu paść na łóżko i zasnąć. Budzenie się w sobotnie poranki też daje do myślenia, ale ten dzień da się przetrwać. Trzeba dużo sprzątać, iść na trening, zrobić zakupy. A wieczorem oglądać filmy albo czytać książkę.

Brzmi upiornie. Jakbym nie miała rodziny, przyjaciół, nikogo! Jednak pisanie co tydzień do Asi: „Hej, co robicie w weekend?”, zaczyna być coraz trudniejsze. Zresztą, to i tak oni najczęściej wychodzą z propozycją. Wiedzą, że trzeba mnie ratować. Czuję się z tym zawsze tak jak z kamieniem w bucie. Powtarzam sobie, że to tylko w mojej głowie, że oni lubią spędzać ze mną czas, ale status piątego koła u wozu jest nie do zniesienia.

W ten piątek będzie inaczej. Idę na speed dating. Szybkie randki, tak zwane imprezy dla singli. Gdzie popełniłam błąd i co złego zrobiłam w życiu, że muszę przebywać w takim miejscu?

Widzę, że źle do tego podchodzę. Głos rozsądku pyta: „Idziesz się bawić czy rozpaczliwie szukać męża?! Podejdź do tego spokojnie. To tylko taki żarcik, coś nowego. A może akurat? Nigdy nie wiadomo...”.

Za to druga część mnie, samotna i wystraszona Hania, uważa inaczej. Żadna tam zabawa. Żaden luz ani przyjemność. Raczej szansa, żeby kogoś poznać i zakończyć te męki. To także narażenie siebie na śmieszność, na stres, na... Sama nie wiem

na co jeszcze. Inni potrafią gdzieś kogoś poznać. Ja muszę chodzić po jakichś szalonych szybkich randkach, gadać z obcymi facetami i liczyć na to, że właśnie tam pojawi się TEN jedyny.

Wchodzę, płacę, widzę kilka dziewczyn. Nieopodal stoją też panowie. Patrząc ukradkowo, na razie żaden nie przykuwa mojej uwagi. Ale spokojnie. Dam im szansę...

Stoliki z numerkami, karty do zaznaczania krzyżyków i... dzwoneczek. Za chwilę ruszamy. Każdorazowo po pięciu minutach rozlega się dźwięk kończący – mękę albo miłą rozmowę. Przekonam się za chwilę, czy dam radę. Najpierw jednak przyglądam się dziewczynom. Myślałam, że przyjdą tu życiowe nieudacznice. Zaniebane panny spod znaku rozpaczliwego poszukiwania faceta. Sama siebie za taką uważam? W każdym razie dziewczyny są nie tylko normalne, ale też całkiem ładne. Zwłaszcza jedna przykuwa wzrok. Emanuje pewnością siebie i seksem. Wcale nie jest wyzywająco ubrana – wręcz przeciwnie. Połączenie elegancji z podkreśleniem kobiecych kształtów. Od tego facetowi może pomieszać się w głowie. Przyglądam się bardzo uważnie, bo jej uroda jest magnetyczna. Ogromne oczy, idealnie symetryczne. Przeszywają na wylot wszystko, co znajdzie się na ich drodze. Do tego duże, wydane usta. Można je określić wyłącznie mianem zmysłowych. Myślę, że nawet usta Angeliny Jolie nie mogłyby z nimi konkurować. Dziewczyna uśmiecha się na moment do kogoś i odsłania szereg białych, idealnie równych zębów. Nagle jej oczy podążają w moją stronę i widzę, że jestem skanowana od stóp do głowy. Oszałamiająca piękność omiata mnie wzrokiem, unosi brwi, po czym uśmiecha się lekko kącikiem ust. Wygląda przy tym niesamowicie seksownie. Nie potrafię wyczytać, czy to politowanie, oznaka dezaprobaty czy po prostu – zwyczajny gest.

Nie wiem, co ktoś taki robi na szybkich randkach. Widzę, że wszyscy na nią patrzą. Miejsce, w którym siedzi, zdaje się pulsować energią.

W końcu jednak dzwonek skutecznie rozprasza tę zbiorową adorację i moja uwaga musi się skupić na rozmówcy. Wysoki mężczyzna wyrasta jak spod ziemi. Uśmiech, pełen luz. Nie ma chyba odwrotu.

Machina rusza. Czuję, jak narasta we mnie panika. Jakbym stała na ringu i dosłownie za moment miała otrzymać potężny cios w szczękę. No, to dalej, dalej!

[RUNDA 1: HANNA VS KRZYSZTOF]

– Cześć, jestem Krzysztof.

– Cześć. Ja jestem Hania... – Spalona, speszona. Sekundy płyną. Dziesięć chwil już za nami.

– Czym się interesujesz? – rzuca wyluzowany Krzysztof.

– Och... lubię biegać, ogólnie kocham sport.

Zegar tyka.

– No, ja też kocham biegać. Szczególnie wokół domu, po lesie.

– Ooo, ale to wynajmujesz dom pod Warszawą?

Śmiech. Czas płynie.

– Nie, dom jest mój. Pod Warszawą. Dobre tereny do biegania. – Mrugnięcie.

– Ja uwielbiam konie. Jeżeli cię to interesuje... – Znowu uśmiech.

– Jasne! Ale to... Interesujesz się jeździectwem? Takie lekcje to sporo kosztują?

Perlisty śmiech, pełen luz. Ile jeszcze minut?

– A nie, ja mam własną stadninę koni. Na razie są trzy ogiery, ale kolejne w planach.

Dom i stadnina koni. Do końca już blisko.

– Eee. A czym się zajmujesz? Jesteś zawodowym hodowcą?

– Nie, nie, jestem lekarzem. Mam swoją przychodnię. A ty?

– A ja...

Dzwonek. Koniec czasu. Kto następny?

|RUNDA 2: HANNA VS MACIEJ|

Przede mną siada mężczyzna. Dosyć niski. Przysadzisty. Okulary zajmują pół twarzy. Takie nosiło się chyba w latach dziewięćdziesiątych. Patrzę na sweter. Mnóstwo szarych wzorków.

Nie mija sekunda, a on mówi:

– To jest plecak, nie tornister.

– Słucham?

– Mówię, żebyś wiedziała. To plecak, nie tornister.

Na ziemi kładzie właśnie coś, co wygląda jak szkolny tornister. Ale nim nie jest.

Piętnaście sekund za nami. Plakietka na jego piersi...

– Masz na imię Maciek... Czym się zajmujesz, Maciek?

– Jestem programistą.

– Aaa...

– Programuję gry.

– A ja...

– I piszę książkę. Science fiction. O potworach morskich.

– Na forach morskich? Nie rozumiem. Jesteś żeglarzem?

– Potworach morskich. Przecież mówię.

– Aha. Chcesz coś o mnie wiedzieć?

Maciek patrzy w blat, usta ma zaciśnięte w wąską linię. Sekundy płyną, ale właśnie w tym momencie czas dziwacznie zwolnił. Kiedy koniec, kiedy koniec??

– Książkę piszę po angielsku. Nie opłaca się po polsku. Potem wydam.

Chwila ciszy. Pięć minut to wieczność.

– A ja jestem Hania. Pracuję...

Dzwonek. Dźwięczy głośno i czysto. Wdech i wydech.

|RUNDA 3: HANNA VS ARTUR|

– Hejka, hejka! – Artur ma piwo w ręce. Jak miło.

– Cześć.

– Arturek, jak widać. A ty Hania?

– Tak, Hania. – Uśmiech. Mistrzynie wymuszonych uśmiechów to ja. – Czym się zajmujesz?

– Kierowca, dostawca, proszę pani. Jeżdżę sobie, mrozoneczki rozwożę, wiesz jak.

– No wiem.

– A ty?

– Ja pracuję w biurze, w korporacji.

– Aaa, korpo, no, straszna sprawa, no.

– Straszna...

Dwie minuty za nami. Piwo znika łyk za łykiem.

– A koleżanka to po pracy co porabia?

– Biegam, chodzę na basen. Głównie sport. A ty?

– A no, ja to siłownią nie pogardzę, nie powiem, nie powiem. Ale też na piwko lubię pójść, chyba widać? – Śmiech. Dostyc donośny.

– Widać.

Piętnaście sekund do końca.

– A ty lubisz na piwko czasem wyskoczyć?

– Czasem... czasem lubię.

Nagle Artur poważnieje, przybliży się do mnie. Głupawy wyraz twarzy ustępuje miejsca dziwnemu zgorzknieniu. W ułamek sekundy starzeje się o dziesięć lat.

– Chujowo być samemu. Chujowo nie mieć z kim iść na browar. Co nie?

Dzwonek. Jego dźwięk rozmywa wszystko wokół. Mrugam, jakbym natkała sobie do oczu mydła.

Staram się oddychać, stres minął. Zostało dziwne uczucie, że szybkie randki to zbiorowisko osobowości. Może dla kogoś dobra zabawa? Nie mam czasu o tym pomyśleć, bo do stolika dosiada się kolejny kandydat.

Dzwonek dźwięczy. Ruszamy.

|RUNDA 4: HANNA VS BARTŁOMIEJ|

– Cześć, Haniu.

– Cześć, Bartłomieju.

Śmiech. Obopólny. Bartłomiej jest całkiem przystojny.

– Czym się zajmujesz? – Mój ruch. Brawo dla mnie!

– Jestem programistą. Ale spokojnie, spokojnie! Już zauważyłem, że tutaj to... no nie wiem, jakaś wada. Ja jestem całkiem normalny. A ty? To znaczy, gdzie pracujesz i czy jesteś normalna?

Znowu wspólny śmiech. Cztery minuty do końca.

– Pracuję w korporacji, tak, jestem całkiem normalna. Lubię sport. Dużo biegam, pływam.

– Skąd pochodzisz? Jesteś rodowitą warszawianką?

– Nie, pochodzę z Podlasia... A ty?

– Ja jestem spod Warszawy. Daleko nie miałem. Mieszkam tu od studiów.

– To tak jak ja...

– Też lubię sport. Bieganie wciąga, co nie?

– No jasne! I kosztuje. Ostatnie buty to była mała fortuna.

Śmiech. Wewnętrznie karzę się za gadanie o pieniądzach. Litości!

Minuta do końca.

– To jak to jest z tymi programistami? Stereotypy...?

– No tak... Zaniedbany, bez dziewczyny, otoczony monitorami, praktycznie nieruszający się z biurka... To nie ja! Ale w sumie takich też nie brakuje...

– Spokojnie. Nie masz z nimi nic wspólnego!

Dzwonek. Koniec! Krzyżyk. Stawiam przy imieniu Bartłomieja krzyżyk i wielki znak nadziei. Całkiem miły programista.

Okazuje się, że jest przerwa. Na toaletę, przypudrowanie nosa, zamówienie czegoś do picia. W toalecie damskiej jak zawsze obłączenie. Stoję w kolejce i słucham sprawozdania.

- Wszyscy to programiści!
- No prawie, jest też lekarz.
- No weź! Jakim cudem w ogóle wyszli z domu?

Chichot. Czekam pod kabiną, zatopiona w swoich myślach. Czy Bartłomiej da mi krzyżyk? Byłoby... Byłoby dobrze. Czekam na ten krzyżyk, bo naprawdę z kimś takim z chęcią poszłabym na randkę. Może nawet dwie i trzy randki. A potem...

Kabina się otwiera i wychodzi z niej zjawiskowa piękność o wielkich oczach. Zdaje się wbijać wzrok w każdą z nas, więc automatycznie wszystkie zaczynamy wpatrywać się w podłogę.

Okazuje się, że piękność ma sporo do nadrobienia na telefonie. Kiedy dobijam do lustra, wciąż tam stoi, wodząc kciukiem po ekranie. W górę i w dół. Nawet na mnie nie spoglądając, rzuca melodyjnie:

– Cześć. Jak się bawisz? Zajełście jest, co nie? – Na koniec wbija we mnie swoje wielkie zielone oczy, w których miesza się nuta znudzenia z zalotnością. Od razu wiem, że ona nie przestaje kokietować nawet na sekundę. Kobieta czy mężczyzna, ksiądz czy bibliotekarka. Każdy zostaje wciągnięty w jej mowę ciała.

– No... sama nie wiem, na razie szalu nie ma. Ale mogło być gorzej, jeden facet nawet mi się spodobał.

– No, brawo ty! Lepiej łap go, zanim wyjdzie, i osobiście wyduś jego numer. Jak ci nie da krzyżyka, obejdiesz się smakiem. Taka moja dobra rada.

– Jesteś tu już któryś raz...?

– Nie. Po prostu znam się na rzeczy. Idziemy?

– Idziemy...

Wychodzi, kołyszac biodrami. Jest dosyć niska, ale obłądne czerwone szpilki robią swoje. Efekt jest piorunujący. Nawet ja mam ochotę zdobyć jej numer. Człapię za nią, ruszając na kolejne pojedynki. Już siedzą przy stolikach. Czekają na dzwonek jak konie wyścigowe.

*

Dwie godziny. Dwadzieścia razy musiałam się przedstawić. Dwadzieścia razy pytałam: „Czym się zajmujesz?”, „Skąd pochodzisz?”, „Czym się interesujesz?”. W głowie mam wielką karuzelę i ogólne przekonanie, że wszystko na świecie jest beznadziejne, ze mną na czele.

Wychodzę z klubu, mam ochotę od razu iść spać. Mijam niektórych uczestników. Przypomina mi się złota rada wielkookiej. Bartłomieja jednak nie ma w pobliżu. Idę do metra.

Słyszę stukot obcasów. Wyobraźnia sama podsuwa mi, kto to może być. Nie myślę się. Piękność kroczy za mną. Słyszę też śmiech i przytłumioną rozmowę.

– Uwielbiam jeździć konno. Krzychu, na twoje zaproszenie wpadnę na pewno. Bankowo.

– Nie odpuszczę. Dałaś krzyżyk czy nie, już za późno.

– Masz numer. Dzwon. Paaaa – kończy śpiewnie i przyspiesza kroku. Dostrzeż mnie.

– O, to ty! Co tam, mała? Jak się bawiłaś? Telefony zdobyte? Krzyżyki postawione?

– Nie, nie, numerów nie zdobyłam. Chyba nie na tym polega ta zabawa...?

– O kurwa – mówi nagle, zupełnie nie słuchając mojej odpowiedzi. – To jakieś pojebane. Jest dopiero po dwudziestej drugiej. A my się mamy zbierać do domu? Nie ma takiej opcji. Pamiętaj, mała! Piękne dziewczyny w piątki nie chodzą spać. Idziemy na drinka?

Baranieję na moment. Już mam powiedzieć, że nie, ale błyskawicznie analizuję za i przeciw. Mam ledwo dwadzieścia dziewięć lat, a czuję się zmęczona jak emerytka! Mogę przecież iść na drinka z seksbombą i zobaczyć, jak to jest, kiedy faceci krążą wokół ciebie jak satelity. A właśnie że pójdę i wrócę nad ranem, jeśli będzie trzeba.

– Jasne. Chodźmy.

– Zajebicie. Ewa jestem.

– Hania.

Ewa

Inga nie może iść ze mną. Trudno. Pójdę się zabawić sama. Jestem nawet pod-ekscytowana, bo czegoś tak pomysłowego dawno nie spotkałam. Tłum facetów i ja.

Ciekawe, któż zaszczyca swoją osobą takie wydarzenie. Obstawiam pracowników fizycznych, zarabiających marne grosze. Takich, którzy nie bardzo dbają o zęby, chodzą przez miesiąc w tej samej podkoszulce, a ich głowy zawsze nakryte są czapką z daszkiem. W drugiej kolejności spodziewam się informatyków, maminsynków i ogólnie – brzydali.

Moje ryzyko jest żadne. Wchodzę, wychodzę. Za to możliwość poflirtowania z takimi ewenementami to dla mnie pożywka. Na co dzień nie zamieniłabym z takim słowa, ale w tych okolicznościach jest to, powiedzmy eksperyment. I kolejny rozdział w zgłębianiu pokrętnego świata mężczyzn i ich pragnień.

Niech się biedaczki namęczą. Niech mają swoją diwę, gwiazdę wieczoru. Mam zamiar przeistoczyć się w boginię. Swoistą cesarzową, która wtoczy się na salony po to, żeby przyćmić wszystkich. Nie uznaję półśrodków.

Sukienka opina ciało, podkreśla figurę. Żadnych sprośności. Raczej elegancja w minimalistycznym wydaniu. Czarne szpilki. Moja ulubiona tajna broń. I na koniec delikatne perfumy. Uwielbiam roztaczać wokół siebie subtelną woń. Uwielbiam zostawiać ją na męskich ubraniach. To o wiele lepsze niż wizytówka wsunięta w kieszeń. Gorzej, jeżeli żona wyczuje tę fałszywą nutę, ale... zazdrość to doskonała przyprawa!

Na wejściu dostaję identyfikator. Urocze! W klubie panuje półmrok i względna cisza. Omiatam spojrzeniem zebranych. Wyglądają dosyć komicznie. Stoją osobno lub siedzą, byle dalej od siebie. Żadnych rozmów czy szeptów. Niektórzy kupują przy barze colę, kilku panów od razu prosi o piwo. Rewelacyjnie. Nie ma to jak piwo przy pierwszym spotkaniu.

Siadam. Noga na nogę, szpilka podryguje. Staram się nie patrzeć na kandydatów. Zostawiam sobie tę przyjemność na odpowiedni moment. Czuję się jak uczestniczka starych programów telewizyjnych. To taka *Randka w ciemno!* Czy wyjedziemy na wspólne przymusowe wakacje?

Rozglądam się wokół, żeby pooglądać sobie dziewczynki. No, no. Nie takie złe! Spodziewałam się zaniedbanych gospodyń domowych i studentek ledwo wypuszczonych z uczelni, ale widzę całkiem przeciętne, mysie reprezentantki naszego gatunku.

Jedna gapi się na mnie. Wwiercam w nią wzrok i pozwalam sobie na małą analizę. Matko jedyna, toż to „panna nikt”. Mijam takich tysiące w ciągu dnia. Niczym się nie wyróżnia. Stylu za grosz, choć ubrana dosyć schludnie. Makijażu nie za dużo, przy jej urodzie – stanowczo za mało. Chuda, bardzo chuda. Cera blada, włosy – kasztan pomieszany z nijakością. W której drogerii sprzedają taką farbę? Muszę zapytać. Coś jednak sprawia, że od dłuższego czasu wpatruję się w nią. I nie jest to my-

siość. Po prostu: coś. Pomyślę o tym później, jeżeli mi się przypomni.

Kilka ogłoszeń parafialnych i można zaczynać.

Dzwonek! *Każdy ma na coś chęć, bo zabawa jest na pięć* 16, czyż nie?

16 Maryla Rodowicz, *Wariatka tańczy*, [w:] *Cyrk nocą*, Wifon/Pronit, 1979.

|RUNDA 1: EWA VS MACIEJ|

– Maciek! Masz na imię Maciek. Cześć, Maciek.

O kurwa. Co to jest, to przede mną? Muffin odziany w sweter? A na twarzy to... denka od szklanek, czy co? Chyba nie umie mówić. Siedzi i sapie.

Piętnaście sekund za nami. Jestem zachwycona. Takiego dziwadła trudno szukać na ulicy... A może inaczej: takiego dziwadła nie zaczepisz na ulicy.

Schylam się nieco, żeby zobaczyć, co przywłókł ze sobą.

– Ojej! Tornister!

– To jest plecak. Nie tornister.

– Maciuś, no ale jak plecak, jak to kwadratowe jest?

Maciej ma dziwną minę, ale ponieważ dziwność jest jego cechą naczelną, nie mogę zgadnąć, co sobie myśli.

Jakieś dwie minuty za nami. Maciej siedzi.

– Czym się zajmujesz, Maćku?

– Jestem programistą.

– Ach, no tak. A czego tutaj szukasz?

– Dziewczyny.

– Racja. A jaka musiałaby być taka dziewczyna dla ciebie?

Konsternacja. Lekki, nieco obłąkańczy uśmiech Maćka.

– Ładna. I żeby były wspólne zainteresowania.

Już otwieram usta, żeby zapytać, czy ja jestem ładna, ale gong oznajmia, że to koniec rozmowy. Pierwsze koty za płoty!

|RUNDA 2: EWA VS KONRAD|

Aha, idzie. Pan luzak, widać od razu. Marynarka i džinsy, w ręku cola. Sprężysty chód. Wysoki. Wcale nie przystojny, bo zdecydowanie za chudy. I ma okulary z fotochromami, wiem to, choć w tym pomieszczeniu panuje mrok. Pewność siebie – zdecydowanie udawana. Na mój widok nieco zwalnia i uśmiecha się. Bardzo by chciał, aby to był uśmiech prezesa agencji filmowej w Hollywood, ale zamiast tego wygląda raczej na cwaniaka. Czterdziestka na karku. Ktoś tu oszukuje! Speed dating jest w przedziale dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu.

– Dzień dobry pięknej pani! Konrad jestem. Jak zresztą widać.

– No, cześć. A ja Ewa. Jak widać. – Uśmiecham się ładnie, wszystkie ząbki odsłaniam. Konradowi mało cola z ręki nie wypada. Chichoczę więc uroczo.

– Konrad, zadbany z ciebie facet, ale... chyba jednak nieco przekraczasz limit wiekowy, hm?

– O, jaka Ewa spostrzegawcza. – Uśmiech łobuza. – Oj tam, oj tam! Nie wchodźmy za bardzo w szczegóły.

– No dobrze. Czym się zajmujesz? Panie młody duchem?

– Dyrektor marketingu. Firma farmaceutyczna.

Uuu. Brzmi świetnie. Ale na mnie nie robi żadnego wrażenia. Tylko czemu bogaty koleś pod czterdziestkę myśli, że znajdzie kogoś na speed datingu?

Trzy minuty za nami. Nie to, żebym się źle bawiła, ale Konrad mógłby już pójść.

– A ty, Ewa? Czym się zajmujesz?

– Asystentka w niewielkiej firmie.

Nudna asystentka, Konrad, więc odpuść sobie. Zerkam na jego kartkę. Takie buty! Dał wszystkim krzyżyk. Z góry! Samotność nie wybiera, prawda? Następny, proszę!

Dzwonek, jak miło...

|RUNDA 3: EWA VS KRZYSZTOF|

– Cześć. Krzysztof.

Krzysztof też jest na luzie, ale prawdziwym. Pewność siebie autentyczna.

– Cześć, Ewa jestem. Wyglądasz na zrelaksowanego.

– A czym się spinać? Stresować się mogę ewentualnie w pracy.

– Cóż to za praca?

– Mam swoją przychodnię.

– Lekarz? Poproszę zwolnienie na jutro!

– Niepraktykujący od roku. Za dużo obowiązków.

– Ach, te obowiązki... – Zębki odsłonięte. Pełna prezentacja. Krzysztof nie zostaje obojętny. Podobam mu się.

– Lubisz konie?

– A czemu pytasz?

– Mam małą stadninę. Bardzo mnie to odpręża...

Dzwonek! Proszę bardzo. Zobaczymy, kto kogo osiodła.

Przerwa. Racja. Pudrowanie noska, zmiana podpaski, napisanie SMS-a do koleżanki. Dziewczyny tego potrzebują. Przeglądam Instagram. Moja dzisiejsza stylizacja święci triumfy. Serduszka, komentarze. Nic nie poradzę, że jestem na to łasa i uwielbiam ten, jak to się mówi: „fejm w sieci”. Co w tym złego? Wykorzystanie mediów społecznościowych do karmienia swego ego oraz budowania wartości. Tak to widzę. Bo do czego innego może służyć? Przecież chyba nie do podtrzymywania relacji? Z Ingą mogę pisać i wymieniać zdjęcia, ale dopiero spotkanie na żywo uznaję za takie, jakie powinno być. Tradycjonalistka ze mnie. Seksu przez Internet nie trawię jeszcze bardziej, choć gra wstępna to już całkiem inny temat.

Z zamyślenia wyrывa mnie myśla panna, którą obserwowałam przy stoliku. Zagaduję do niej, trochę z ciekawości. Wygląda na przejętą tym bajzlem. Zaglądam w oczy. Coś w nich siedzi. O matko. Ona liczy, że spotka miłość. Tu albo gdzieś indziej. Na przykład w Internecie.

Niech się dziewczyna wyleczy z tego jak najszybciej. Wychodzimy. Jeszcze chwilę trzeba pobuszować w tej galerii osobowości, choć przyznam, że jestem zaskoczona. Sporo tu trzydziestek piątek, które mogą się w życiu pochwalić niezłym dorobkiem. Teraz pewnie budzą się, bo samotność depcze im po piętach. Jest też kilku panów, którym udało się mnie zainteresować. Brawo!

|RUNDA 4: EWA VS BARTŁOMIEJ|

Bartłomiej jest przystojny. Mniej więcej w moim wieku. Męski. To mi się podoba. Kogoś takiego bym się tutaj nie spodziewała.

– Halo, Bartłomiej, w końcu do mnie dotarłeś.

– Cześć. – Uśmiecha się całkiem miło, naturalnie. Robię na nim wrażenie, ale

dobrze to ukrywa. – Czym się zajmujesz?

– Wszyscy pytają o to samo. Może zapytałbyś, co lubię jeść?

Śmiech. Naturalny, niewymuszony.

– To co lubisz jeść, Ewo?

– Lody. Najbardziej czekoladowe. I, tak zupełnie między nami, lubię też czasami opchnąć maczka.

– McDonald? Powiem ci, między nami, że ja też. A potem biegnę w panice na siłownię.

– Dokładnie! Jak wchodzę na bieżnię, czuję ulgę. No dobrze. To czym ty się zajmujesz? Tylko nie mów, że jesteś programistą. Nie uwierzę!

– No... a gdybym powiedział, że jestem?

Koniec, proszę państwa, runda zakończona, cała rozgrywka także!

Czas postawić krzyżyki na drogę i rozejść się grzecznie do domów.

Przy wyjściu zaczepia mnie Krzysztof. Wsuwa mi w dłoń wizytówkę.

– To na wypadek, gdybyś nie dała mi tego cholernego krzyżyka.

– Poczekalbyś cierpliwie na wyniki. – Śmieję się jak zawsze przeuroczo. Kontrola nad własnym uśmiechem to podstawa.

Przed nami idzie mysia panna. Nieco zgarbiona, kroczy całkiem niespiesznie. Razi mnie to. Kobieto! W takim miejscu masz grać! Być panią, tygrysią, na pewno nie zmarnowanym szczeniakiem.

Wieczór jeszcze młody. Przez moment myślę, żeby pojechać z Krzyśkiem, zbadać jego stadninę koni. Ale nie. Mam ochotę na coś zupełnie innego. Na babskiego drinka z mysią. Wygląda jak święta Faustyna. No to zaproszę Faustynę na drinka. Zabawimy się, choć ona chyba nie wie, co to takiego. Pokażę jej. Przekazywanie wiedzy jest ważne. I można przy okazji zrobić coś dobrego!

Hania

Zatłoczony lokal w centrum miasta, ale o dziwo – dostajemy stolik. Jeden jej uśmiech i kelner wyczarowuje kawałek blatu i dwa krzesła.

– Jak tylko będzie opcja, przesiadamy się do baru, maleńka. Tam jest najlepszy narybek. A tak w ogóle, to ty w korpo pracujesz, tak?

– Zgadza się, a ty?

– W sumie też. Ale to nie taka duża firma. A faceta od dawna szukasz?

– Sama nie wiem od jak dawna. Od kilku tygodni bardzo intensywnie. Zalogowałam się na te wszystkie portale randkowe, no wiesz, liczę, że może poznam kogoś przez znajomych... – Ewa mi przerywa.

– Kobieto! Nie znam cię jeszcze, ale już widzę, co tu jest do zmiany. Powiedz mi, zupełnie szczerze, tak jak się to mówi obcej osobie... Kiedy ostatnio miałaś fajne bzykanko? Dobry, zajebisty seks?

Mrugam oczami i nieco się czerwienię. Co mam powiedzieć? Na swoje usprawiedliwienie mam tylko tyle, że nie jestem dziewicą.

– Już nie pamiętam. Poza tym... teraz szukam czegoś innego. To znaczy seks też jest ważny, ale zależy mi, żeby poznać kogoś, z kim coś zbuduję, no wiesz...

Ewa śmieje się, naprawdę przeuroczo, i wodzi paznokciem po kieliszku.

– Hania, Haneczka, ty cudna jesteś. Słodycz wcielona, co to miłości szuka. Po wiem ci coś, tylko się nie zdziw. Miłość właściwie nie istnieje.

– Bzdury. Aż taka zgorzkniała jesteś?

– A co ma zgorzknienie do faktów? Nie słuchasz mnie. Każdy facet będzie cię chciał przelecieć. Potem może któryś zostanie na dłużej. Może uda się coś stworzyć. Związki istnieją, tak jak małżeństwa. Ale zanim takiego znajdziesz, natniesz się tyle razy, że odechce ci się miłości. Raz na zawsze.

– No cóż... – Nie wiem, co powiedzieć. Jej oczy płoną jakimś dziwnym blaskiem. Nie chcę zagłębiać się w filozoficzną dysputę o tym, czy miłość to mrzonka. To jak gadanie o życiu wiecznym albo o piekle.

– Smakuj życie, Haneczka. Zobacz, co to znaczy się zabawić. Szukaj, ale się nie angażuj. Jak pojawi się ten właściwy, zastopujesz i wtedy będzie czas na stabilizację. Rozumiesz?

– Nie do końca. Pamiętaj, że każdy ma swój sposób na poszukiwanie miłości. Ja wcale nie chcę spać z każdym, wolę przetestować ich na randkach. To wcale nie znaczy, że nie ma szans na uczucie! – Sama siebie zaskakuję pewnością i żarliwością tych słów.

– O matko. Jeszcze wiele cię czeka. – Ewa poważnieje. – Posłuchaj, Hanka. Żeby obciągnąć księżcu, musisz najpierw obciągnąć wielu żabom. Kapujesz?

– A ty... a ty miałaś kogoś na dłużej? – Na serio, nie wiem, co odpowiedzieć na tak wymyślną metaforę.

– Jasne, że miałam. I w sumie nie tak dawno się rozstaliśmy.

– Co się stało? – Drażę temat ku swojemu zaskoczeniu. Ale ciekawi mnie, dlaczego ktoś zostawił boginię. Czuję, że tak właśnie było.

– Wypaliło się, moja droga. Nuda. To właśnie jest ta twoja miłość. I tak: wielkie rozstanie. Zabrał manele i już go nie ma. Źle mu nie życzę. Ale też w dupie mam, co teraz robi i gdzie jest.

– Mieszkasz sama?

– Tiaa. Muszę znaleźć lokatorkę. Albo lokatora, ale lepiej kobitkę, bo wiesz, nie chcę bulwersować chłopaka.

– Masz swoje mieszkanie?

– Nie. Wynajmuję od znajomej i dlatego mam zajebistą cenę. To trzy pokoje, z czego jeden jest przechodni. Ale i tak nie opłaca mi się bulić tyle za całość. A ty, mała? Jaki status?

– Wynajmuję kawalerkę. Sama.

– Uuu. Nieźle gniazdko. Potencjał jest. Mówię ci, Hanka, nie bądź taka święta. – Uśmiecha się do mnie z miną kogoś, kto wszystko już przeżył i wszystko wie. Moim zdaniem to bzdura, ale jej pewność siebie wydaje się niezachwiana.

Patrzę na nią i nagle dostrzegam, że choć siedzimy we dwie, to jednak Ewa jest w kontakcie wzrokowym z każdym facetem, który siedzi w naszym zasięgu. Monitoruje i skanuje otoczenie jak maszyna. Rozdaje uśmiechy, zalotne spojrzenia. Robi to z taką lekkością... Ale i tak czuję się niesłuchana.

– Ej, Hanka, dodam cię na fejsie!

Szuka mnie w gąszczu ludzi, a tymczasem zbliża się kelner z dwoma kieliszkami szampana. Nie zamawialiśmy...

– To od tego pana, dwa stoliki dalej.

– Dziękujemy, dziękujemy! – Ewa rzuca w jego stronę powłóczyście spojrzenie. Zerkam na nią zszokowana.

– Hanka, gdzie ty się uchowałaś? Masz minę, jakbym właśnie zaliczyła go na środku baru. A to tylko kieliszek szampana. Nie wydaje ci się, że nieco przeginasz z postawą cnotliwej panienci, co to nie powie „kurwa”, nawet jak jej półka na łeb spadnie?

Wcale tak nie jest. Czasem mówię „kurwa”, po prostu na co dzień jakoś nie sypię wulgaryzmami.

Wracam do domu o trzeciej nad ranem. Wstawiona, ale nie pijana. Opieram się o drzwi mojej małej kawalerki z myślą, że Ewa nie obudzi się sama. Może nawet zje z kimś śniadanie. Może faktycznie warto łapać chwilę? Może jestem świętą Hanną niewydymką? A jeżeli stanę przed wyborem? Być samotną czy stać się Ewą? Może tak wygląda współczesny świat? Może wszyscy normalni faceci są już zajęci i pozostali tylko królowie przygodnego seksu?

Spać, chcę spać. Kładę się. Za dużo tego „może”, jak na jeden wieczór.

Obraz znika. Chwała Bogu.

Rozdział 24

Ewa

Hania. Chyba wolę mówić do niej Hanka, bo Hania to brzmi jak drugie imię Faustyny.

Jadę z Hanką do knajpy. W życiu nie balowałam z taką polną myszą, ale po dwóch godzinach nadawania z facetami mam ochotę na chwilę oddechu. Jest piątkowy wieczór – panowie nie uciekną.

Uwielbiam Warszawę, która właśnie wkracza w obszar weekendu. To miasto dostaje wtedy kopa. Pulsuje kolorem. Wszędzie panoszy się dziki tłum. Podepcze starszki i ludzi słabych, więc to czas, w którym trzeba wiedzieć, gdzie chce się być. Jeden wielki chaos. Różnorodny, żywy, niespokojny. Nastawiony na zabawę. Gotowy rozejść się, rozlać po barach, klubach, restauracjach, kinach, teatrach i wrócić nad ranem. Na wielkim haju lub z wielkim kacem moralnym. Z kimś pod rękę lub z czymś we krwi.

Słynna schlana warszawka. Buzująca głośną muzyką, wrzaskiem rozbawionych ludzi, trzaskiem butelek. Naćpana, rozchichotana, upalona stolica. W piątkowy wieczór korporacyjne dobermany w końcu zrywają się ze smyczy i gnają w miasto. Będą tak pędzić, używać, zaspokajać, luzować aż do niedzielnego poranka. Wówczas zasną, obudzą się o siedemnastej i uświadomią sobie, że poniedziałek już puka do drzwi. Wrota piekła rozchylą się zachęcająco i nie wypuszczą aż do kolejnego piątku.

Piątek, piąteczek, piątunio. Czy ktoś lubi swoją robotę, czy też nie, czy ktoś chodzi do szkoły, czy niańczy dzieci – dnia piątego ma ochotę na rozrywkę. Chce zmienić otoczenie.

Hanka chyba nie zdaje sobie sprawy, jak działa ten mechanizm. Jest dziwnie wycofana, spokojna, ale równocześnie zestresowana. Wchodzimy do lokalu, jest tłoczno. Widzę, że Hanka od razu jest gotowa obrócić się na pięcie i wyjść. Halo! Koleżanko! Miejsca jest mnóstwo, wystarczy się postarać. W tej knajpie mamy nie kelnerki, ale kelnerów. Na pewno coś się znajdzie. O, proszę, jeden z nich mnie dostrzeże. Bardzo przystojny, choć niski.

Jedno moje spojrzenie, a już nurkuje w oceanie ludzi. Po chwili stolik się znajduje, jakżeby inaczej?

Smak mojito przyjemnie rozchodzi się po języku. Moje marzenie! Koi gardło, które się bardzo napracowało na speed datingu. Dawno nie musiałam się tyle nagać.

Czas na mały wywiad. Niech Faustyna opowie, z jakiej bajki się wzięła. Z którego kościoła wymknęła się w ten piękny piątkowy wieczór. Pewnie nie powie prawdy. Mam wrażenie, jakby dźwigała głaz. Chyba wszędzie go ze sobą ciągnie. Na randki i do łóżka też. A chodzi z kimś do łóżka?

– I jak ci się speed dating podobał? Jazda, co?

– Gardło boli. I mętlik w głowie.

- Może dostaniesz numer od tego, co ci się podobał. Jak mu było?
- Bartłomiej.
- Bartłomiej programista?
- Też go zapamiętałaś?
- Jak każdego.

Hanka, ty marzycielko. Numer Bartłomieja już dawno mam wklepany do telefonu. Osobiście mi go wpisał. Zdażyłam dostać od niego dwie wiadomości. Bardzo chce się spotkać. W sumie mogłabym go sobie odpuścić, ale... to nie jest czas na odpuszczanie. Poza tym w imię czego? Coś mi się wydaje, że tobie nie dał krzyżyka. Nie będzie wymiany numerów. Nie złość się, nie martw. Pewnie i tak byś się na nim przejechała.

Monitoruję wewnątrz knajpy jak satelita. Facet dwa stoliki od nas, w niezłym garniturze, spogląda na mnie i wierci wzrokiem. Nie pozostaję dłużna. To ktoś bardzo w moim typie. Szpakowate włosy, delikatny zarost. Opalony. Zadbany mężczyzna, który niedawno przekroczył czterdziestkę. Nie muszę długo myśleć, żeby wiedzieć, z kim mam do czynienia. Dojrzały jak najlepsze wino. Szarmancki, džentelmen w każdym calu. W łóżku bóg seksu, który wie, jak się obchodzić z kobietą. Nie chce żadnych stałych związków. Pójdzie na lunch i kolację. Zaprosi do teatru. Ale żadnego wiązania się na dłużej. On nie ma czasu, zarabia pieniądze.

Jak mówiłam, mój typ.

Hanka za to wbija wzrok w stolik i smutnie sączy swojego drinka. Też zamówiła mojito. Czasem rozejrzy się wokół. Bacznie ją obserwuję. Bada twarze najbliższych facetów, usiłuje nawiązać jakieś kontakty, ale potem się poddaje. I tak w kółko. Jakby celowała w ludzi laserowym pistoletem, licząc, że coś poczują. Nic z tego, mała.

Siedzimy i gadamy prawie do drugiej nad ranem. Testuję w ten sposób wytrzymałość mojego szpakowatego Alvaro. Twardy jest. Siedzi, pali papierosy. Gra spojrzeń się zagęszcza. W końcu Hanka stwierdza, że czas na nią.

Ja z nią nie wychodzę. Nawet o to nie pyta. Kiedy znika w drzwiach, on dosiada się do mnie.

- Czekałbym nawet do czwartej, gdyby zaszła taka potrzeba.
- Jak widzisz, twoja cierpliwość została nagrodzona.

*

Szymon jest wyborny. Doskonały. Topię się pod wpływem jego dotyku jak wosk. Hotelowe śniadanie z widokiem na Warszawę. Bardzo późny poranek. Dla takich chwil warto żyć. Rozkoszuję się smakiem kawy i świeżej bagietki z masłem. Chwilo, trwaj, jesteś piękna.

- Masz zajęty ten weekend?
- A dlaczego miałabym zmieniać plany?
- Mój jest wolny. Mogę cię gdzieś porwać, poza Warszawę.
- Porwanie brzmi obiecująco.
- Nie gwarantuję, że cokolwiek zobaczysz. Poza pokojem.

Zaraz napiszę do Bartłomieja, że jednak się nie zobaczymy. Przełożymy nasze spotkanie na poniedziałek.

Scroll

Hania

Czy ja nie mówię „kurwa”? Jasne, że mówię. Jak każdy przeciętny człowiek. Po prostu nie używam tego jako przecinka. To aż tak mnie wyróżnia?

Czasem pozwalam sobie na bycie normalną. Na przykład czytając takiego e-maila od kierowniczkki:

Haniu,

bardzo proszę cię, abyś podeszła do mnie w wolnej chwili. Dziękuję.

Kurwa.

O tak, nie ma co liczyć na to, że chodzi o jakąś bzdurę, zaległy urlop albo chociażby zwykły opierdół. Praktycznie całe piętro nad nami zostało już zwolnione. Podobno nasz cudowny szef, przebiegły jaszczur, losowo wybiera, kto ma zostać w firmie, a kto wylatuje. Na kogo wypadnie, na tego bęc.

Pixie i Dixie zauważają to i wybałuszają oczy. Moja mina mówi wszystko.

Nogi mi się trzęsą, z trudem idę korytarzem. W głowie mam pusto. Nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego nie szukam pracy, skoro widzę, że piekło za chwilę pochłonie ziemię.

Kierowniczka biura siedzi i ciągle w coś klika. Klik, klik. Wokół niej piętrzą się teczki. Pewnie wypowiedzenia. Na mój widok podnosi wzrok. Wszystko już wiem. Jej obolały wyraz twarzy daje jasny sygnał: to koniec.

*

Ryczę w kuchni. Pixie i Dixie siedzą przy mnie i na zmianę mnie pocieszają, dyskutując przy okazji, kiedy przyjdzie kolej na nie.

Idiotka, idiotka, idiotka. To ja! Zamiast szukać roboty, poczekałam, aż tragedia się wydarzy. Nieważne. Teraz w mojej głowie układają się plany i kalkulacje. Co mogę, a czego nie. I co muszę zrobić. Praca się znajdzie, ale pewnie za mniejsze pieniądze. A może będzie ciężko? Mój standard życia zrobił się ostatnio zbyt wysoki. Na zbyt wiele sobie pozwalałam. Czas na cięcia.

Mieszkanie. Muszę zrezygnować z mieszkania i dorwać jak najtańszy pokój. Oszczędzone pieniądze to akurat tyle, ile potrzebują rodzice...

*

Halo, fejsbuczku! Szukam lokatorki. Pokój super, dobra lokalizacja i jeszcze lepsze towarzystwo. Z wiadomych względów chłopaki raczej odpadają. Ktoś coś?

Ogłoszenie Ewy. Wcale nie mam na to ochoty, ale plan jest taki, że muszę to jakoś rozwiązać. Najkorzystniej jak się da.

Cześć, Ewa.

Hej! Co tam, Faustyna?

Jak wygląda sprawa z tym pokojem? Rozważam taką opcję...

Od zaraz. Czynsz siedemset plus rachunki.

Da radę negocjować? Siedemset mnie przerasta. Dopóki nie znajdę pracy i nie przejdę okresu próbnego.

Nie masz roboty? No ładnie.

Przejsciowo.

Cisza. Falują trzy kropki. Znikają i znów falują. Nienawidzę tego! Pisze i pisze, niech w końcu wydusi z siebie, co myśli.

Hanka, spoko. Polubiłam cię. Pięćset pięćdziesiąt, a jak będziesz już zarabiać, to siedemset. Plus media i rachunki cały czas. Umowa stoi?

Ja się nie waham, wiem, jak trudno o pokój w Warszawie za taką cenę.

Jasna sprawa. Umowa stoi. Dzięki.

Ulga miesza się z rozpaczą. Przeważa ta druga.

Jestem Hania. Taka sobie Hania, bezrobotna i zmuszona w wieku dwudziestu dziewięciu lat wynajmować pokój z inną babą. Hania bez faceta i perspektyw na rodzinę. Hania nieudacznica. Hania, co nie umie zapobiegać, która lubi cierpieć przewlekłe i zawsze wszystko robi za późno.

Łzy kapią na klawiaturę. Żadnej litości! Nie dla takich jak ja.

*

Parę lat mieszkania w jednym miejscu i człowiek przywiązuje się do maleńkiej, nie swojej kawalerki jak do apartamentu z balkonem. Patrzę na tysiące kartonów, z których część muszę po prostu wywalić, bo w jednym pokoju się z tym nie zmieszczę. Książki pójdą jako dary do biblioteki. Ciuchy posegregowane, spora część wylądzuje na zbiorce ubrań. Garnki zostawiam, biorę tylko patelnię i głęboki porządny rondel. Całe szczęście, nie mam żadnych mebli.

Tyle lat mieszkania, a zabieram jedynie najważniejsze rzeczy. Nic stałego, nic, co świadczyłoby o dorobku.

Zamykam drzwi i oddaję klucze. Mam wrażenie, że w tym samym momencie kończy się coś ważnego, a zaczyna etap, jakiego nigdy nie chciałam. Rezygnacja z samodzielnego mieszkania na rzecz wynajmowania pokoju zawsze była planem awaryjnym. Im dłużej żyłam wygodnie, tym bardziej oddalałam się od takiej wizji.

Mój mały wygodny azyl. Matko, jak boli. Gniazdeczko, schronienie, mój kokon, co tyle razy chronił mnie przed złem tego świata. Tyle poranków i wieczorów. Tyle weekendów, spotkań, wypitych kaw.

Tracę samodzielność i grunt pod nogami. Jeszcze nawet nie zaczęłam brnąć w nową rzeczywistość, a już nie mam ani siły, ani ochoty.

*

Nowy pokój nie jest zły. Mieszkanie, w porównaniu z moją maleńką kawalerką, wydaje się wielkie. Siadam na kanapie, rozglądam się wokół. Gdzie ja jestem? I po co?

Nie ma czasu na łzy. Trzeba otworzyć wirtualną przestrzeń i w gąszczu ogłoszeń znaleźć coś dla siebie. Jasne. To raczej ktoś będzie decydował, czy się nadaję do roboty, czy nie.

Wysyłam. Aplikacja za aplikacją. Czuję się najbardziej beznadziejnym kandydatem na świecie. Proszę państwa – nic nie umiem, nic nie znaczę, dajcie mi coś do roboty, żebym w ogóle mogła przetrwać.

*

– Randeczka się kroi, u la, la! – Ewa staje w drzwiach łazienki. – Skąd go wytrzasnęłaś?

– A jak myślisz?

– Z netu, rzecz jasna, ale dokładniej?

– Z Tindera. – Rumienię się na samo słowo. Nienawidzę Tindera i każdej innej aplikacji.

– Tinder, mmm. No to będzie seks. Wiesz, że to taka apka dla tych, co bzykają szuka?

– Sama będę decydować, kiedy będzie seks, a kiedy nie.

– No dobra, Faustyna. Baw się dobrze. Ja też mam dzisiaj spotkanie.

Uhm. Spotkanie-ruchanie. Odprowadzam ją wzrokiem. Nawet chodząc po domu, kołysze biodrami.

Ewa

Dobry czy zły pomysł? Sama nie wiem, ale Hanka ma w sobie coś takiego, że chcę spróbować. Moja nowa cnotliwa lokatorka. Faustyna będzie pilnowała domowego ogniska. Mam nadzieję, że jej uszy są odporne na głośne stosunki damsko-męskie.

Wprowadza się. Niech tak będzie, przecież zawsze mogę pokazać jej drzwi. Wszystko zależy od tego, jak bardzo będzie działała mi na nerwy. A strunę łatwo przeciągnąć, szczególnie że dostała ode mnie wyjątkowe warunki najmu. Czasem jednak miewam ludzkie odruchy. Jeżeli ma słabą sytuację finansową, mogę dać jej czas. Niech szybko szuka roboty i znajdzie sobie faceta. Potrzebny jej seks i jakieś dowartościowanie, bo na razie to wielka kupa nieszczęścia.

Sama nie wiem, co o niej myśleć. Współczuć jej czy gardzić słabością? Gdyby tak popracować nad nią chociaż trochę, mogłaby wyglądać całkiem nieźle. Faceci lubią chude szkapy, a rysy twarzy ma regularne. Tylko ta jej myszowatość wysunięta na pierwszy plan wszystko psuje. W sumie to paradoks. Faustyna nie jest zaniedbana. W garderobie wieje nudą i bezguściem, choć zauważam, że zakupy są robione regularnie. Na twarzy widać ślady makijażu. Paznokcie pomalowane. Wszystko zamyka się więc w istocie myszowatości. Inaczej się tego nie da ująć.

Ostatnio dużo wokół mnie nowych ludzi. Zaczynam mieć wrażenie, że nikogo wcześniej nie znałam albo wszystkich znam powierzchownie. Bezustannie się przedstawiam. Cały czas prezentuję siebie, wymyślając przy okazji tysiąc postaci, setki twarzy, niezliczone warianty swojej osoby.

Cześć, jestem Ewa. Zajebista Ewa. Gorący towar. Kobieta po trzydziestce, uwierz mi, taka jest najlepsza. Wiem już, czego chcę. Wiem, czego nie chcę. Sporo doświadczyłam, ale i tak lubię poszaleć. Mam wszystko, o czym ktoś może zamarzyć. Nic nie jest w stanie mną zachwiać, bo już z tego wyrosłam. Cześć, Ewa jestem. Wyluzowana trzydziestka, singielka. Seksualnie wyzwolona. Seks bez zobowiązań, smakowanie życia, zabawa i osiąganie zamierzonych celów. Takie jest moje życie. Czegokolwiek nie zapragnę, samo do mnie przychodzi.

Patrzę na Hankę. Z tego, co udało mi się o niej dowiedzieć, dźwiga ze sobą jakiś niewidzialny plecaczek. Tobołek z przeszłości. Jest wykończona, bez energii. Smutna. Nie chce mi się przebywać z kimś, kto pociągnie mnie w dół, ale Hanka chyba nie ma zamiaru zamęczać mnie swoimi sprawami. Na razie próbuje się odnaleźć.

Pyta mnie, czy może skorzystać z kuchni. A z łazienki? Na to też potrzebne będzie zezwolenie? Zabiera się za szukanie dwóch rzeczy. Roboty i chłopa. Obydwie sprawy idą jej fatalnie.

Matko, doprowadza mnie to do szału. Ta bezsilność i idiotyczna filozofia nieudacznicy. Z takim podejściem do sprawy za chwilę wyląduje w poradni psychiatrycznej. Napisze sobie na czole: NIE WIERZĘ W SIEBIE i będzie siedziała w kąci-

ku, cichutko łkając i wsuwając pigułki jak kolorowe cukierki.

Lata na treningi jak oszalała. Kto wstaje o czwartej trzydzieści rano, żeby okupować drzwi siłowni albo biegać? Popołudnia spędza, dla odmiany, również na treningu lub sporadycznie na randkach. Ma jakichś znajomych, ale chyba niewielu.

Oto, co się dzieje z kobietą, która skazuje się na pokutę. Jeszcze nie wiem za co, może za nic. Patrzę na powolny rozkład. Na kogoś, kto gnije powoli, stale, równomiernie. Nic nie jest w stanie zrobić. Wszelkie soki są wysysane na rzecz gnicia.

Hania

Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że los napisze dla mnie tak dziwny scenariusz. Patrzę na Ewę, a usta same rozchylają się w bezustannym zdumieniu.

Ewa. Wróciła nad ranem, słyszałam. A teraz siedzi przy kuchennym stole, odziana w satynową bluzkę z koronką i krótkie spodenki do spania. Podciąga opalone nogi i grzebie w telefonie. Wygląda, jakby ktoś wyciął ją właśnie z katalogu. Reklama seksownej i słodkiej bielizny nocnej.

Ewa. Nie wraca często na noc. A raz czy dwa przychodziła z kimś. Niedawno zastałam ją, jak oplatała mężczyznę nogami, siedząc na kredensie. Odchyłała głowę, pozwalając całować się po szyi. Zwiąłam do siebie.

Ewa. Biegająca przed pracą w szpilkach po domu. Pijąca tylko kawę, bo poranna toaleta pochłania ją bez reszty. Już sam dobór bielizny, od której robi mi się gorąco, zajmuje jej sporo czasu.

– Ej, Faustyna, przeleciałabyś mnie w czymś takim? – pyta, stając w bieliźnie wartej fortunę. Przecudny zestaw, delikatne, wyrefinowane koronki. Wygląda jak luksusowa striptizerka. I to ciało. Nie tak chude jak moje. Pełne kształty, doskonałe krągłości. Widząc to, wiem dobrze, dlaczego mężczyźni tak łatwo tracą głowę.

– Nie no, ładny – mówię, zmieszana. Nie zaskakuje mnie to, że widzę ją w stringach, ale to, że ktoś dzisiaj będzie te koronki zdejmował, i na pewno nie będzie to ona sama.

Ewa. Obrzuca mnie często pogardliwym spojrzeniem. Nic jej nie zrobiłam. Ani razu się nie pokłóciłyśmy. Ale czymś ją wkurzam.

Ewa. W moich oczach nimfomanka. Żyje seksem. Ma seks wytatuowany w stylu poruszania się, mówienia, pisania SMS-ów, robienia selfie, prowadzenia auta. Ona jest seksem. Jednym wielkim punktem G, który wyjątkowo trudno przegapić.

Emanuje zmysłowością. W jej towarzystwie każdy wydaje się prosty i zaniebdany. Przy niej umierają dobre i czyste intencje. Nie chcę w tym brać udziału, ale nie mam wielkiego wyboru. Ewę bawi opowiadanie mi o swoich ekscesach.

Czasem, kiedy mnie dorwie i sący swoje opowieści rodem z burdelu, czuję, że jest jej to potrzebne. Krótko z nią mieszkam, ale poznałam już z tuzin imion. Gubię się w labiryncie stosunków, członków, ciastek, gorących towarów.

– Hanka, widzę się dzisiaj z Krzysztofem – informuje mnie rano, jakby mnie to obchodziło. Mój pomysł na odseparowanie się od niej nie wypała.

– Z Krzysztofem...

– No, pamiętasz, wielka pała, wielki portfel... – Patrzy wyzywająco i chichocze. – Żaaartowałam, wyluzuj, Faustyna. No ale pałę ma niezłą. Chyba mi nie powiesz, że cię pała nie interesuje?

– Chryste, jaka ty jesteś wulgarna!

– Święta Faustyno, módl się za nami...

Uczepiła się Faustyny. Ilekroć tak do mnie mówi, czuję, jakby wbijała

mi szpilkę. Tylko ja wiem, ile pogardy, drwiny i politowania wkłada w to przezwi-
sko.

– Fajnie tak – zagaja tuż przed pracą, siedząc w staniku i dopijając kawę. –
Dwie laski mieszkają razem. Może by tak kogoś zaprosić... Żart! Żart!

Nie śmieszają mnie te żarty.

Ewa

Dzisiaj Bartłomiej. Lepiej ukryć to przed Faustyną, po co ma się dziewczyna stresować. Czy może raczej: po co ma poczuć do mnie nienawiść. O ile wiem, nie dostała jego numeru. Nie dziwię się, ale może kiedyś pomogę jej pojąć istotę sprawy.

Tak, zdecydowanie, Hankę trzeba nieco wesprzeć. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego mam na to ochotę. Dużo o niej myślę w ciągu dnia. Zastanawiam się, kim właściwie jest. Dlaczego skazuje się na takie życie: pokutne, ograniczone, bezbarwne. Szuka miłości. To mnie wkurza i wzrusza. Prędzej trafi jej się igła w stogu siana. Nic mnie z nią nie łączy. Nie mamy wspólnych poglądów, zainteresowań, nasze postrzeganie stosunków damsko-męskich to odległe od siebie galaktyki.

A jednak siedzi we mnie przekonanie, że jest coś, co nas łączy. Poczekam sobie spokojnie, aż wyjdzie na jaw. Nie widujemy się z Hanką zbyt często. Czasem rano, z rzadka wieczorem, bywa, że w niedzielę wpadniemy na siebie w kuchni. Obowiązuje niepisana zasada, że nie wchodzimy sobie w drogę. Każda żyje własnym życiem. Bywam w stosunku do niej zaczepna. To daje mi nieludzką uciechę. Ten jej zgorzogniony wzrok, zaczerwienione policzki. Ta niepewność, kiedy nie wie, czy mówię poważnie, czy tylko żartuję. Ach, ta moja lokatoreczka.

*

Coś się ostatnio dzieje z Ingą. Mało kontaktu. Kilka wiadomości w tygodniu. Żadnej perspektywy na spotkanie. Dziwne. Niepokojące na tyle, że zaburza się moja czasoprzestrzeń.

Od kilku miesięcy śpiam w różnych łóżkach i z różnymi facetami. Dobrze mi z tym, ale to spora zmiana. Inaczej spędzam czas. Inaczej dzielę dobę i na czym innym mi zależy. Inga była i jest czymś stałym. Jest moją przeszłością, teraźniejszością i... jedyną osobą na świecie, co do której mam nadzieję, że także przyszłością. Chyba tak zwykło się myśleć o partnerze? Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że mężczynna może być ostoją.

*Nic nie trwa wiecznie, niebezpiecznie jest wierzyć w to, że coś trwa wiecznie*¹⁷.

¹⁷ Sidney Polak, *Otwieram wino*, [w:] *Sidney Polak*, EMI Music Poland, 2014.

Tak, jasne. Ilekroć puszczają kawałek Sidneya Polaka, wsłuchuję się w ten tekst z chwytliwym refrenem. On otwiera wino ze swoją dziewczyną. Ja też obalam kolejne butelki, tylko za każdym razem u boku kogoś innego.

Może czas najwyższy wyłuskać Ingę z nory i wypić z nią wino? Jak za starych, dobrych czasów. Jak za każdym razem, które znam.

Dzwonię. Nie odbiera. Piszę. Nic. Znowu dzwonię. W końcu w nagrodę za wytrwałość dostaję marnego SMS-a:

Źle się czuję. Odpadam dziś, Ewka.

Więcej mi nie trzeba. Jeszcze zanim spotkam się z Bartłomiejem, mam zamiar sprawdzić, co się dzieje. Taki ze mnie Sherlock Holmes w spódnicy.

Drzwi otwiera Inga. To dobrze. Myślałam przez chwilę, że nie doczłapie. Nie cieszy się na mój widok. I tak wkraczam do środka.

– Inga, kurwa, co się dzieje, do cholery? Chyba za długo się znamy, żebyś takie akcje odwaliała?

– Ewka, nie mam nastroju.

– Dobra. Co mam zrobić, żebyś mnie w końcu oświeciła? Masz problemy z jakimś fagasem? Ktoś ci coś zrobił? Gadaj, bo stąd nie wyjdę!

Inga przeciera twarz. Wygląda na strasznie zmęczoną. Włosy w nieładzie, spięte w kucyk. Koszulka do spania, chyba niezdejmowana od doby.

– I tak się dowiesz, Ewka. Wszystko się zjechało. Jestem w ciąży. Co, kurwa?

Rozdział 29

Hania

– O kurwa.

– Hanka?

– Gratulacje! O Jezu, Aśka, tak się cieszę! – Przecież naprawdę tak jest. Serio, serio. – Przepraszam za przekleństwo. Chyba za dużo przebywam z Ewą, sama wiesz. Nieważne. Aśka! Wychodzisz za męża! Jeszcze raz gratuluję.

Dzięki Bogu, że zadzwoniła. Będę miała chwilę, żeby ochłonąć. Na żywo moja reakcja mogłaby źle wyglądać.

– Zobaczmy się dzisiaj na kolacji? Chcemy to uczcić. Z tobą! – świergocze Aśka. Jasne, że się zobaczymy, czemu nie? Cudownie będzie posiedzieć z parą narzeczonych i słuchać, jak planują swoje długie szczęśliwe życie.

– Bardzo chętnie. No a kiedy ślub?

– Tu cię zaskoczę. Szybko. Kamil ma znajomego, który pomoże nam załatwić salę i cały ten majdan. A ja znam księdza, który ma nam udzielać ślubu. Mówię ci, takiego księdza ze świecą szukać. Będzie cudnie!

O, jak cudnie. Siadam na łóżku. W mieszkaniu panuje cisza. Wsłuchuję się w nią. Daje mi niespodziewane ukojenie. Wdech i wydech. Żadnych łez, proszę.

Ślub, ciąża, życie. Zwyczajne, a jednak tak upragnione, w tej rutynie zawiera się kwintesencja szczęścia. Nienawidzę siebie za to, że nie umiem się cieszyć. Jeszcze nie. Na razie czuję raczej, jakby pocisk artyleryjski wyłupał mi kawał klatki piersiowej. Zieje wielka dziura, dymi. Za chwilę zacnie boleć, na razie jest szok.

Nie, nie chodzi o zawiść. Nie o pragnienie, by im się nie powiodło. Wręcz przeciwnie! To cierpienie toczy wyłącznie mnie. Każde szczęście w promieniu kilku kilometrów podkreśla, jak zła i beznadziejna jest moja sytuacja.

Aśka i Kamil. Mają pracę, mieszkanie, mają SIEBIE. Od lat tworzą jedno. W końcu się pobierają. Za chwilę będą dzieci, a potem wspomnienia. Wspólna starość w otoczeniu wnuków. A mnie zżera gorzka samotność, zgryzota, beznadzieja.

Wkraczam w obszar pustki. Coraz mniej bodźców do mnie dociera. Żeby w ogóle żyć, muszę się reanimować. Używać ciągle jakiegoś defibrylatora. To bardzo prosty, choć zaskakujący mechanizm. Im większy szum, większa adrenalina, mocniejszy ból, tym bardziej czuję, że w ogóle jestem. Istnieję. Zaręczyny Aśki i Kamila to właśnie taka głęboka rana, którą witam z trwogą, ale również wdzięcznością. Jeszcze nie zniknęłam. Jeszcze potrafię coś poczuć i się zasmucić. Jeszcze posiadam wolę buntu, żeby się nie poddawać.

Więc pójdę. Na rozmowę kwalifikacyjną. A potem na randkę z kolejnym facetem, który po pierwszym spotkaniu skasuje mój numer i już nigdy się nie odezwie. Na razie próbuję się przebić i mieć z kimś drugą randkę. Nic z tego. Myślę, że wiem, o co chodzi. Emanuje ze mnie rozpacz. Cuchnie jak rozkładające się ciało. Gniję od środka i ten delikatny, ledwo wyczuwalny odór drażni nozdrza i odbiera apetyt na więcej. Nikt nie chce się spotykać z gnijącą panną młodą. Nikt nie chce całować dementora¹⁸. To zaklęty krąg. Całą nadzieję zawarłam w tym, że to miłość wyrwie mnie z amoku. Da mi nowe życie, nadzieję, wiarę. Ale miłość omija szerokim łukiem tych, którzy już umarli.

18 Dementor to postać z serii *Harry Potter*, autorstwa Joanne K. Rowling. Stworzenie poprzez pocałunek wysysało ludzką duszę. Już sama obecność dementora powodowała uczucie rozpacz i beznadziei.

Jeszcze nie umarłam. Nie! Słyszycie? Żeńcie się, rozmnażajcie, cieszcie każdym porankiem. Kiedyś do was dołączę, nie dam się!

Z kim pójdę na wesele? Do cholery, z kim pójdę na wesele?

Rozdział 30

Ewa

Siedzimy w kuchni. Ja i Inga. Nieraz tak siedziałyśmy. Nieraz popalałyśmy papierosa. Piłyśmy wino. Omawiałyśmy ważne sprawy. Nieraz dzieliłyśmy się swoim światem, bo Inga jest jedyną osobą, która, jak mi się wydawało, mnie nie ocenia. Każdy powinien mieć kogoś takiego!

Ale teraz siedzimy pogrążone w dziwnej, złowrogiej ciszy, siląc się, by nie padło wiele słów. Walcząc o to, żeby szybko nauczyć się postępować w takiej sytuacji.

Inga w ciąży. Inga i dziecko. Inga matką. Inga z niemowlęciem na ręku.

Ja pierdolę. To zmienia absolutnie wszystko. Jej życie. Moje życie. Życie wszystkich, w których kręgu to dziecko będzie się obracać.

– Inga, jak to, kurwa, jest możliwe?! Inga!

– Przestań.

– Co przestań?!

– Przestań być taka wulgarna!

– Czy ja dobrze słyszę?

– Posłuchaj mnie raz a dobrze. Wyobraź sobie, że jestem pierdolonym błędem statystycznym. Jak widać, tabletki antykoncepcyjne są zawodne!

Że co?! Chyba jej ciąża na mózg padła.

– I się stało.

– Kto tu jest wulgarny? – burczę. Muszę się uspokoić. Nie idź na noże z ciężarną przyjaciółką. Trzeba przemyśleć sytuację. Ustosunkować się do tego. Zastanowić się, jakie będzie moje miejsce w tym wszystkim. – Kto jest ojcem?

Inga milczy. Zajebiście.

– Jeszcze nie wiem, Ewka. W tym czasie byłam na pograniczu dwóch związków. Z Adamem i Kamilem. I to mnie najbardziej dobija. Już na starcie dziecko ma przesrane. Rozumiesz?! Nawet nie wie, kto będzie tatusiem. Przez całą ciążę będę się zastanawiać. – Wybucham płaczem. Widać, że robi tak od kilku dni.

Nie umiem jej pocieszyć. Czuję się tak kurewsko bezradna w całej tej sytuacji, że jedyne, na co się zdobywam, to dotknięcie jej ramienia. Inga jest w rozsypce. Cholera...

– Ewka. Ty nic nie rozumiesz. Dziecko? Ja mam być matką? Nie tak to sobie wyobrażałam! – Łkanie przerywa słowa jak przecinki zdanie. – Miał być mąż. Ukochany. To miało mieć ręce i nogi. To miało być jak należy...

– A nie myślałaś...

– Chyba cię pojebało! Nie!!!

– Dobrze, rozumiem. Chyba już masz burzę hormonów, bo strasznie nerwowa jesteś. To chyba nie za dobrze, co?

Staram się, jak mogę. Chyba na więcej mnie nie stać, a przynajmniej nie w tej chwili.

– Wiesz, co mi ginekolog powiedział? Że musiałam tego bardzo chcieć. Pod-

świadomie musiałam mieć takie pragnienie, skoro tabletki zawiodły. – Uśmiecha się kwaśno. – Może ma rację? Nie wiem. Ale ja już na starcie palę dziecku życie. Mam po porodzie zgadywać, kto jest ojcem? Albo prosić panów o badania?

Milczę. Błatego pojęcia nie mam, co bym zrobiła. I co więcej, ja sama aż się spociłam na myśl, że tabletki mogą zawieść. Z tym że ja na pewno nie mam takiego ukrytego pragnienia.

– Pozostaje jedynie nadzieja, że lekarz mi pomoże. W sensie, że wyliczy mi to co do dnia, a ja sobie przypomnę, z kim wtedy byłam.

– I co wtedy?

– I wtedy będę decydować, co dalej. Czy mu powiem, czy nie. A jak się nie dowiem sama, to... nie wiem. Nie chcę teraz o tym myśleć.

Dobra. Czas na mobilizację. Rusz głową. Chcesz przy niej być? Bo jak się odcinać, to teraz. Nie wiem, sama nie wiem. Nie czuję się na siłach, żeby wspierać cię żarną. Dzieci... Nie, żadne dzieci. Jestem podłą suką. Najlepsza przyjaciółka przeżywa kryzys, a ja, zamiast rzucać się na pomoc, toczę wewnętrzną wojnę, czy nie spieprzać. Źle z tobą. Kiedyś nie miałabyś nawet chwili wahania. Kiedyś, co, kurwa, było kiedyś? Obydwie nie jesteśmy już takie jak dawniej. Dawniej było chyba... lepiej? Nie, teraz jest *the time of my life* i mam zamiar wycyckać do cna każdą chwilę. Czyż nie?

Jeszcze nie wiem, czy chcę zostać. Nie wiem, czy udźwignę temat Ingi i dziecka. Ingi z pieluchami, z wrzeszczącym bachorem, Ingi z nastrojami, Ingi niewyspanej, zajętej, nieskupionej. Nie ma tu miejsca na mnie. Właśnie to mnie uwiera. Ja stanę się drugim planem, a przecież, do kurwy nędzy, nikt inny nie dawał mi tyle uwagi, co ona. To nie fair. Nie jestem gotowa, żeby oddać pierwszeństwo. Nie małej, pokurczonej kreaturze!

Chryste, już teraz tak myślę o dziecku Ingi? Trzeba ochłonać! Wody. Nie, wódki!

– Ewka, nie wiem, czy dam radę. Na razie siedzę i ryczę. Na nic nie mam siły. Jak tak dalej pójdzie, to mnie wyleją z roboty. A to będzie lipa, bo... no, sama wiesz. Umowa o pracę.

Czas na zamaskowanie własnych słabości. Dopóki tu jestem, trzeba trzymać fason!

– Halo, ciężarna krowo... – Uśmiech przez łzy. – ...wstawaj i ani mi się waż mazać! Czas się ogarnąć. Skoro dziecko ma się narodzić, musi zastać najbardziej gotową Ingę na świecie. Rozumiesz? Nie może wyczuć, że jest, jak jest.

– Będziesz przy mnie, Ewka?

Jeszcze, kurwa, nie wiem. Mam lepsze rzeczy do roboty niż zmienianie obsranych pieluch.

– Spokojnie. – To się nazywa wymijająca odpowiedź. Jestem królową dyplomacji, czyż nie?

– Boże, tak się bałam, że mnie zostawisz. Nawet ty... – Znowu ryk. Tym razem sama wciska się w moje ramiona. Znamy się tyle lat i tyle łez wylałyśmy przy sobie, ale nigdy się nie przytulałyśmy. Zmiana goni zmianę. Już zawsze tak będzie?

– Zostać dzisiaj z tobą? – pytam i marzę, żeby mnie wypuściła. Muszę zaczerpnąć powietrza. Poukładać to wszystko. Muszę przybrać pozę, przećwiczyć, być lepiej przygotowaną.

– Jak wiem, że mnie nie zostawiasz, to od razu lepiej... Jedź, Ewka. Ogarnę ten chlew, doprowadzę się do porządku. Pojedziesz ze mną do lekarza? Jutro?

Niewiele jej trzeba, żeby się wzięła w garść. Widzę, że nic nie ma tak destrukcyjnej mocy jak poczucie osamotnienia. Jeden promyczek wpuszczony w ten syf, a ona już staje na nogi. Mechanizm obronny? Wola przetrwania? Czy co, do cholery? Przecież nic nie zrobiłam, a widzę po niej, jak wstaje, rozgląda się po mieszkaniu, zdziwiona tym, że wygląda tu jak po wybuchu bomby.

– Tyle trzeba będzie zmienić, Ewka... Tyle. Pomożesz mi to zaplanować?

– Jasne...

Plany na przyszłość. Ona chce, żebym ją wspierała w planowaniu... Ja sama nie wiem, co będzie jutro, za tydzień, za miesiąc. A mam ogarniać przyszłość jej i dziecka? Całe szczęście, że już wychodzę.

Oby Bartłomiej sprostął zadaniu, bo potrzebuję mocnej dawki adrenaliny.

Hania

Żakiecik, spódnica, obcasy. Tusz do rzęs, szminka, lakier do włosów. Brakuje tylko pewności siebie. Wpadła gdzieś pomiędzy wysyłane CV, przetrawiła ją któraś z rzędu rozmowa kwalifikacyjna. Coś się zapchało, coś umarło. Nie ma pracy. Nie ma mnie.

To nawet zabawne. Dziwne zazębianie sytuacji. Mam same pierwsze randki i same pierwsze rozmowy kwalifikacyjne. Nic dalej się nie dzieje. Nie dzwonią ani faceci, ani pracodawcy.

Słyszę ciągle to samo. Proszę pani, umowa o pracę? Może kiedyś. Może za rok. Nie, nigdy. Nie zatrudniamy w ten sposób. Gdzie widzi pani siebie za pięć lat? Co może pani zaoferować naszej firmie? Tu jest formularz, pięćset rubryk do wypełnienia. To pierwszy z dziesięciu szczebli rekrutacji. Liczą się najlepsi. Najlepsi dla naszej firmy.

Opada mi szczęka, opadają nadzieje. Aż tak długo nie szukałam pracy? W czym tkwi problem? Zakładam, że we mnie.

Randka to dokładnie to samo co rozmowa kwalifikacyjna. Zwłaszcza taka z kimś obcym. Ubierasz się ładnie. Reprezentacyjnie. Podkreślasz swoje atuty. Musisz za wszelką cenę się uśmiechać, choćby pytali cię o preferencje seksualne, dni płodne i twoje zdanie na temat eutanazji. Nie mrugnij nawet powieką. Trzymaj fason. Pokaż siebie jako przebojową, zdolną, kreatywną, pewną siebie, inteligentną, ale też nie przemądrzałą. Musisz znaleźć lukę i się wpasować. Co mogę zaoferować firmie? Co mogę zaproponować tobie, chłopaku? Co dam, a czego nie wezmę? Umowa wiązana. Nic pewnego. W każdej chwili mogą mnie zwolnić. W każdej chwili on może mnie zostawić. A może ja jego? Tego czas najpewniej nie pokaże, skoro nawet nie ma mowy o drugim spotkaniu. Drugim etapie.

„Uwielbiam” szukać siedzib firm. Krążyć pomiędzy budynkami. Zawsze przychodzę za wcześnie. Czasem mam gdzie pójść na kawę, ale czasem ląduję na wielkim odludziu. Kręcę się jak sierotka Marysia, odliczając minuty.

W końcu trafiam do sekretariatu. Tym razem musiałam czekać zaledwie piętnaście minut. Tylko że na recepcji nikogo nie ma. To podwójnie wyprowadza mnie z równowagi. W końcu ktoś wychodzi. Wysoki mężczyzna o aparycji esesmana na emeryturze. Wrogi, zacięty i przeorany życiem.

Siadamy.

Rozmowa jak zawsze.

Bla, bla, bla. Czego oni oczekują. Czego oni potrzebują. Jacy są wspaniali. Jak mam całować ich po rękach, że w ogóle chcą kogoś przyjąć. Ilu to mają kandydatów. Jak ci kandydaci biją się o stanowisko, na umowę zlecenie, z wydłużonym czasem pracy, bo ich zdaniem potrzebujesz zaszranego lunchowej.

Na koniec pytanie. Wyrzywa mnie z dziwnego zawieszenia.

– Czy planuje pani rodzinę?

– Słucham?

– Nie jest pani mężatką.

Cisza. Proszę pana. Pan trafił na mój zły dzień. Wstaję pomału i czuję rozkoszny smak wolności. Dziękuję Bogu i wszelkim bóstwom, że nie muszę zalegać przy biurku w tej firmie. To cudowne uczucie wiedzieć, że nikt nie będzie mi się kazał spowiadać przed obcym facetem z tego, czy planuję się rozmnażać, czy też nie.

– Uspokoję pana. Na razie nie mam dni płodnych, a kiedy będę je miała, specjalnie na pańskie życzenie nie dopuszczę do siebie żadnego dawcy nasienia. W przypadku, gdyby tak się stało, napiszę e-maila. Jeżeli pan sobie życzy, mogę przynosić panu dokładną rozpiskę: kiedy jajczkę i jaką mam temperaturę ciała. Jeżeli zaś pańska firma jest tak wspaniałomyślna, że sfinansuje mi podwiązanie jajowodów, z radością poddam się zabiegowi. Czy to pana satysfakcjonuje? Czy dostałam tę zajebistą, niesamowicie pożądaną posadę?!

Moją tyradę wygłaszam na stojąco. Głos mam jak dzwon. Widok jego twarzy, bardzo zaskoczony, daje słodką satysfakcję. Idę o krok dalej. Kierując się do drzwi, rzucam zajadle:

– Mam nadzieję, że artykuł na moim blogu na temat naszej dzisiejszej rozmowy i wymagań, jakie stawia pańska firma przed młodymi kobietami w wieku rozrodczym, się panu spodoba...

A masz, chuju. Może założę taki blog. Żeby ci w pięty poszło.

Jadę do domu. Dzisiaj jeszcze jedna „rozmowa kwalifikacyjna”. Tym razem czeka mnie starcie z facetem, którego miałam okazję poznać osobiście. Tak, Asia miewa czasem podobne znajomości. I wzięła sobie do serca to całe polecenie... Błażej jest chyba półbogiem. Tak przystojny, że zdaje się połyskiwać złotą łuną.

– Mówię ci, Hania. Przyjeżdża na motocyklu. Pracuje zdalnie. Spec od IT. Mijałaś go w drzwiach, jak do mnie wpadłaś ostatnio.

– Skąd wiesz, że jest wolny?

– Otóż... zauważyłam, że ma konto na portalu randkowym. Zerknęłam mu w telefon. Więc zaraz pytam go, czy szuka sobie kogoś. On na to się uśmiecha i wiesz, wszystkie dziewczyny w pokoju mdleją. – Chwila na chichot. – I mówi do mnie, że w sumie czemu nie. Pyta, czy mam ochotę się z nim na kawę wybrać. A ja na to pokazuję mu twoje zdjęcie i przypominam, że mijaliście się w drzwiach. Mówi: *Why not?* I tak oto, moja droga, załatwiłam ci męża, który, jeżeli jednak nie zostanie twoim mężem, najpewniej będzie modelem „Vogue’a”. Albo coś. No ale randeczka będzie, ale super, co nie?

Racja. Mijałam go i faktycznie – obok kogoś o tak nieziemskiej urodzie nie da się przejść obojętnie. Faceci jego pokroju należą do tych, co całe życie mogliby nie pracować. Adoratorci zapewniłyby wikt i opierunek. Za jeden uśmiech, wieczór, jedną noc.

Błażej, boski Błażej. Blondyn o niebieskich oczach. Właściwie szatyn, łobuz, który doskonale bawi się w piaskownicy. Wesołe iskiereczki odbijają się nie tylko w spojrzeniu, ale również w zniewalającym uśmiechu. Odśłania wtedy rząd idealnie równych, zadbanych zębów, a wokół ust robią mu się seksowne bruzdy. Lekki zarost podkreśla męską szczękę, a delikatne złociste piegi na nosie dodają mu uroku. Szczupły, dobrze zbudowany, ale nie muskularny. Wysoki. W skórzanej kurtce, bo rzeczywiście, wszędzie dojeżdża swoim motocyklem.

Jeszcze tego samego dnia dostaję SMS-a:

Cześć, tu Błażej. Dostałem cynk, że taka piękna dziewczyna jak ty chce się ze mną umówić na kawę. To prawda?

Piszemy przez dwa dni. Wymiana kilku wiadomości dziennie. Bez szału, bez natręctwa. Widać, że to chłopak na dużym luzie. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Aśka przebiera nogami z wrażenia i emocji, ja podchodzę do tego z dystansem. Bogowie rzadko się łączą ze śmiertelniczkami, a jeżeli im się zdarzy, śmiertelniczki najczęściej zostają potem same. Z dzieckiem.

A dzisiaj mam zły dzień. Ta randka albo zamieni go w coś lepszego, albo zupełnie mi się odechce.

*

Kawiarnia na Nowym Świecie. Kocham kawiarnie. Czuję się bezpiecznie w ich wnętrzu wypełnionym aromatem świeżo palonej kawy. Lubię klimatyczne, subtelnie oświetlone pomieszczenia w pastelowych lub czekoladowych barwach. To mnie koi. Mało mam przyjemności w życiu. Kawa w dobrej kawiarni to jedna z nich.

Czekam na księcia. Ma przyjechać na dwudziestą. Dla mnie to dosyć późna godzina. Nie mam jednak wyjścia. Nie marudzę. Na kogoś takiego powinno się czekać, przecież to chodzący ideał...

Trochę się denerwuję. Nie uważam, że ktoś o tak doskonałej urodzie, hollywoodzkim spojrzeniu i pięknym uśmiechu mógłby zwrócić na mnie uwagę. To mnie raczej onieśmiela. Wyprowadza z równowagi. Trzeba udawać. Tak jak na rozmowie kwalifikacyjnej. I jakoś pójdzie.

Nagle wkracza. O matko jedyna, o wiele piękniejszy, niż zapamiętałam. W dłoni trzyma kask. Odziany w strój do jazdy motocyklem. Idzie najpierw zamówić kawę. Ja już swoją mam. Kiedy w końcu podchodzi do mnie, poraża mnie, jak idealne ma rysy twarzy. Natura potrafi tworzyć arcydzieła. Błażej jej się bardzo udał. Kiedy mu się przyglądam, stwierdzam, że to, co najbardziej w nim pociąga, to właśnie ta zawadiackość. To nie jest uroda „seksualnego drwala”, raczej seksownego blondyna, który właśnie wyczołgał się na deskorolce spod samochodu, cały umorusany smarem.

– Cześć! W końcu się widzimy.

– Cześć! – Nie mogę ukryć lekkiego rumieńca.

– Kawę już masz, może postawię ci potem drugą? Bezkofeinową? – Mruga do mnie.

– Kawa to moja wielka słabość, tak więc zobaczymy. Ta jest ogromna!

Rzeczywiście. Stoi przede mną kubek wypełniony po brzegi. Od serca, jak mawiają.

– Opowiedz coś o sobie, proszę. Czym się interesujesz? – To ja zaczynam. Chcę jak najszybciej ukryć zmieszanie. Muszę się jakoś rozluźnić...

– Nie ma co ukrywać. Kocham podróżować. Ponad rok spędziłem w Australii. Było cudownie.

– Rok w takim klimacie? Odważne... A praca?

– Teraz pracuję już zdalnie. W pewnym momencie stwierdziłem – dosyć. Nie marnuj życia na siedzenie za biurkiem. To żałosne. Ogarnij się i spełniaj marzenia! I tak zwiedziłem kawał świata. A zlecenia robię wszędzie. Jestem mobilny...

Wieczór, zaczęty dosyć miło, zaczyna się przemieniać w prelekcję. Błażej opowiada o swoich podróżach. Opowiada, opowiada, opowiada.

– Przez pół roku byłem w Azji. Trochę siedziałem w Stanach Zjednoczonych. To dopiero był czas. Pracować sobie za biureczkiem, ale takim na Manhattanie. I to w swoim mieszkaniu, a nie w jakiejś smocznej korporacji, to dopiero życie. A roboty mi nie brakuje. Lata doświadczenia, stali klienci. Ogólnie jest dobrze.

– A teraz kogoś szukasz? W sensie, no wiesz... – Dosyć osobiste pytanie, ale przecież po coś siedzę z nim w kawiarni. Nie tylko w celu wysłuchania godzinnej opowieści o podróżach i wspaniałym, barwnym życiu.

– No jasne, że szukam. To, co mnie interesuje, to życiowa pasja. Tylko ktoś, kto ma pasję, ma szansę mnie zainteresować. – Uśmiecha się przy tym z wielką pewnością siebie.

Tymczasem ja już jakiś czas temu zgasłam. Na razie Błażej nie pyta o mnie. Roztacza przede mną wizję życia, w którym nic go nie ogranicza. Robi, co mu się podoba, a każdy dzień to kolejna słodka przygoda. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, że biorę udział w... castingu. W castingu na idealną dziewczynę, która musi kipieć od kreatywności i mnogości zainteresowań. Na dziewczynę, która potrafi rzucić świat w sekundę, by pobiec za marzeniem. Za nim. Błażejowi trzeba dotrzymać kroku. Jeżeli nie dajesz rady, zostaniesz w tyle, a on nie będzie się wracał. Smakuje życie, bawi się nim. Nie ma tu miejsca na smutek, ociąganie się czy słabość.

Kiedy w końcu próbuje się dowiedzieć czegoś o mnie, mam wrażenie, że wszystko, co mówię, brzmi jak mowa pogrzebowa.

Tak, ja też chciałabym kiedyś podróżować. Kiedyś, znaczy nigdy. Teraz jestem bezrobotna. Super, prawda? Szukam pracy, słabo mi idzie. Nikt mnie nie chce zatrudnić, bo jestem w wieku reprodukcyjnym, a kandydatek takich jak ja są dosłownie setki. Moja opowieść jest smętna jak jesienny deszcz. Wysyłam rodzicom pieniądze od lat. Czuję brzemień, stanowią ważny element ich utrzymania. Nauczyłam się żyć oszczędnie, nie szaleć, myśleć zawsze do przodu. Zatraciłam się w układaniu swojego świata tak, aby nic mi nie zagrażało. Zapomniałam, że fundamentem jest miłość. Teraz mam wrażenie, że jest już za późno. Moje pasje? To przykrywka dla chorobliwej samotności. Nigdy nie zrobiłabym nic szalonego, bo ryzykuję nie tylko swój świat, ale też bezpieczeństwo matki i ojca. Jestem stłamszona, zmęczona, zniechęcona, wykończona. Idealna kandydatka dla kogoś takiego jak ty.

Koniec spotkania. Rozstajemy się, ale zanim to następuje, idziemy jeszcze kawałek Nowym Światem. Gadamy o bzdurach. Wiem, że już nigdy go nie zobaczę. I nie chcę go widzieć. On pieczętuje to słowami:

– To cześć. Może kiedyś zadzwonię.

Ściskamy sobie dłonie jak na spotkaniu biznesowym i rozchodzimy się, każdy w swoją stronę.

Aśka, nie znalazłaś mi męża. Dziękuję, że się starałaś.

Ewa

Gaz do dechy. Jedź, kobieto, szybko. Wszystko źle!

Inga w ciąży to tak, jakbym ja też była trochę w ciąży. Przecież nie mam nikogo bliższego niż ona. A teraz wyjdzie na to, że odwiedzając ją, będę też odwiedzała TO. A to będzie darło mordę, srało w pieluchę i odciągało uwagę. To sprawi, że Inga przez długie miesiące nie weźmie kropli alkoholu do ust. Nie pójdzie na clubbing. Nie zaciągnie się papierosem.

Kurwa. Może mnie oszukała? Jak można zajść w ciążę, biorąc tabletki? Słyszałam o podobnych przypadkach, ale... Truchleję na samą myśl.

Podjeżdżam pod lokal. Wdech i wydech. Zaraz zapomnisz o problemie, rozluźnisz się nieco. Spokojnie. To jej świat, nie twój. To ty zadecydujesz, ile ciebie w nim będzie. Może będziesz fajną ciocią Ewą, a może wycofasz się, przyjaźń się rozleci. Tak bywa w życiu. Przyjaźń też może się skończyć.

Bartłomiej umówił się ze mną w australijskiej restauracji. Uwielbiam nowe miejsca, więc punkt dla niego. Może skuszę się na stek z kangura, ale najpierw potrzebuję napić się wina. Dużo wina. Dzięki Bogu za taksówki.

Jak na programistę, Bartłomiej faktycznie jest uroczy. I pociągający. W końcu wychodzi na to, że opowiadam mu o Indze.

– I nie wie, kto jest ojcem?

– Jeszcze nie. Tak wyszło.

– Martwisz się o nią. Dobra z ciebie psiapsiółka.

– Jasne. Najlepsza!

Gadu, gadu, wieczór płynie. Na moim talerzu grillowany stek z emu. Pyszny. Lubię testować nowe smaki. Dzisiaj muszę też spróbować Bartłomeja. Koniecznie. Muszę uciec, rozluźnić się, tylko seks da mi zapomnienie.

Bartłomiej, który oczywiście płaci rachunek, nie ma nic przeciwko. Hanka mocno by się przejechała, gdyby zaprosił ją do siebie już na pierwszej randce. Ciekawe, po ilu randkach ona decyduje się zrzucić ciuchy. A może jeszcze nigdy z nikim nie spała i się nie przyznaje?

Nieważne. Bartłomiej jest teraz mój.

Kiedy zabiera się za zdejmowanie mojej sukienki, wyczuwam, że coś tu jest mocno nie tak. Całuje mnie po szyi i ramionach, ale robi to tak niewprawnie, że aż dziw. A kiedy łądujemy półnaczy na łóżku, odnoszę wrażenie, że nie ma pomysłu, jak się za mnie zabrać. Tu cmoknie, tam polize, ale nie ma to ładu ani składu.

Pomagam mu nieco. Naprowadzam. Ale... nie ma zmiłuj. Bartłomiej – całkiem przystojny, męski, przemiły – jest absolutnie fatalny w łóżku. Myślałam, że to niemożliwe.

Jest nudny, przewidywalny, zupełnie niepodniecający. Stęka, wierzga, ale nie ma w tym żadnego seksapilu.

Czuję się gorzko rozczarowana. Wkurwiona. Nie dość, że fatalny dzień, fatalne

wieści, to teraz jeszcze fatalny koleś w łóżku.

Zbieram się, nic tu po mnie. Bartłomiej jest do całkowitej kasacji. A Hanka powinna być mi wdzięczna, że oszczędziłam jej mężarni. Nic by z nim nie zdrażała.

Wychodzę. Zaraz po. Żadnych przytulank, mizianek. Bartłomiej jest nieco zdziwiony.

– Coś nie tak? Zrobiłem coś nie tak?

– Muszę uciekać, sorry.

– Zobaczymy się jeszcze?

Kompletnie ubrana, z torebką pod pachą, patrzę na Bartłomieja i mówię:

– Nie zobaczymy. Bartłomiej, popracuj nad swoimi umiejętnościami. Serio.

I znikam. Nawet nie widzę jego miny. W dupie mam, co sobie myśli. Może pójdzie po rozum do głowy. To zabawne, że tylko kobiety posądzane są o niechęć do edukacji seksualnej. Właśnie zostawiłam koronny dowód na to, że panowie zostawiają temat odłogiem. A skutki są przytłaczające.

W domu zastaję Hankę pijącą kawę w kuchni. Kawa o tej porze? Widać miała ciężki dzień.

– Co tam? Siedzisz sama i siorbiesz espresso? Wina byś się ze mną napiła. Ja stawiam. – Sięgam po butelkę. Tak bym się nachlała z Ingą. Może to już nigdy nie nastąpi.

– Nie, dzięki. Zaraz idę spać. – Hanka właściwie nie pije alkoholu. Straszne. Straszne!

– Co się tak marszczysz? Miałaś nieudaną randkę? Chwila, chwila... tak, miałaś! – Jej mina mówi wszystko.

– Nie, po prostu facet nie z mojej bajki.

– No zobacz... To ja dzisiaj miałam podobną sytuację. I wiesz co, Faustyna? Mam propozycję! Doskonałą. Zamiast się użalać nad całym światem, chodź ze mną na jeszcze jeden speed dating.

– O nie...

– Co nie? Masz zamiar odpuścić po jednym razie? Jak tak w życiu walczysz, to nie dziwię się, że idzie ci jak po grudzie.

– Kiedy jest?

– W czwartek. Rezerwuj termin, mała! A tak przy okazji. Jak idzie szukanie pracy?

– Daj spokój. Dzisiaj pytano mnie, czy mam zamiar się rozmnażać.

– Ja pierdolę. Nieźle. Ale głowa do góry. Robota się w końcu znajdzie!

Ja bym jej nie zatrudniła. Ma zmęczony wzrok i emanuje takim brakiem pewności siebie, że aż przykro patrzeć. To działa na pracodawców, facetów – na każdego. Nie umiesz wkładać maski, nie ma cię w grze.

Do głowy przychodzi mi pewna myśl. Z tego, co pamiętam, szukają u nas w firmie kogoś nowego. Nie jestem taką podłą suką, za jaką się mnie uważa, i wiem, kiedy pomóc. Rozeznam się w temacie. Kto wie? Może drogi moje i świętej Hanny splotą się jeszcze bardziej?

Hania

Zaskoczenie. To chyba najprostsze i najlepsze słowo. Ewa zanoszą moje CV do swojej firmy. Jestem już po rozmowie. Tak poukładany jest ten świat, że robota z polecenia to o wiele łatwiejszy schodek do pokonania. Wiem, że się uda. Co mają mi do zarzucenia? Mam doświadczenie, znam angielski. Jestem wykształcona. Proponują o wiele mniej, niż kiedyś zarabiałam. Jeszcze miesiąc temu bym ich wyśmiała, teraz mówię: „Oczywiście, dziękuję”.

Zaczynam od nowego tygodnia. Nie mają czasu bawić się w wielkie rekrutacje, a może im się nie chce. Albo Ewa tak doskonale mnie zarekomendowała. W końcu takiemu komuś jak ona się nie odmawia.

Ulga... Na samą myśl o przeglądaniu ofert pracy aż mnie skręca. Może teraz coś zaczniesz się układać?

Ewa pracuje w innym dziale.

– Będziemy się widywać raczej sporadycznie, pewnie w kuchni. Tak więc nie bój żaby! Nie będziesz musiała chować się przede mną po kątach. A co z tym speed datingiem? Jeden uciekł nam spod nosa, ale za to kolejny jutro! No, nie bądź taka.

Nie będę taka. Pójdę. Co mi szkodzi? Tylko to, że tak bardzo nie mam siły. Kilkanaście rozmów. Dłgie pięć minut.

Z ledwością zdobywam się na to, aby spotykać się z kimś na mieście.

*

Czasem są takie sytuacje w życiu, które wydają się wycięte z opowieści fantasty. Odrealnione sytuacje, przypadki, wydarzenia. Ludzie, których zupełnie się nie spodziewamy. Kiedy więc w mojej skrzynce e-mailowej ląduje wiadomość od... informatyka z mojej poprzedniej pracy, szczęka mi opada.

Cześć, Hania,

Pamiętasz mnie? Tu Kamil, informatyk, jak się zwykle mówi. Tak ostatnio myślałem o Tobie. Wszystkich nas wywalili na zbity pysk... Jak sobie radzisz? Znalazłaś coś?

Może skoczmy gdzieś na piwo i to obgadamy?

Kamil

Z Kamilem zamieniłam może ze dwa, trzy słowa. Poza tym rozmawiałam z nim jedynie o instalowaniu drukarek, sterowników i programów. Nic więcej nie było mi potrzebne. Skąd przyszedł mu do głowy? W sumie nie był kimś odstręczającym. Dać mu szansę?

Odpisuję. Tak, spotkajmy się. Może w ten weekend? Tak, znalazłam pracę, bez żadnego problemu. Trochę sobie odpoczęłam, a teraz ruszam do boju. Jestem tak zadowolona, że pracodawcy się o mnie zabijali.

Pięknie. Przede mną szybkie randki, randka we dwoje i nowa praca. Życie nie

umierać.

Wolę nie zerkać w lustro. Muszę coś ze sobą zrobić, wyglądam jak z poematów romantycznych. Błada cera, cienie pod oczami, włos rozwiany.

Najchętniej poszłabym spać. Na jakieś pół roku. Cudowna perspektywa, zniknąć dla świata. Nie czuć, nie myśleć, a potem obudzić się i na nowo spojrzeć na rzeczywistość.

*

Znowu klub. Jeszcze pusty. Pod ścianami i przy stolikach moszczą się uczestnicy speed datingu. Czuję się jak weteranka. To mój drugi raz, ale dla mnie tysięczny. Zupełnie nie mam ochoty. Chcę stąd wyjść. Co mnie powstrzymuje? Paniczny lęk. Słowa Magnata wciąż brzmią w mojej głowie. Silne jak dzwon.

Sprawdź, czy miłość przyjdzie, jeżeli ją zaprosisz. Nie katuj się staniem w miejscu. Straciłaś już tak wiele dni....

Jestem otwarta, Magnacie. Gdybyś mógł zobaczyć, jak bardzo się teraz staram i ile wysiłku wkładam w poszukiwanie miłości, bardzo byś się zdziwił. I byłoby ci przykro, bo to ja miałam rację. O miłość się nie prosi. Im głośniejsze o nią skamle, tym bardziej ona nie chce przyjść.

Najbardziej ze wszystkich rad na świecie, danych mi przez wiele osób, lubię tę jedną jedyną: „Nie szukaj miłości. To się samo stanie. Nawet nie będziesz wiedziała kiedy”.

Wszystkich szlachetnych doradców spaliłabym na jednym stosie.

A teraz jestem tutaj, znowu pełna nadziei. Może się uda? Może mam jakąś szansę? Może spośród tłumu wyłoni się ten, u boku którego spędzę następne wakacje? Ten, który sprawi, że to życie, tak nieznośne, stanie się łatwiejsze?

Siadam przy stoliku z miną pod tytułem: „Nie podchodź do mnie”. Idealna rekomendacja własnej osoby. Tak! Bierzcie mnie. Cała jestem wasza. Taka pełna radości, ufności i lekkości bytu.

W którym momencie życia zamieniłam się w zgorzkniałą starą pannę? Chyba coś mi umknęło.

Kandydat numer jeden. Mirek z Wawra. O matko, nie będę tam dojeżdżać. To daleko, poza tym Mirek śmieje się nerwowo i wygląda nieco jak surykotka. Następny, proszę.

Kandydat numer dwa. Karol z Woli. Pan z okazałym brzuszkiem i rzadkimi, długimi włosami. Na co dzień jest, a jakże, programistą. Następny, proszę.

Kandydat numer trzy. Paweł z Wilanowa. Bardzo przystojny. Obrzydliwie bogaty. Weekendy spędza, uprawiając sporty ekstremalne lub wylatując gdzieś za granicę. Uwielbia Paryż i Mediolan, ale chyba najbardziej pieniądze. Następny, proszę.

Kandydat numer cztery. Przemek z Białołęki. Bardzo skąpowany. Niski i chudy. Jest fotografem, pracuje na etat w niewielkiej agencji. Wyglądałby przy mnie jak szczur przy żyrafie. Dziękuję, następny proszę.

Kandydat numer pięć. Adrian z Łomianek. Bardzo pewny siebie. Pozjadał wszystkie rozumy. Na co dzień kucharz, podobno gotuje doskonale. Rubaszny śmiech skutecznie mnie odstręcza.

Kandydat numer sześć. Konrad z Mokotowa. Ma wyjątkowo ciekawą pracę. Poszukuje spadkobierców na zlecenie kancelarii prawniczych. To bardzo interesują-

ce, myślę, że mogłabym się z nim umówić. Pytam o jego zainteresowania. Hoduje pająki. Ma własne terrarium, w którym biegają ptaszniki. Proszę o przerwę!

Jest przerwa.

Nie mam siły. Kołyszę się nad klubową umywalką i czuję, że jeżeli tam wrócę, mogę na kogoś zwymiotować. Poczekam sobie na Ewę w innym miejscu. Trudno, mój stolik pozostanie pusty. Jedna kolejka stracona.

Świeże powietrze pomaga. Siadam na ławce i zatracam się w myślach. Wydaje mi się, że mija raptem chwila, kiedy pierwsi uczestnicy opuszczają klub. Oby nikt mnie nie zauważył. Ewa wychodzi pod ramię z panem obrzydliwie bogatym. Czy od razu wsiądą w prywatny samolot, aby polecieć na weekend za granicą? Nie wiem.

Wstaję i wychodzę jej naprzeciw.

– Mała! Co masz taką minę? Ona tak zawsze, nie przejmuj się – rzuca do mężczyzny. – Słuchaj, ja idę się czegoś napić z Pawłem. Wrócisz sama?

– Jasne. Do zobaczenia.

Dzięki Bogu, że to już koniec. Wlokę się do metra.

Ewa

Szybkie randki to jak zawsze ubaw po pachy. Z jednej strony zmęczyłam się jak nieboskie stworzenie, z drugiej kompletnie się zrelaksowałam i zapomniałam na moment o ciężarze całego tygodnia.

Było mi to potrzebne. Od jakiegoś czasu jestem bardziej drażliwa i szybciej tracę cierpliwość. Mam coraz mniej wyrozumiałości dla facetów z dziwaczną osobowością. Całe szczęście, Paweł nie jest wizjonerem, wróżbitą i nie ma obsesji na punkcie damskich stóp.

Nie imponują mi jego pieniądze. Jest po prostu przystojny i całkiem zabawny. Mogę się przy nim zabawić. Proponuje mi weekend w Rzymie. „Leć ze mną. Pokochasz to miasto, mówię ci”. Co mnie trzyma w Warszawie? Nic. Jasne, że polecę. Mogę tak się bawić, kiedy tylko zapragnie! Tylko najpierw przekonajmy się, czy w łóżku nie okaże się frajerem, przerabiałam ten temat i dziękuję...

Hanka z kolei dziczeje. Urwała się ze speed datingu i siedziała na ławce ponad godzinę. Nic mi do tego, ale mina, jaką miała, przypominała pacjentkę zakładu dla psychicznie chorych. Smutny wyraz twarzy. I pustka w oczach, tak jakby nic na tym świecie nie mogło jej ucieszyć. Trzeba coś z tym zrobić. Nie będę mieszkała pod jednym dachem z trupem, a tym Hanka za chwilę się stanie.

*

Z Pawłem jest mi naprawdę dobrze. Mam szampański humor. Weekend w europejskiej stolicy? Sama bym tego nie wymyśliła. Gdzie jeszcze zaprowadzi mnie to wszystko?

Obracam się przez ramię i widzę miesiące skąpane w bezustannej adrenalinie. Ciągłe coś się dzieje. Nowa ja. Ewa, która oddycha pełną piersią. Ewa, która żyje tak, jak chce, i nie boi się niczego. Nikt nie ma prawa jej oceniać ani mówić jej, co ma robić.

Tego chciałam. Tak miało być i spełniam się w stu procentach. Być może dlatego widok mojej Faustyny, równie znękany jak obraz Matki Bożej Bolesnej, nie daje mi spokoju. Mam ochotę ją ukryć. Nie patrzeć na to, co się z nią dzieje. Oglądanie powolnego rozkładu, umierania, tego się pod moim dachem nie spodziewałam.

Znalazłam jej pracę. Może więc uda się znaleźć faceta? Źle się czuję w roli wróżki albo niańki. Jednak to wrażenie, że łączy mnie z Hanką jakaś więź, wciąż jest obecne.

Dlatego właśnie skanuję w głowie mapę mężczyzn, którzy mogliby nieco wstrząsnąć światem mysiej bohaterki.

*

– Halo, Marcinek! – witam uśmiechem i cmokiem w policzek wysokiego blondyna. Dział HR. Nigdy nie dałam mu się uwieść, ale nie mam do niego zastrzeżeń.

Całkiem przystojny.

– Ewuś, jak zawsze zniewalasz.

– Słuchaj, stary... Tak mi się zawsze wydawało, że chciałbyś się umówić.

Na kawę, może kolację.

– Piekło zamarza czy ty właśnie próbujesz mnie gdzieś zaprosić?

– Marcinek, nieee. Ale znam kogoś, kto potrzebuje zajebistej randki. W poniedziałek będziemy mieć nową koleżankę w firmie, wiesz o tym?

– Randkę w ciemno mam zaliczyć? Pokaż mi ją chociaż na Facebooku! Jest garbata?

– Proszę cię o koleżeńską przysługę. Zaproś ją gdzieś i zrób tak, żeby poczuła się jak księżniczka. Wierzę, że udźwigniesz temat.

– Oj, Ewuś. No, zobaczę, co da się zrobić.

Nie znam za dobrze Marcina, ale wygląda na kogoś, kto może oczarować kobietę. Myślę, że Hance łatwo będzie „zrobić dobrze”. Tymczasem ja zajmę się sobą. Rzym czeka. W myślach już jem śniadanie na tarasie z widokiem na oszałamiającą panoramę miasta. Mam przeczucie, że bardzo tam pasuję. Być może zaczyna się w moim życiu nowy etap? Podróże? Jestem otwarta. Zawsze otwarta.

Hania

Wkładam sukienkę, sprawdzam, czy nogi są ogolone. Zupełnie beznamiętnie i bez żadnej chęci. Wcale nie chcę się podobać Kamilowi. Idę na randkę, przekonana, że to fatalny pomysł. Próbuję sobie przypomnieć, jaki on jest. Obraz, który się wyłania, wcale mi się nie podoba.

Może odwołać spotkanie? Poczulałabym wielką ulgę. Ostatnio ciągle jej szukam, najczęściej poprzez rezygnację. Kiedy tylko coś odpuszczam, jest mi lepiej.

W końcu ustalam plan. Dzisiaj widzę się z Kamilem, a jutro wczesnym raniem wsiadam w samochód i jadę na Podlasie. Dzwonił Kuba, będzie miał czas, żeby pogadać. Potrzebuję zmienić otoczenie.

Czuję się brudna, wymięta, zakurzona. Wszystko mnie swędzi i marzę o tym, żeby obudzić się w jakiejś innej rzeczywistości. Może weekend poza Warszawą pomoże.

Czuję się bardzo chora. Bezsilność miesza się z rezygnacją. Zastanawiam się, jaki znaleźć sposób, aby ze wszystkiego się wyłączyć. Dokąd uciec, aby poczuć wreszcie tę jedną jedyną emocję? Życie.

Coraz częściej prześladuje mnie myśl, że nawet miłość nie jest w stanie zmienić tego, co we mnie siedzi. Poczucie pustki, zjadające mnie wewnątrz, jest nachalne. Sprawia, że każdego ranka, jeszcze zanim moje stopy dotkną podłogi, jestem przekonana, że nic nie ma sensu.

Praca nie ma sensu. Treningi nie mają sensu. Jedzenie. Przyjaźnie. Świat też nie ma sensu. Po co to wszystko robić, po co się starać, kiedy i tak nie widać, aby do czegoś to prowadziło? Poza śmiercią, oczywiście.

Nie myślę o umieraniu. Nie chcę się zabijać. Po prostu marzę o uldze. Ukojenie, samo to słowo wzbudza tęsknotę. Tli się we mnie nadzieja, że miłość pomoże mi stanąć na nogi. Jak by nie było, ona sama w sobie jest sensem istnienia.

Dlatego, pomimo wszelkich wątpliwości i wielkiej niechęci, idę na spotkanie z Kamilem. Informatykiem, którego słabo pamiętam, a teraz stanę z nim oko w oko. W sumie nigdzie nie padło słowo „randka”. Może on naprawdę chce jedynie pogadać o pracy?

*

Umówiliśmy się w małej kawiarni. Całkiem tu przytulnie, będzie mi łatwiej znieść ewentualne zawirowania.

Kamil wkracza i macha mi na powitanie. Ja już mam swoją kawę, on idzie do kasy. Obserwuję go. Jest niewysoki. Ubrany w dżinsy i koszulkę w kratę. W sumie jest całkiem przystojny. Kto wie, kto wie? Może to będzie jedna z tych opowieści, w których drogi musiały się rozejść, aby potem ponownie się zejść?

Nie. Jedno spojrzenie na niego i wiem, że chcę wyjść.

Jego źrenice zdradzają, że coś jest na rzeczy. Nie znam się na prochach, trawy

nawet na oczy nie widziałam. Z ledwością nauczyłam się rozpoznawać jej zapach, kiedy w końcu skojarzyłam go z gotowaną kapustą. Tu jednak w grę wchodzi o wiele cięższy kaliber niż trawa.

Kamil podryguje nerwowo, patrzy mi prosto w oczy.

– Cześć, ale zajebiście, że się ze mną spotkałaś! – mówi nieco za głośno i dalej podryguje. Czuję się wybitnie nieswojo i nawet aromat kawy nie jest w stanie mi pomóc.

– Cześć, Kamil, jak się masz?

– Jak to mówią, chujowo, ale stabilnie. Wylali mnie, wiesz?

– Wiem... Ktoś tam jeszcze został?

– Tak, jeszcze tak. I wiesz co? Firma wcale się nie likwiduje! Wywalili większość ludzi, ale trochę ich zostanie. Potem się odbudują, może zmienią nazwę i jazda.

– O matko... Chyba i tak nie byłoby warto zostać w tym chaosie... A ty, masz coś?

– Kilka rozmów. Ale mam gdzieś ich zarobki.

Kamil poci się, choć w pomieszczeniu nie jest bardzo gorąco. Jego ciało jest jakby w bezustannym ruchu. Rozgląda się nerwowo. Czasem chichocze, choć nie mówi nic śmiesznego. Nie wiem, jak długo tak wytrzymam. Staram się udawać, że wszystko jest normalnie. Chryste, czemu w piątkowy wieczór zafundowałam sobie taki koszmar? Trzeba było słuchać instynktu i nigdzie nie iść. Zostać w swoim pokoju i gapić się w sufit.

Teraz i mi zaczyna być gorąco. Duszno. Kawa nie smakuje, jest dziwnie kwaśna. Może udziela mi się nadpobudliwość Kamila? Paniczny lęk chwyta mnie mocno za gardło i każe wstać.

– Muszę już iść. Przepraszam, coś mi wypadło.

– Ale, Hanka, co ty...?

– Cześć, innym razem! – Błyskawicznie wyślizguję się zza stolika i mijam Kamila. Prawie biegnę w panice, że będzie próbował mnie zatrzymać.

Do auta puszczam się sprintem. Nie mogę się uspokoić. Serce wali jak oszalałe. Muszę szybko coś zrobić. Muszę jutro obudzić się gdzieś indziej niż w Warszawie, bo zwariuję.

W mieszkaniu otwieram torbę i wrzucam kilka ubrań. Spakowanie się zajmuje mi nie więcej niż pięć minut. Ewa wychyla się z za drzwi.

– Co ty? Rumor taki, że ja pierdolę. Co się dzieje?

– Nic, jadę do rodziców. Na Podlasie. Będę w niedzielę wieczorem.

– No dobra. To się spotkamy. Ja też wracam w niedzielę, późno.

Nie słyszę, co do mnie mówi. Chcę już być na trasie. Pal licho korki. Byleby poczuć, że dokądś zmierzam.

Ewa

Piątkowy wieczór spędzam u Ingi. Wpadam ostrożnie, raptem na dwie godziny. Jutro muszę się zerwać wcześniej rano. Rzym już mnie woła.

Inga wygląda o wiele lepiej. Ogarnęła się. Właściwie nic po niej nie widać. Może jej się tylko wydaje, że jest w ciąży?

Jednak w oczach ma już coś innego niż jeszcze przed miesiącem. Więcej zdecydowania i dojrzałości. W ciągu jednej chwili musiała przeplanować całe życie. Martwi się teraz o tysiąc spraw. Dziwnie na nią patrzeć, kiedy nie sięga po papierosa, nie otwiera wina i zjada na kolację sałatkę z awokado, bo tak jest zdrowiej.

Gadamy normalnie, jak zawsze, ale czuję, jak bardzo jestem spięta. Kobieta, która siedzi przede mną, została przejęta przez obcego. Zbyt wielu uczuć względem niej nie potrafię obecnie nawet nazwać. Niewygodnie mi w jej towarzystwie. Boję się momentu, w którym zacznę szukać mojego wsparcia, pocieszenia. Na samą myśl, że zacznę ze mną snuć plany na poród, oblewa mnie zimny pot.

Wychodzę szybko. Inga nawet się nie dziwi.

– Idę do ginekologa we wtorek. Pójdiesz ze mną?

– Jasne.

Kosztuje mnie to niesamowicie dużo.

*

Nie widziałam nigdy Rzymu. Nie jestem typem obieżyświata, poza plażami na *last minute* niewiele zwiedziłam.

Paweł i ja zachowujemy się jak para kochanków. Wspólne fotki i wygłupy w samolocie. Słodki początek.

On płaci. Najpierw upierałam się, że sama kupię sobie bilet, ale na widok cen spokorniałam. Paweł nie przebiera w środkach. Lot pierwszą klasą. A w samym Rzymie znakomity hotel.

Kiedy samolot ląduje, czuję się podekscytowana. Pawłowi tego nie pokazuję, broń Boże! Niech myśli, że odwiedzanie europejskich stolic w weekend to dla mnie chleb powszedni.

Dziesiąta rano. Odkąd tylko Paweł odzyskuje dostęp do sieci, zaczyna się zamieszanie. Telefony, e-maile. W jednej chwili dosłownie go bombardują.

– Psiakrew! Urwanie głowy. Akurat teraz w firmie kryzys... – Jest tak zajęty zerkaniem w telefon, że stoimy w holu dłuższą chwilę. Niecierpliwie się. Halo! Dupku! Po co mnie wlokłeś ze sobą, skoro nie masz czasu?

Jakby słysząc moje myśli, zerka na mnie i mówi:

– Słuchaj. Pojedziemy do hotelu. Ogarnę w pokoju sprawy, a ty sobie zjesz śniadanie. Umowa stoi?

– Niech będzie.

Tak. Jasne, kurwa. Zabrał mnie na weekend do obcego miasta i ma zamiar sie-

dzieć za biurkiem? Mam ochotę strzelić mu w pysk, ale czuję, że jestem na obcym terenie. Prędzej przekibluję dwa dni na lotnisku, niż będę się go prosiła o to, żeby mnie oprowadził po Rzymie.

Jak powiedział, tak też robi. Ledwo meldujemy się w hotelu, on dosłownie znika za ekranem laptopa. Teraz widzę, że to mój błąd. Skąd miałam wiedzieć, że to w pierwszej kolejności kawał skurwysyna, a w drugiej pracoholik? Zachowuje się, jakby mnie nie było. Mogłabym wyskoczyć przez okno, a on pomyślałby, że to przeciąg.

Schodzę na bardzo późne śniadanie, a w zasadzie lekki obiad. Jest prawie jedenasta rano. Wściekłość i upokorzenie mieszają się z podziwem dla tego miejsca. Hotel jest oszałamiający. Wnętrza gustowne, w starym stylu. Oświetlenie delikatne. Wszystko tonie w kremowych i czekoladowych odcieniach ze sporą domieszką złota. Z kolei jadalnia, połączona z restauracją, jest niesamowicie elegancka. Mogę sobie swobodnie usiąść na dużym tarasie i podziwiać widok miasta.

Śniadania już nie są serwowane, ale na moje życzenie kucharz wyda delikatną jajecznicę na maśle, tosty, a do tego kawałek tarty malinowej i mocną, aromatyczną kawę.

Czekam na to przyjęcie godne królowej, ale pod zębami czuję wściekłość i nienawiść. Nie potrafię tego powstrzymać. Może spacer dobrze mi zrobi...

Kiedy posiłek zostaje podany, pociesza mnie jedynie możliwość zamieszczenia wspaniałych zdjęć na Facebooku i Instagramie. #śniadanie #Rzym #jestsuper

Wszystko jest boskie. Raj na ziemi. A jednak z ledwością zjadam trochę tarty i wypijam kawę. Muszę coś ze sobą zrobić.

Ruszam w miasto. Ewa samotna w Rzymie. Nawet nie wiem, gdzie iść, zupełnie nie zakładałam samotnego włóczenia się po mieście. Spokojnie. Wdech i wydech. Przecież się nie zgubisz. Poza tym im bardziej poddasz się frustracji, tym większą okażesz słabość.

Idę przed siebie. Miasto zachwyca na każdym kroku. Brukowane uliczki, stylowe budynki, architektura... Próbuję poddać się temu klimatowi. Wczuć się w atmosferę miejsca, które dla większości na zawsze pozostanie jedynie zdjęciem z poczówki.

Jak na przykład dla moich rodziców.

Dlaczego akurat teraz przychodzi mi na myśl? Spycham przykry obrazek gdzieś głęboko, ale na chwilę jeszcze wyłazi jak obrzydliwy robak.

Moja matka i ojciec, pierdolona patologia. Trzeba było się stamtąd ewakuować, i to jeszcze w czasach liceum. Taaak, trudna przeszłość. Ale udało się, jakimś cudem. Szkołę średnią skończyłam z dala od nich, pomieszkując u koleżanek. Z żadną nie mam już teraz kontaktu. Zawsze czułam się wdzięczna, ale zarazem upokorzona.

Rodzice nie mieszkają daleko od Warszawy. Samochodem to godzina jazdy, jeżeli nie ma korków. Ale nie byłam tam od skończenia szkoły.

Studia to był już zupełnie inny etap. Stypendium socjalne, praca – wszystko można było pogodzić i zacząć żyć samodzielnie. Szybko się przekonałam, że uzależnienie się nad sobą to najgorsza opcja na przetrwanie. Trzeba znać swoją wartość. I nigdy się nie ugiąć. To gwarantuje sukces.

Pamiętam jednak, że matka lubiła oglądać programy podróżnicze. Na przykład

Pieprz i wanilię. Co niedzielę przyklejała się do ekranu i oddawała marzeniom. Gapiłam się razem z nią, ale miałam odmienne odczucia. Wcale nie chciałam jechać do dzikusów. Łaknęłam cywilizacji i nowoczesności. Wszystkiego, czego u nas nie było. Kiedy więc przedostałam się do Warszawy i zrobiło mi się dobrze, od razu zapomniałam o podróżach.

*

Spacerując zupełnie bez celu po rzymskich uliczkach, czuję się nagle dziwnie samotna. Myśl, że powinnam być tutaj z kimś wyjątkowym, jest bardzo natrętna. I co gorsza, nie jest pierwsza.

Od momentu, w którym Inga wycofała się z mojej codzienności, coś zaczęło się zmieniać. A może to wiecznie zmęczona mina Hanki tak na mnie wpływa? A może mam kryzys wieku średniego? A może to wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej, z odejściem Rafała? A może...? A może w ogóle w liceum?

Urocza kawiarenka ze stolikami tuż przy ulicy zachęca, by się zatrzymać. Paweł milczy. Ma mnie w dupie. Nigdy sobie nie wybaczę, że dałam się tak urządzić.

Tylko ja, mnóstwo czasu i myśli. Cudownie!

Próbuję znaleźć bazylikę Świętego Piotra. Udaje się. Nieszczególnie mnie zachwyca.

W końcu o szesnastej dostaję SMS-a:

Gdzie jesteś?

Jestem tak zmęczona, rozżalona, wściekła i znudzona, że nie mam siły udawać, że mnie nie ma. Muszę jakoś przetrwać. Wracam do hotelu.

Hania

Pędzę jak nietoperz przez piekło. Im szybciej jadę, tym lepiej się czuję. Ale nie jest dobrze. Przed oczyma ciągle mam twarz Kamila, jego nabuzowane oczy. Słyszę nerwowy śmiech. Jakim cudem ja czegoś takiego nie wybrałam? Przecież... tak chyba właśnie smakuje zapomnienie?

Nie takiej ulgi szukam. Ja marzę o czymś, co nie istnieje. Jeżeli nie wybieram śmierci, to znaczy, że decyduję się na życie. A w życiu trzeba się starać. Walczyć. Trzeba nauczyć się wybierać to, co jest dobre, a nie przypadkowe, łatwe albo... „konieczne”.

W końcu dojeżdżam na Podlasie. Jest po północy. Głównie dlatego, że zatrzymałam się na stacji i długo piłam kawę. Siedziałam sobie w boksie przy małym stoliku i dosłownie o niczym nie myślałam.

Matka się budzi. Jest zdziwiona. Spodziewała się mnie przed południem.

– Ale jestem teraz, mam. Nie chcesz? – Odprawiam ją szybko. Kładę się spać w ubraniu. Zasnę od razu, wiem.

*

Rano budzi mnie słońce i jak zawsze świergot ptactwa oraz wszechobecne muchy. Nie mają litości.

– Hanulka! – wita mnie ojciec. – Czy ty na pewno bezpiecznie jechałaś? Chyba zaraz po pracy?

Moi rodzice nie wiedzą, że straciłam robotę. Nie wiedzą też, że zmieniłam mieszkanie, że usiłuję rozpaczliwie znaleźć miłość i że jestem beznadziejna. Tak jest dla nich o wiele lepiej. I dla mnie, bo nie potrzeba mi ich udręki, zmartwień i wydzwaniania do mnie zbyt często.

– Spokojnie, tato. Już jestem. Przyjechałam dosłownie na chwilę, w poniedziałek mam ważny dzień w pracy. No i chcę się zobaczyć z Kubą. Mam do niego sprawę.

Z domu uciekam jak najszybciej, tuż po śniadaniu. Nie mam nastroju na rozmowy z matką i ojcem. Gdybym usłyszała jakąkolwiek uwagę na temat tego, że „nikogo nie mam”, mogłabym stracić panowanie nad sobą.

Jadę do Kuby. Czeka na mnie. Siedzi u siebie, na swojej pięknej werandzie, z kubkiem kawy w ręku. Ten widok bardzo mnie koi i niestety – wywołuje łzy. Cudownie. Zamiast przywitać brata uśmiechem, zalewam się słoną rozpaczą. On przytula mnie bez słowa i tak sobie siedzimy chwilę.

– Ciężki tydzień, Hanka?

– Ciężkie życie. Tak ciężkie, że zaczynam się uginać.

Sama zastanawiam się nad wagą tych słów. Czuję wstyd. Jestem zdrowa, wykształcona, mam gdzie mieszkać, zaczynam nową pracę. Mam przyjaciół, rodziców. Dlaczego więc po piętach depcze mi takie nieszczęście? Dlaczego nie potrafię cie-

żyć się życiem? To niewdzięczność względem losu i być może spotyka mnie za to kara.

– Dajesz radę? Dawno nie widziałem cię w takim stanie. Ale może za rzadko cię widuję i to jest problem. Tęskno mi za tobą, wiesz?

– Ja też tęsknię... Przyjeżdżaj do Warszawy. Jakbyś był blisko, braciszku, wszystko inaczej by wyglądało. Byłoby łatwiej. Ostatnio nie dają już rady. Szukam chłopca, wiesz? I trafiam albo na pomyleńców, albo na takich, co zupełnie nie są dla mnie.

– Tego nie odgadniesz ani nie zgłębisz. Szukanie miłości to wielka, bezsensowna dziura. Ale dobrze, że się nie poddajesz. Hanka, nie dawaj za wygraną, rób swoje, w końcu się uda. Tylko teraz sobie odpocznij. Jesteś wariatka, wiesz?

Śmieję się. Gdybym znalazła faceta takiego jak Kuba, nie musiałabym się już o nic martwić. On jest chyba jedyny w swoim rodzaju, niestety.

– Pójdiesz ze mną na wesele Aśki i Kamila? To już niebawem, w następnym miesiącu. Pobierają się w Warszawie. Łatwiej im tam ściągnąć rodzinę...

– Mam przyjechać dla mojej siostrzyczki do Warszawy?

– No...

– I zamieszkać z tobą i nimfomanką? – Parska komicznie, a ja zaczynam chichrać się razem z nim. Po chwili przeradza się to w głośny, donośny śmiech. Nie pamiętam, kiedy śmiałam się tak szczerze.

– Tak, mógłbyś się męczyć ze mną w łóżku, ale myślę, że Ewa się zgodzi na kanapę w pokoju przechodnim.

– Hanka, ty mnie w ogóle nie szanujesz. Przecież ona mnie zgwałci w nocy! Już się boję!

Śmiejemy się długo. Rozmawiamy cały dzień, a wieczorem Kuba rozpala ognisko za domem. Czuję ukojenie, mam siłę na powrót do Warszawy i stawienie czoła życiu, przynajmniej na jakiś czas. A co dalej? Może lepiej, że nie wiem. Kuba pójdzie ze mną na wesele. Cieszę się, bo wiem, że to będzie dla mnie dziwny dzień.

Z jednej strony szczęście Asi i Kamila to moje szczęście. Z drugiej – patrząc, jak Aśka wybiera suknię i dodatki, jak ustalają wszelkie szczegóły, z trudem łapię oddech. To z myślenia, że mnie to nigdy nie spotka. Żyję w silnym przekonaniu, że nikt tak bardzo mnie nie pokocha, żeby kupić mi pierścionek i planować ze mną ślub. Wspólne życie, na zawsze razem.

*

Z rodzicami rozmawiam niewiele. Jemy wspólny niedzielny obiad, idziemy do kościoła. A potem wsiałam do auta. Wpadnę na dłużej innym razem. Teraz chcę już wracać, bo jutro przecież zaczynam nową pracę.

Ale jeszcze zanim wskoczę na trasę, jest jedno miejsce, które chcę odwiedzić. Jadę prosto do lasu. Parkuję pod chatą Magnata. Rozglądam się po podwórzu. Nie ma go?

Jest. Stoi przy szopie i w zasadzie nic nie robi. Patrzy na konie. Nawet nie odwraca się w moją stronę, tylko mówi:

– Witaj, Hanka. Tak mi coś dzisiaj ptactwo podpowiadało, że przyjedziesz.

– A podpowiedziało również, że nie masz racji? – zaczynam dosyć ostro. Czekam na reakcję.

Odpowiada mi milczenie.

– Twoja szamańska paplanina się nie sprawdza. O miłość się nie woła. Tak właśnie! Dostaję mocno w tyłek za to, że działałam wbrew tej zasadzie. Słyszysz!? – Nie wiem, czemu Magnat mnie tak wkurza. Chcę się na nim wyładować. Zostawić gniew przy nim, głęboko w lesie.

Odwraca się do mnie i spogląda z czułością. Półśmiech nadaje mu nobliwy wygląd.

– A jednak masz jeszcze siłę, by walczyć. Nie marnuj jej na mnie. Skieruj gniew i pasję na siebie. Ta energia jest ci potrzebna.

– Do widzenia!

Oddalam się szybko. Psy zaczynają szczekać i pieje kogut. Co za miejsce. Czego tu szukam?

Ewa

Pierdolnięcie następuje nagle. Szybko. Gwałtownie. W jednej chwili ziemia usuwa się spod stóp. Uczucie paniki chwyta za gardło. Dławię się. Jest mi słabo. Co się dzieje?!

Chwilę wcześniej otworzyłam oczy. Fala gorąca i zimna zalała mnie w tym samym czasie. Łazienka, szybko. Do łazienki! Gdzie jestem? Co tu robię? Kto leży obok?

Łapię oddech, ale słabo mi idzie. To hotel. Rzym. Jestem w Rzymie, cały czas.

Wstaję chwiejnie. Sporo wczoraj wypiałam. Jednak teraz jestem trzeźwa jak nigdy. Cała dygoczę. Nie wiem, czy marznę, czy pocę się z gorąca. Jestem naga, to mnie przeraża. Nie mam czasu się ubrać, idę do łazienki.

Umywalka wydaje się tak cudownie mosiężna. Wspieram się na niej i oddycham, coraz głębiej, szybciej, rozpaczliwiej. Nie chcę patrzeć w lustro. Lepiej się nie przeglądać. W końcu pojawiają się łzy. Szloch, jakiego nie pamiętam od czasów szkoły.

Muszę usiąść albo się położyć. Wiklinowe krzeselko, moje zbawienie. Łzy lecą ciurkiem, ale nic to nie pomaga. Nie czuję ulgi, ucisk na klatce piersiowej jest cały czas ten sam.

Co się dzieje? Pierwszy raz w życiu czuję coś podobnego. Jestem przerażona. Kontrola, nie mam kontroli! Ciało nie chce mnie słuchać. Dlaczego płaczę?

Jestem zmęczona. Co robię w obcym mieście z obcym człowiekiem? Gorączkowo szukam odpowiedzi, ale każda z nich mnie odstręcza. Nie bawię się dobrze. Czuję się oszukana. Wychujana na całego.

Głowa odrywa się od reszty ciała. Myśli rzucają się dziko i podsuwają obrazy, których nie chcę albo o których już zapomniałam. Myślę o Rafale. Czemu? Nadal go kocham? Nie. To coś innego. Nagle przypominam sobie jego twarz. Nie tę, którą poznałam na początku, ale tę, którą oglądałam przez ostatnie miesiące. Jestem w szoku. Kto to jest? Rafał? Niemożliwe. Ale przecież ten człowiek o pustym spojrzeniu, zmęczonej twarzy, zaciśniętych ustach to na pewno on. Wcześniej tego nie widziałam, teraz czuję się tak, jakby ktoś pokazał mi zdjęcie. Mogę się pomału przyjrzeć każdemu elementowi. Chory, bardzo chory. Na takiego wygląda.

Jest mi go żal. Chciałabym mu pomóc. Nie mogę. To tylko wspomnienie, choć tak żywe. Jego oczy są niewygodne, męczą mnie, chcę przestać, ale obraz nie znika. Zamiast tego pojawiają się sceny. Znowu leżę w łóżku, odwrócona plecami i bardzo spięta. Czuję, niesamowicie mocno, że on patrzy na mnie i czeka. Chce, żebym się odwróciła. Chce poczuć moją obecność, uwagę, chce wiedzieć, że nie jest sam. Może ktoś go uratuje, może to właśnie będę ja? Nie odwracam się. Wolę zasnąć z myślą, że mnie rani, że mam tego dosyć, że na to nie zasłużyłam.

Nagle widzę znowu jego twarz, kiedy przychodzi w bieliźnie. Tej za sześćset złotych. Patrzy na mnie tak żałośnie. Jest mu przykro. Chce wiele powiedzieć, ale nie

umie. Robi to, czego pragnę, bo wie, że i tak nic do mnie nie dotrze. Czuje się strasznie, wie, że się nie udało. Nie łądzi się, że zrozumie. To nie ten czas, a może po prostu nie ta osoba.

Jest bardzo samotny. Ilekroć na mnie patrzy, samotność uderza jeszcze silniej. Jestem, ale tylko po to, by nie widzieć, by oskarżać, by pokazywać cierpienie. Jestem odbiciem tego, jak bardzo nie może się pozbierać i dać szczęścia drugiej osobie. Jak destrukcyjnie wpływa na wszystko, co jest w jego zasięgu. Nie ma pretensji, ale żalu nie brakuje.

Te wizje są bardzo męczące. Intensywne, jakbym przeniosła się w czasie. Tak musiał się czuć Ebenezer Scrooge. Nikt tego nie rozumie, choć wszyscy się cieszą, że mógł przejrzeć na oczy. Ale ten strach, kiedy dostrzegasz prawdę, kiedy przytomniejesz, gdy jest już za późno, jest paraliżujący. O wiele lepiej jest na zawsze pozostać w niewiedzy. Prawda to kara.

Nie udźwignę tego. Niech się skończy.

Nie wiem, która jest godzina ani ile minęło czasu.

Jest mi zimno, wszystko mnie boli.

Wracam do łóżka. Wydaje mi się bardzo niewygodne. Teraz przypominam sobie, że obok leży Paweł. Na pewno. Jestem z Pawłem.

Zaśnij. Obudzisz się. Zjesz śniadanie na pięknym tarasie. Wieczorem będziesz w domu. Wszystko się uspokoje, tylko weź się w garść.

Sen nie przychodzi. Poddaję się myślom. Wciąż są przy Rafale, ale wiem już, że to przejściowe. Za chwilę obrazy w głowie się zmienią i padnie na kogoś innego. Na razie porzucam pytanie, co się dzieje. Nie wiem.

Wyrzuty sumienia? Nie. Zupełnie nie. Moje sumienie nie jest zardzewiałe. Istnieje i włącza się, kiedy trzeba.

Ostatnio dało o sobie znać, kiedy poznałam Mariusza. Och, Mariusz. Dla tych oczu można zwariować. Jeden uśmiech i nawet ktoś tak doświadczony jak ja mięknie niczym wosk.

O tak, Mariusza pragnęłam tak mocno, że miałam ochotę zedrzyć z niego ciuchy. Dziki szal, mój ulubiony, coraz trudniej spotkać kogoś takiego. Tylko że Mariusz jest żonaty. Wcale się z tym nie kryje. Jest po prostu skurwysynem, ruchaczem, skoki na bok są dla niego równie proste i zwyczajne jak poranna gimnastyka.

Czy mi to przeszkadza? Jasne! Potem i tak to robię. Poddaję się żądzy. Brzydę się nim. A potem myślę, że już nigdy więcej. Omijam żonaty, jak się da, chyba że dowiaduję się po fakcie. Czasem lepiej nie wiedzieć.

To, co oblewa mnie teraz jak ciężka i wrząca magma, jest czymś innym. Jeszcze nie wiem czym.

Jest siódma rano. Wstaję. Boli mnie kręgosłup. Ubieram się szybko i wychodzę. Idę przed siebie. Rzym nie przyniesie ukojenia, ale nie chcę już leżeć. Nosi mnie.

*

Poranna kawa smakuje nijako, choć wiem, że jest najlepsza w całym mieście. Właściwie to nie ma znaczenia, po prostu ją piję. Z przyzwyczajenia. Bez przyjemności. Jestem głodna i zamawiam małe śniadanie, ale dzieje się to samo co z kawą. Chrupiące pieczywo, warzywa, sery i wędlna wyglądają ładnie, ale smakują jak pa-

pier.

Siedzę w kawiarence, w samym sercu cudownego Rzymu, nieludzko wymęczona. Zaraz wrócę do hotelu, Paweł już do mnie pisał. Najpierw jednak musi ogarnąć skrzynkę e-mailową. Dosłownie za pół godziny będzie wolny i zabiera mnie na spacer, a potem na obiad.

Siedzę i cieszę się chwilą, w której myśli przestają mnie atakować. Teraz jest tylko pusto i cicho. Może najgorsze mam za sobą? Jeszcze nie wiem.

Marzę o długiej kąpieli, w domu. Marzę o porządnym śnie i o tym, żeby aromatyczne, słodkawe latte znów miało smak. Wiem, że będę całować warszawskie Okęcie. Modlę się, żeby po wylądowaniu poprawił mi się humor, żeby wszystko wróciło do normy.

Obawiam się jednak, że to nie o humor chodzi.

Hania

Ewa jest dziwnie przygaszona. Wczoraj wieczorem nie dogryzała mi jak zwykle i wzięła bardzo długą kąpiel. Teraz jedziemy razem do roboty. Metrem, bo tak się opłaca. Biuro jest w samym centrum i stanie w korkach to zbyt wysoka cena.

Wygląda jak zawsze, a jednak coś mi zgrzyta. Fałszuje. Staram się na tym nie skupiać, bo sama też krążę we własnym świecie. Milczenie mnie zadowala. To miła ulga. Myślałam, że Ewa nie da mi spokoju. Tak czy siak, z zamyśleniem jej do twarzy. Jest jeszcze piękniejsza, a myślałam, że to niemożliwe.

Nie stresuję się pierwszym dniem w robocie. Mam to gdzieś, byleby przetrwać. Od wczoraj wieczora piszę z chłopakiem. Krótko i zwięźle, ale jest sympatycznie. Chce się umówić na środę. Wstępnie się zgodziłam.

Nowe biuro? Niczym się nie wyróżnia. Całkiem nowoczesne, choć nie jest to ekskluzywna korporacja. Po prostu, zwyczajna firma, jakich wiele. Ludzie całkiem mili. Witają mnie uśmiechami.

Czeka na mnie biurko i komputer. Być może będzie służbowy telefon, ale na razie nie jest potrzebny. Nie czuję, że to jakiś nowy etap. Tylko ulga jest przyjemna: zaczynam zarabiać. Nie muszę już chodzić na rozmowy kwalifikacyjne i wysyłać CV jak wariatka. Bo każdy, kto szuka pracy, ulega wariactwu i beznadziei.

Idę do kuchni po wodę, zmęczona przewalaniem cudzej poczty.

– Cześć, Marcin jestem – zaskakuje mnie na wejściu wysoki blondyn. Określiłabym go mianem przystojnego, ale przyznam, że facet w mokasynach to zupełnie nie mój styl. Jest jednak dobrze ubrany, ładnie pachnie. Kiedy szuka dla mnie szklanek i oferuje swój kubek, rumienię się lekko. Wow, dawno nikt tak nie starał się zrobić na mnie dobrego wrażenia.

Zagaduje mnie. Lubi mówić, rzuca żartami, niektóre są nawet śmieszne.

– To co, do zobaczenia w kuchni? – kończy z uśmiechem łobuza.

– Do zobaczenia...

– A może poza kuchnią?

– Ale...

– Dobra, jeszcze to przegadamy. Buziak, mała.

To bardzo miłe. Nawet poprawia mi się humor. Przez chwilę czuję się jak „nowa”, która może namieszać w pracy. O tak! Zawrócić koledze w głowie. Nie ma się też co nad sobą użalać. Trzeba iść do przodu i walczyć.

Rozmowa z Kubą dobrze mi zrobiła. Mam energię i nowy przypływ wiary.

*

Do domu wracam już sama, bo Ewa ucieka swoimi ścieżkami. Cieszy mnie to. Nie chcę, żeby wspólne dojazdy i powroty nas wiązały. Ostatnio dużo o niej myślę. W sumie było tak od samego początku. Potrafię zastanawiać się nad jej życiem i sposobem myślenia, myjąc naczynia, jadąc metrem albo zasypiając. Jej wczorajsza przy-

gaszona mina tym bardziej dała mi do myślenia. Nie będę jednak o nic pytać. Zacieśnianie więzów z nią mnie przeraża. Nie chcę. Nie chcę być taka jak ona ani nie chcę uczestniczyć w tym, co ona robi.

Wiem, że coś nas łączy. Być może dlatego wpadłam na pomysł, żeby z nią zamieszkać, choć przecież doskonale wiedziałam, co to za typ człowieka.

Myszę, sporo myślę. Ewa. Ewa, która jest nimfomanką, a może po prostu lubi seks i nie boi się realizować swoich pragnień? Nie chce mi się dociekać. Wiem za to, że Ewa, tak pewna siebie, wulgarna i pełna siły, musi być osobą niesamowicie samotną. To właśnie jest ten rdzeń, który nas zespała. Samotność. Chyba to zobaczyłam w jej oczach w niedzielny wieczór, kiedy wróciła z lotniska.

Samotność i coś jeszcze. Brak... siebie. Ona nigdy nie jest sobą. Zawsze kogoś udaje, w zależności od tego, jak jej wygodnie. I chyba zapomniała już, jaka jest prawdziwa Ewa. Szukanie jej nie ma sensu, tego jest za dużo. A może nie chce pozwolić prawdziwej Ewie wyjść na zewnątrz? Może ona gnije tam w środku, już tak zrozpaczona i wykończona, że nigdy się nie pozbiera?

To mocna analiza i może przesadzam. Szukam czegoś, czego nie ma. Ewa jest, jaka jest. Po co ją usprawiedliwiać? A jednak to silne przeczucie sprawia że nie potrafię Ewy ostatecznie potępić. Zachowuje się jak dziwka z najtańszego burdelu. Jestem pewna, że nie pamięta nawet imion swoich kochanków. Brzydzi mnie, że zawsze, jakimś cudem, oni są bogaci, ustawieni. Weekend w Rzymie?

Wiem jedno – jeżeli to ma być sposób na szukanie miłości albo swojej własnej tożsamości, to... w końcu nastąpi bardzo bolesne zderzenie. Może go nie przeżyć.

Ewa

Dzisiaj mam randkę. Randunię, randeczkę. Ktoś zupełnie nowy. Adrian. Model, tak o sobie mówi. Wierzę mu, bo co za różnica? Poza tym zdjęcia aż krzyczą: „Jestem boski!”. To doskonałość albo też kaprys Stwórcy. Zobaczymy się raz, może dwa. Widzę, że nie jest to kandydat na dłuższą znajomość. Niegłupi, ale chyba za bardzo lubi siebie. W tym zawodzie jest to najpewniej wymagane, bo inaczej można zwariować, prawda?

Jest środa. Od weekendu minęły minuty, godziny, doby. Z Pawłem pożegnałam się błyskawicznie. Już nigdy więcej nie chcę go oglądać. Nigdy!

W domu poczułam ulgę. Tak jak chciałam. Warszawa to mój teren. Widocznie nie dla mnie są polowania na skalę europejską.

Niedzielną kąpiel we własnej wannie, czyli wspaniała nagroda. Ale w wannie pytam siebie, co dalej. Co się wydarzyło i dlaczego? Mam to w dupie. Kryzys, załamanie, to nie jest nic aż tak niezwykłego. Zdarza się każdemu. To jest ludzkie, a nic co ludzkie... Właśnie dlatego nie będę niczego rozpamiętywać.

Włączam aplikację. Wyświetla się galeria twarzy. Przesuwam palcem, ale... nie chce mi się. Nie dzisiaj. Na jutro nie jestem z nikim umówiona i dobrze mi z tym. Nie mam ochoty wychodzić. Zrobię sobie wieczór piękna albo coś w tym stylu. Posiedzę w maseczce, pomaluję paznokcie.

*

Poniedziałek i wtorek mijają tak szybko, że zastanawiam się, czy ich nie przespałam.

Co się, kurwa, dzieje?

Co mnie dopadło? Apatia, senność, otępienie?

Nic mi się nie chce. Słuchaj siebie. Słuchaj. Jeżeli organizm chce odpocząć, pozwól mu na to. Dobrze więc. Będziemy odpoczywać.

Jadę do Ingi. Trochę się do tego zmuszam, ale trzeba podtrzymywać więź, zależy mi na tym. Kupuję czekoladki. Kiedyś byłoby wino. Nie tym razem.

Otwiera drzwi. Patrzy jakoś dziwnie.

– Och, Ewuś, co ty taka zmęczona jesteś? Wszystko dobrze? – Przytula mnie mocno, za to ja bardzo się spinam.

– Spokojnie, po prostu się nie wyspałam.

– Aż się zdziwiłam, że przyjeżdżasz wieczorem. Nie masz żadnej randki?

– No weź. Czy zawsze muszę się z kimś widzieć? Dzisiaj jestem tu. I już. Fajnie, co nie?

– No, fajnie, i wiesz co? Mam taki pomysł, żebyśmy zrobiły wieczór włoski.

– Inga, co ty pieprzysz?

– No wiesz, ja... ja tak, no... chciałabym się nauczyć lepiej gotować. Przyda się, no wiesz, obiady dla dziecka i te sprawy. Chciałam zrobić makaron z sosem po-

midorowym i pulpetami. W telewizji widziałam i tak jakoś naszła mnie ochota. Hm?

O kurwa! Już jej się domatorstwo kwocze włączyło, a przecież ledwo widać, że jest w ciąży. Wieczór włoski? Zdarzało mi się bawić we wspólne przygotowanie kolacji z facetem, ale zazwyczaj kończyło się na bzykaniu z nożem w rękę.

– No dobra. To o co chodzi?

– Posiekaj cebulę i czosnek. – Uśmiecha się promiennie, jakbym spełniła jej marzenie.

Przez kolejne minuty smażymy, doprawiamy, lepimy. Wokół wałają się puszki po pomidorach, doniczki z ziołami, tarki, noże, oliwa. Pachnie pięknie. Inga włącza płytę z włoską muzyką i zamyka oczy. Staram się nie myśleć o Rzymie i nawet mi się udaje. Tutaj pachnie mi bardziej Toskanią.

Kiedy aromaty zaczynają rozpieszczać moje nozdrza, trąc parmezan, myślę, że dobrze wybrałam. Całkiem fajny wieczór. Na luzie. Gadamy z Ingą o niczym.

Tak się chyba robi z przyjaciółmi. Spędza czas, nie tylko na opowiadaniu sobie o tym, z kim się ostatnio spało, jak wielką miał pałę i gdzie spędzi się kolejną noc. My trochę tak miałyśmy i dlatego widok Ingi w fartuchu, siekającej niezdarnie zioła, wydaje się nieco komiczny. A myśl o tym, że za chwilę będzie tonąć w pieluchach i budzić się milion razy w nocy, wciąż do mnie nie dociera.

Kiedy w końcu na moim talerzu ląduje góra makaronu z klopsikami, a ja dopijam wino, które otworzyła dla mnie Inga, czuję się o wiele lepiej. Ogarnia mnie delikatne rozluźnienie.

– Ewka, chyba wiem, kto jest ojcem.

– I mówisz to teraz?!

– Nie byłaś w nastroju. Miałaś iść ze mną do lekarza, ale się nie odzywałaś, nie chciałam naciskać. Głupio mi tak, sama wiesz...

Głupio to ja się czuję. Faktycznie. Coś obiecałam, zawiodłam. Czy to pierwszy raz? Od razu dobra aura się gdzieś ulatnia. Zajebista Ewa przyjaciółka. Hola, hola! Masz za sobą ciężki weekend. Masz prawo pomyśleć o sobie.

Cały czas myślę tylko o sobie.

A może właśnie nie? Może robię sobie jedno wielkie kuku przez długie miesiące? Przez całe życie?

Za dużo tych pytań w jednym momencie. Za dużo pytań w ostatnich dniach. Zapijmy to winem i zagryźmy klopsikiem. Czy tak już będzie? Każda sytuacja będzie prowokować kolejne myśli?

Wino. Dużo wina.

– Zostaniesz na noc? Pijesz.

– A masz więcej alko?

– Coś się znajdzie. Ale jak już opędzujesz wszystkie butelki, nic nie kupuję do odwołania! – Śmieje się.

– Lepiej gadaj, co z tym ojcem.

– Powiedziałam lekarzowi wprost, w czym tkwi mój problem. Okazało się, że dla niego to nie pierwszozna. Wszystko ustaliliśmy. Posprawdzałam daty. To Adam.

– Mhm... – Adam, Adam. No, zajebicie, teraz wyjdzie na to, że słabo go pamiętam. Głupio mi zapytać. – Masz zamiar się do niego odezwać?

– Jeszcze nie wiem, ale chyba tak. Przemyślę, jak to ugryźć. Dam mu szansę.

Wtedy zakończył znajomość w sumie bez słowa... Pamiętasz...

Gównno pamiętam, Inga.

– Ale przez ten krótki czas było mi z nim dobrze. Może... Nie wiem. Na pewno warto, aby miał kontakt z dzieckiem. Nie będę taką podłą suką.

– Inga, to ty jeszcze przeklinasz?

– Jasne! Ale niedługo koniec z tym. Serio... Ewka, ty nie wiesz, jak to jest.

– To znaczy, o czym mówisz?

– No, w sensie, że mam teraz cel. Już nie wybieram przyszłości. Nie dla siebie, tylko dla mnie i dziecka, sama rozumiesz. Chcę być jak najlepszą mamą. Po prostu muszę nią być.

– Przecież będziesz. Robisz świetne klopsiki! – Nie umiem zdobyć się na nic bardziej krzepiącego. Kiedy słyszę o przyszłości, planach, o wiciu gniazda i rodzinie, coś mi się w środku wykręca. Sama nie wiem dlaczego. Z zazdrości, obrzydzenia, strachu czy czegoś jeszcze? I skąd pomysł, że jej tego zazdroścę? W kwestii dzieci mam swoje zdanie.

– Chyba jednak wezmę taknę – obwieszczam, a Inga smutnieje. Jasne, znowu ją zawodzę. – Albo dobra! Zostanę. W sumie, co mi szkodzi? Hanka chyba beze mnie dojedzie do roboty.

– Ale fajowo! A jak u niej? Dalej taka beznadzieja?

Fajowo. Co to za słowo?? Inga nigdy nie poznała Hanki. Dawno mnie nie odwiedzała.

– To królowa cierpienia, która broni dostępu do swoich majtek jak średnio-wieczna dziewica na wydaniu. Nie wróżę jej nic dobrego.

– Niezła jest. Pewnie nawet nie wie, jak to jest być z facetem. Myślisz, że w ogóle z kimś się bzykała?

– Nic od niej nie wyciągniesz. Mam to w dupie. Załatwiłam jej pracę i randkę z takim jednym. Sama jej majtek zdejmować nie będę.

– Może coś doradź, no nie wiem, jakiś makijaż zrób, czy coś.

– Zobaczę. Z nią to trudna rozmowa jest. Nie lubi nic opowiadać. Jest bardzo wycofana. Nie mam na nią sposobu i dobrze, bo ogólnie wolę się nie wtrącać. Lepiej, żebyśmy nie wchodziły sobie w drogę.

*

Leżę z Ingą w jednym łóżku. Poprosiła mnie o to.

– Taka się teraz bardziej samotna czuję. Wiesz, o czym mówię? – zagaja.

Nie wiem, czy wiem. Rzadko sypiam sama, ale... w sumie pomiędzy spaniem a sypianiem jest ogromna różnica. Zaczynam ją teraz czuć i szlag mnie trafia, że takie myśli przychodzą mi do głowy.

Inga zasypia szybko. Za to ja przypominam sobie, kiedy ostatni raz leżałam u boku kogoś, kto coś dla mnie znaczył. To kurewsko łzawe, ale przegrywam z rozsądkiem. Znowu myślę o Rafale. Jego smutne oczy nie dają mi spokoju od weekendu. Zastanawiam się, co mnie dręczy. Kilka razy pytam siebie, czy może nadal go Kocham.

Odpowiedź nie jest miła. Czy kiedykolwiek naprawdę go kochałam? Czy tylko lubiłam i dobrze mi było u jego boku? Nawet jeżeli to nie była głęboka miłość, to chyba jednak zasłużył na to, żeby go wesprzeć? Zachowałam się jak nadęta suka.

Udawałam, że nic nie widzę. Do kurwy nędzy, nie zniosę tego.

Wstaję i kieruję się do laptopa Ingi. Przetrzęsam Internet, wyszukuję frazy, chcę znaleźć. W końcu jest. Artykuł, który wtedy zostawił dla mnie Rafał. Tym razem zabieram się za czytanie już nie z pogardą, wściekłością i nienawiścią, ale wielką nadzieją, że otrzymam tu jakąś odpowiedź.

Czytam. Czytam o depresji. O chorobie, o której mój zasrany ojciec zawsze mówił, jako o „zachciance bogatych skurwysynów, co muszą sobie wymyślać problemy, bo im się nudzi”. Ach, jak dobrze zapamiętałam te słowa. I jak bardzo do mnie przemówiły...

Linijka po linijce nabieram przekonania, że ktoś opisał nas. Mnie i Rafała. Wkrada się zrozumienie. Szkoda tylko, że odzyskiwanie wzroku wiąże się z taką falą uczuć. Teraz już wiem, co mnie dręczy.

Żal. Żałuję, że mu nie pomogłam. Żałuję, że być może przyczyniłam się do pogłębienia jego choroby. Żałuję, że nie zachowałam się godnie i po ludzku.

Głupia pizda ze mnie. Jak się używa tego słowa w odniesieniu do własnej osoby, brzmi dziwacznie. Jakby ktoś smagał batem gołe plecy.

Czytam jeszcze wiele innych artykułów. Czytam o ludziach, którzy wyszli z depresji, i o tych, którzy nadal w niej tkwią. Ci pierwsi mówią, że depresja pozostaje na zawsze. Jest w środku człowieka i lubi się czasem odezwać. Można się jednak nauczyć kontroli, można z nią walczyć.

Przez moment mam ochotę napisać do Rafała. Zapytać, co u niego. Czy sobie poradził? Wiem, że beze mnie było mu łatwiej. Jednak nie odezwę się do niego, bo... po co? Nic to nie zmieni. Ani we mnie, ani w nim.

Kładę się przy Indze. Jest prawie druga nad ranem. Wcale nie jest mi lepiej, choć coś rozumiałam. Ale jutro spotkam się z Adrianem i będzie inaczej. Jego boskie ciało będzie napierało na moje i na chwilę oderwę się od myślenia.

A po Adrianie może zacznę się rozglądać za kimś... za kimś bardziej stałym. Żaden związek. Ale może ktoś jeden, tylko na seks?

Hania

Marcin codziennie adoruje mnie w kuchni. To miłe i szokujące. Nie mogę powiedzieć, że mi się nie podoba, ale jest w nim coś, co mnie peszy. Rumienię się jak nastolatka, ilekroć żartuje. W końcu przechodzi do finalizacji swoich zalotów.

– Hanka, nie bądź taka i daj się zaprosić na kolację. Co ty na to?

– Eee...

– Spokojnie, nie ja będę gotował. Robię to fatalnie, najczęściej przy asyście mojego psa, który wabi się Bokser. Musisz go kiedyś poznać. To jak będzie? – Zbliża się i zagląda mi w oczy.

– No dobrze. – Wypuszczam powietrze. Sama nie wiem dlaczego, ale wcale nie mam ochoty na kolację z nim. Całkiem przystojny, zadbany, ale coś zgrzyta.

Uspokój się, głupia. Może to właśnie będzie początek cudownej miłości. Będziesz opowiadała, jak bardzo nie chciałaś iść na pierwsze spotkanie. I jak on cię zdobył, jak odkryłaś, jakim jest cudownym człowiekiem... Dobrze więc. Niech będzie kolacja. Dawno nikt mnie na takową nie zapraszał, a już na pewno nie z takim naciskiem.

Wchodzi Ewa. Głupio mi jakoś, ale ona chyba już wie. Raczej na pewno.

– No ładnie, Faustyna. Nowa robota, raptem kilka dni za biurkiem, a ty już wyrzucasz kolegę. Nie poznaję pani!

– Oj, przestań. Tak wyszło. Jakoś tak... Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Doskonały! – wykrzykuje. – I wiesz co? Mam plan. Umaluję cię. Będzie zabawa.

– Nie chcę...

– Bez gadania, nie ma wyjścia. Wiesz, czasem masz taki... babciny styl, szkoda ciebie.

No tak. Nie ma to jak gwałtem zmusić mnie do wszystkiego. Teraz będę szła na randkę, co do której mam obawy, a wcześniej Ewa zrobi ze mnie zdzirę.

*

– No więc, Faustyna, czasu nie ma wiele, ja też wieczorem wychodzę. Zobaczmy, co ty tutaj masz. – Zamaszystym ruchem otwiera moją szafę i przegląda. Cmoka z niezadowoleniem. Czuję się z tym źle. Mam ochotę wstać i nią potrząsnąć, ale ulegam. Co za różnica jak będę wyglądać? A może faktycznie zrobi ze mnie bóstwo i faceci zaczną mdleć na mój widok? Wszystko jest możliwe.

Na łóżku łąduje szara, rozkloszowana spódnica i bluzka z koronką. Oczywiście zapomniałam, że coś takiego mam.

– Nada się, choć dupy nie urywa. A teraz zajmijmy się twarzą. Musisz być bardziej wyrazista, bo czasem mam wrażenie, że ciebie nie ma. Rozmazujesz się, jesteś jakaś taka niewyraźna.

Kiedy dotyka mojej twarzy, cały czas mi gorąco. Jej bliskość niesamowicie

mnie krępuje. Nie chcę tej intymności.

– Faustyna, a ty dalej szukasz miłości, czy już się z tego wyleczyłaś?

– Szukam, a co? – odpowiadam wojowniczym tonem. Tego jednego jestem pewna. Miłość i żadnych rozwiązań polubownych. Odpowiada mi cisza.

Maluje i smaruje, głowa w górę, a to w dół. Jej ciepłe opuszki palców ciągle dotykają moich powiek, twarzy, brwi. Ewa ładnie pachnie. A jej skóra z bliska wygląda jak dorodna brzoskwinia.

– No i już! Proszę bardzo! Seksbomba! – Ewa patrzy na mnie i widzę, że chyba sama jest zdziwiona. Zerkam w lustro. Magia makijażu robi swoje. Faktycznie, widzę zupełnie inną dziewczynę. Podkreślone oczy, mocniej zarysowane brwi. Jestem... bardziej wyrazista. Jednak moje spojrzenie jest bardziej smutne. Wyglądam... ładnie, ale nieswojo. Na co dzień przeciągam rzęsy tuszem, wiele mi nie trzeba.

– A włosy zostaw rozpuszczone, słyszysz? Faceci to lubią, mówię ci.

Dobrze. Posłucham Ewy. Niech będzie tak, jak faceci lubią. Będę taka, jak chcą mnie zobaczyć oni i Ewa. Do serca zaczyna się wkradać nadzieja. Może właśnie tego mi potrzeba. Może to jest brakujące ogniwo. Wielka metamorfoza, zmiana stylu. Muszę zetrzeć wyraz rezygnacji z twarzy, poudawać trochę. Zataić to, co tkwi w środku mnie. Zanim ktoś zdąży odkryć, co czuję i kim jestem, może uda mi się tego pozbyć.

Wciąż wierzę, naprawdę mocno, że miłość może mnie uleczyć.

Nachodzi mnie myśl, że muszę uleczyć również siebie. Nie wiem tylko jak. Jestem pewna, że ta pustka, którą noszę w środku, cuchnie i odstrasza. Przyciąga za to wszystko, co najgorsze. Cały kosmos śmieci.

*

Marcin po mnie przyjeżdża. Jego auto jest przepiękne. Nówka.

– No to co, ruszamy!

Faktycznie, rusza. A mnie od razu się odechciewa. Trzeba było znów posłuchać intuicji! Od świateł do świateł, Marcin to dodaje gazu, to gwałtownie zwalnia. Auto słucha go pokornie, chodzi leciutko, ale i tak wrażenie jest wyjątkowo nieprzyjemne. Szpan na maksa.

– Mogę prosić, żebyś tak nie robił?

– Oj, proszę cię, przecież nie będę jechał dwadzieścia na godzinę. Ten wóz jest stworzony do czegoś innego!

Cudownie. Kiedy podjeżdżamy pod restaurację w rodzaju tych ekskluzywnych, pojmuję, że chyba właśnie na takie randki jeździ Ewa. Wielki szpan. Drogie lokale. Nadęte ego...

Ceny jedzenia nieprzyzwoite. Peszy mnie to, bo o wiele bardziej wolę klimat zwyczajnych kawiarni. Tutaj wszystko jest dla mnie nowe, inne, nie w moim stylu. To, co zostaje mi zaserwowane, jest przepyszne. Przegrzebki na przystawkę, stek na danie główne i rozpluwający się w ustach deser czekoladowy, którego długo nie zapomnę. Cała reszta mogłaby pójść w niepamięć...

Kiedy kończymy, Marcin prosi o rachunek. Nie mam śmiałości pytać, co dalej. Wolę nie wiedzieć.

Wsiadamy do auta.

– Może jakiś spacer czy coś? – pyta.

– Nie, dziękuję...

Nic nie mówi. Ruszamy. Szybko orientuję się, że wiezie mnie w innym kierunku niż moje mieszkanie. Zaczynam się bać.

– Marcin, czy możesz mnie odwieźć do domu?

– Czekał, zapraszam cię do mnie na kawę.

– Ale ja cię proszę, żebyś mnie odwiózł! – Zimny pot zrasza ciało. Zaczyna mi być duszno. Niech to się skończy.

– Wyluzuj, mała. Mówiłaś, że lubisz kawę. Mam zajebisty ekspres. Zobaczysz.

Wciska gaz do dechy. Jedziemy bardzo szybko i nagle skręcamy do apartamentowca. Wjeżdżamy na parking podziemny. Struchlałam ze strachu.

Próbuję coś powiedzieć, ale słowa więzną mi w gardle. Oddycham ciężko. Panika wdziera się do umysłu i hamuje zdolność logicznego myślenia. Gorączkowo analizuję każdą sytuację. Stąd nie ma ucieczki.

Marcin nachyla się nade mną.

– Będę wrzeszczeć. Zostaw mnie! Wypuść.

– Spokojnie... – Odpina mój pas. Wysiada i otwiera mi drzwi. Zupełnie nie reaguje na moje protesty.

– Marcin, błagam, wypuść mnie. Chcę do domu... – Głos łamie się jak w rozstrojonym pianinie, a prośba brzmi żałośnie. Nie... on mnie nie wypuści.

Idziemy ciemnym parkingiem do windy.

Ewa

Adrian wygląda cudownie. Ciało ma idealne, zmysłowe, pociągające. Jest oszałamiający. Każda inna kobieta byłaby onieśmielona.

Ale ja wiem, czego chcę. Nie umawiamy się na randkę. Idziemy od razu do hotelu. Ledwo dostajemy się do pokoju, zrzucamy ciuchy. O ogień nietrudno. Adrian wie, jak zabrać się do rzeczy. Już po chwili jestem praktycznie naga. Moje ciało reaguje tak jak zawsze. Ogarnia mnie euforia, słodkie zapomnienie ma przyjść lada moment.

Tym razem jednak coś jest inaczej. Myśli nie oddzielają się od hotelowego pokoju. Jestem tu i teraz. Czuję pieśczość, pragnę więcej, ale... to nie to samo. Zastanawiam się, ilu miałam facetów. Ile razy lądowałam w hotelach i cudzych mieszkaniach? Ilu imion nie chciało mi się zapamiętać?

O tak, Adrian wie, jak bawić się w te klocki. Jest mi dobrze. W końcu skupiam się na nim, ale kiedy tylko lądujemy zdyszani na pościeli, znowu wybiegam gdzieś myślą. Mam ochotę się położyć u siebie w mieszkaniu.

Adrian nie jest zachwycony. Wiem, o co mu chodzi. Myślał, że przed nami kilka godzin zabawy, a tymczasem ja wychodzę po jednym numerku. Jeszcze kilka tygodni temu na takie zachowanie prychałabym jak kot, a teraz to ja występuję w roli tej, co nie daje rady. Zupełnie nic sobie nie robię z jego protestów. Czuję się zmęczona. Pierwszy raz od bardzo dawna seks mnie nie zrelaksował. Właściwie zaraz po zamknięciu drzwi zapominam o Adrianie. Choć przyznam, że zrobienie w balona tak nadętego dupka jest nawet... całkiem zabawne.

*

Nie mam ochoty jechać do Ingi ani nic robić. Jadę do domu niespiesznie, planując kąpiel. Grzeczna Ewa ze mnie. Pójdzie do łóżka sama, przed północą. Kto by się spodziewał?

Dojeżdżam do mieszkania. Ciągle nie mogę dojść do ładu z chaosem w głowie. Powtarzam sobie, że to przemęczenie. Za długo szalałam i w końcu przyszedł kryzys. Powinnam być na to gotowa.

Kiedy wchodzę do mieszkania, słyszę szloch. W kuchni zastaję zapłakaną Hankę. Co się, do kurwy nędzy, dzieje?

Hania

Zaraz umrę w tej windzie. Może tak będzie lepiej. Ze strachu jest mi niedobrze i zacznę pojękiwać.

– Co ty się tak martwisz, Hanka? Mała kawa jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Marcin wydaje się absolutnie niewzruszony. Ma taką minę, jakbyśmy byli starym małżeństwem i wracali do domu ze wspólnych zakupów. Jedyne, na czym potrafię się skupić, to na odganianiu czarnych myśli. Trafiłam na psychopatę!

Byłam pewna, że takie rzeczy się nie zdarzają. Ale jadę windą z pierdolonym psycholem, który albo mnie zgwałci, albo zgwałci i zamorduje.

Nie widzę możliwości ucieczki. Jestem jak sparaliżowana i prowadzą mnie jak baranka na rzeź.

Mieszkanie jest bardzo nowoczesne, jasne i czyste.

– Siadaj na kanapie. Zrobię kawę. Tylko niczego nie dotykaj.

Kuchnia jest blisko, widzi mnie doskonale. Dogoni mnie jednym susem. Kręci mi się w głowie i prawie przestałam oddychać. W ustach sucho, ale też całkiem inaczej, niż kiedy dowiedziałam się o utracie pracy.

Nie mdlej. Nie teraz. Walcz.

Nic nie widzę. Coraz gorzej słyszę.

Nie, nie, nie. Nie daj się. To się tak nie skończy!

– Marcin, proszę, zostaw mnie – szepczę, kiedy siada obok z filiżanką kawy. Wyciąga rękę, a ja słyszę w uszach niesamowity pisk.

– Słuchaj, Hanka, wiesz, tak cię obserwuję cały wieczór... – Odsuwa rękę. – ... i powiem ci szczerze, że kijem bym cię nie tknął. Wiesz dlaczego?

Odpowiada mu moje skamłanie. Z ledwością słyszę, co do mnie mówi. Wdech, wydech. Skup się. Skup się, do kurwy nędzy.

– Może mi nie uwierzysz, ale studiowałam psychologię. Od razu coś zauważyłem. Jesteś poważnie zaburzona. Przykro mi. Nic ci nie pomoże. Zawsze będziesz sama. I wiesz co?

Przytomnieję. Muszę się stąd zebrać. Muszę. Teraz. Wstań. Idź. Pokaż siłę.

– Nigdy nie spotkasz nikogo dla siebie, bo podświadomie będziesz przyciągała podobnych sobie. Rozumiesz? Zawsze celowo dobieramy partnera.

– Wychodzę. Wypuść mnie. – Zaczynam wstawać, chwieję się. Marcin odruchowo chce mnie podtrzymać, ale wyrywam się i czuję przypływ adrenaliny. Odzyskuję czucie.

– Wychodzę.

– Skoro się upierasz. Przecież cię odwiozę.

– Nie!

Ruszam do drzwi. Tyle zamków, ja pierdołę, chcę wyjść!!! Przekręcam wszystkie, szarpnię klamkę. Drzwi się otwierają. Kątem oka widzę, jak Marcin podnosi się z kanapy, i w tym momencie puszczam się biegiem. Mięśnie mam tak napięte,

że z ledwością przebieram nogami. Ale pędzę tak szybko jak jeszcze nigdy w życiu. Wybieram schody.

Klatka po klatce.

Biegnę. Dyszę. Nie wiem, jakim cudem się nie przewracam.

Wyjście. Jest wyjście. Ochroniarz na portierni patrzy na mnie jak na wariatkę.

Kiedy zaciągam się pierwszym haustem świeżego powietrza, z piersi wrywa mi się wrzask, a potem upiorny szloch. Nie zatrzymuję się. Gdzie jestem? To okolice Żoliborza.

Biegnę tak długo, aż czuję, że zaraz padnę. W panice sprawdzam, czy mam torebkę. Jest. Taksówka. Natychmiast taksówka. Roztrzęsione palce nie trafiają w klawisze. Nie mogę znaleźć numeru. Ale zbawienie jest za rogiem. Taksówka stoi nieopodal.

Jadę i płaczę. Kierowca nie mówi słowa. Pewnie myśli, że ktoś mnie porzucił. W dupie to mam.

Kiedy wchodzę do mieszkania, nie wiem, co mam zrobić najpierw. Wody, muszę napić się wody. Siadam przy kuchennym stole i płaczę. Nie mam pojęcia, która jest godzina. Stres, panika i adrenalina bardzo powoli zaczynają ustępować miejsca zmęczeniu. Jednak łzy płyną.

*

W zamku przekręca się pęk kluczy. Podskakuję. To Ewa. Wiem, że nikt inny tu nie wejdzie, ale serce wali szaleńczo. Kiedy słyszę stukot obcasów, czuję ulgę. Nadal jednak całe ciało mam napięte jak gitarowa struna. Jeszcze moment i pęknię – już na zawsze.

Ewa

Siedzi i ryczy. Z makijażu zostały tylko brudne plamy na twarzy. Wygląda upiornie i od razu wiem, że to może być moja wina.

– Hanka, co się stało?! Mów!

Płacze. Nie może wydobyć słowa. Dolewam jej wody, pije.

– Hanka! Ogarnij się. Powiedz coś, do cholery?!

Łapie głębszy oddech. Stara się oddychać miarowo i powstrzymać szloch. W końcu zaczyna się jej udawać. Trzeba było ją przywołać do porządku.

– Spotkałam się z Marcinem. Z naszej pracy...

O kurwa. Jakbym dostała w pysk. Momentalnie robi mi się gorąco.

– I co? Coś ci zrobił?? Mów!

Przez kolejne piętnaście minut wyszarpuję z niej słowa. Historia, która się wyłania, jest tak surrealistyczna, że gdyby nie jej stan, mogłabym nie wierzyć. Marcin jako psychopata przetrzymujący kogoś na siłę? W sumie... Nie znam go. Pracujemy w innych działach, rozmawiamy rzadko. A nawet gdybym go znała, pewnie nie dałoby się tego przewidzieć. Ja pierdołę. Co teraz?

– Już tam nie wrócę. Do pracy. Nigdy. Ewa, nie dam rady. Wiem, że on mi nic nie zrobił, ale... tak się bałam. Nie będę umiała już tam być. Nie blisko niego... – Znowu płacze. Zajebicie. Tak się wszystko układa. Miała robotę, miała randkę, a traci wszystko w jednym momencie. Jak to możliwe, że mnie nigdy coś takiego się nie zdarzyło? Tyle seksu, tylu facetów, tyle spotkań. I zawsze po mojej myśli. Hanka przyciąga nieszczęścia jak magnes.

– Zrobię ci kawy, zjedz coś. Tak, wiem, nic nie przełkniesz. Ale kawałek czekolady ci nie zaszkodzi. I już nie płacz. Stało się, ale jesteś bezpieczna. Już nigdy go nie zobaczysz. Będzie lepiej. Postaraj się wyluzować. Już go nie ma. I nie skrzywdził cię. Słyszysz? Dasz radę.

Zapominam o kąpieli i siedzę z nią. W końcu rozchodzimy się do łóżek około pierwszej w nocy. Jestem padnięta. Nawet nie pamiętam, co dzisiaj robiłam.

*

Rano Hanka nie wstaje. Nie wiem, czy sama zgłosi to, że już nie będzie pracować. Ja nie mogę tego zrobić.

No więc dobrze. Jadę. Urwę skurwysynowi jaja.

A może nie przyjdzie? Może się wystraszy i też odejdzie z roboty? Ciekawe.

Widzę jednak jego samochód na parkingu. I co ciekawe, od razu natykam się na niego w kuchni.

– Chyba musimy pogadać – syczę na powitanie i wlokę go na korytarz. – Ty pojebie! Co ty odpierdalasz?! Mam to zgłosić na policję?!

– Ale co? Że zabrałem dziewczynę na kolację?

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi! Psychol zasrany. Myślisz, że ci to uj-

dzie płazem?

Marcin unosi ręce w geście oddalenia wszelkich zarzutów i oświadcza:

– Ewka, nie wiem, o co wam chodzi. Dziwna ta twoja koleżanka. I tyle. Cześć!

Odwraca się na pięcie i już go nie ma. Cześć? To jest finał? Super. Nie czuję się winna, ale... jest mi kurewsko niewygodnie.

*

Po południu odzywa się Krzysztof. Zaprasza ponownie do stadniny koni i na upojny wieczór. Zastanawiam się, czy jechać. Wczoraj nie odpoczęłam. Ale Krzyśka już znam. Może to mnie nieco odpręży? Dobra.

Odzywa się myśl, że może trzeba zobaczyć, co z Hanką. Nie mam na to siły. Wpadam na szalony, ale genialny pomysł.

– Halo! Inga! Mam sprawę do ciebie. Pamiętasz Hankę, moją lokatorkę? Miała mały wypadek...

Streszczam historię, zastanawiając się, co też mi strzeliło do głowy, żeby prosić Inge o pomoc.

– Mówię ci, psychopata jebany. Nie chcę jej tak zostawiać, ale dzisiaj muszę. Wpadniesz do mnie i zrobisz jej te swoje klopsiki?

Niech Inga wpadnie, zobaczy, co się dzieje i jak się Faustyna trzyma. Dobrze. Doskonale to ogarnęłam, teraz mogę zająć się sobą. Liczę na to, że wizyta pod Warszawą wypleni mi z głowy to całe myślenie.

A myślenie nakręca mój mózg, nie daje chwili wytchnienia. Mieli, dudni, skrzypi. Cały czas. Pytania, które wpadają mi do kawy, atakują mnie w lustrze, budzą rano i nie dają się domknąć powiekom w nocy. Litości!

Hania

Budzę się z myślą, że to pewnie sen. Nadal śpię i tylko mi się wydaje, że jest już dzień. Wczoraj miałam randkę z psychopata i straciłam pracę. Do głowy przychodzi mi myśl, że... może stawić czoła sytuacji i jednak nie rezygnować? Wstać, ubrać się, umalować i pojechać do biura? Spotkać go i napluć mu w twarz?

Nie. Nie chcę. Czuję się o wiele lepiej i jakoś to wszystko przeżyję, ale... Nigdy nie chcę go widzieć na oczy.

Zwalniam się z roboty przez telefon. Tak, koleżanka jest zdziwiona, zawodzę firmę, rozczarowuję. Mam to gdzieś. Ja też jestem rozczarowana. Całym swoim życiem. Bandą dupków, których spotykam, z psycholem na czele. Jestem rozczarowana własną niemocą i tym, że moje życie to wielka chujnia, a ja zaczynam w myślach być wulgarna, więc widać przesiąkam towarzystwem Ewy.

Rozklejam się nieco i idę spać. Ten dzień spędzę w domu i będę się mazała, ile wlezie. Muszę wyrzucić z siebie to gówno. Dzwonię do Asi. Chce przyjechać, jest w szoku. Ale dzisiaj jadą z Kamilem załatwiać zaproszenia. Przełoży to i się spotkamy. Nie. Niech nie przekłada, zobaczymy się jutro.

*

Mijają godziny, a ja leżę i patrzę w sufit. Pozwalam myślom błądzić. Próbuję ułożyć jakiś plan. Plan na siebie, na życie. Postanawiam coś ze sobą zrobić. Idę przed telewizor, siadam na kanapie i zmieniam kanały jak Al Bundy¹⁹. Zajębiście.

¹⁹ Bohater amerykańskiego sitcomu z lat dziewięćdziesiątych. Al Bundy sporo czasu spędzał na kanapie, oglądając telewizję.

Sprzedaż, plotki, dieta. Co stacja, to nuda. Dawno nie oglądałam telewizji. O, jest program podróżniczy. Opalona Polka opowiada o swojej podróży dookoła świata i o tym, że kupiła sobie jeden bilet na całą kulę ziemską. Istnieje coś takiego? Proszę bardzo. Wszystko można. Rezerwujesz mały świstek za kilka tysięcy i zwiedzasz świat.

Robi mi się nieco przykro. Ja nic nie widziałam. Warszawa–Podlasie–Podlasie–Warszawa. Moja supertrasa i równocześnie wszystko, co znam.

Ładuję samotnie, bez miłości, rodziny, pracy. Myślę, że moje życie już zawsze takie będzie. Muszę się nauczyć ukrywać emocje, zgorzknienie i walczyć. Robotka powinna się znaleźć. A cała reszta? Cała reszta to piwo, którego nawarzyłam, i teraz będę je sączyć, do dna. Czyli do usranej śmierci.

Znowu słyszę pęk kluczy w zamku. Ewa. Jednak nagle z kanapy zrywa mnie inny kobiecy głos.

– Hania? Cześć, Hania. Jestem Inga!

Wita mnie niewysoka blondynka. W rękach trzyma dwie siatki, a w nich zaku-

py. Z jednej wystaje doniczka bazylii.

– Cześć. Ewy nie ma – bąkam, bo nie wiem, co się dzieje.

– No wiem. Dzwoniła do mnie i prosiła, żeby przyjechać. Podobno lubisz kuchnię włoską. Ja właśnie zaczęłam ją uwielbiać. Wiesz, sporo się u mnie pozmieniało w ostatnich miesiącach i, kurdebele, jestem zupełnie nową Ingą. Dlatego jak mi ktoś proponuje, że można zrobić obiad i jeszcze wesprzeć w potrzebie, to jestem pierwsza. A ty lubisz makarony? Mam pomysł na zajebiste penne z kurczakiem. Może nieco mało dietetyczne, ale zdrowe. Nie zjemy dużo, to nie będzie grzechu, co nie?

O matko. Ile ona gada! Kto to jest? Koleżanka Ewy, to wiem. Ale... dlaczego przyjeżdża do mnie? Czy Ewie się wydaje, że potrzebuję niańki? Krępująca sytuacja. Nie bardzo wiem, jak się zachować.

– W ciąży jestem. Jeszcze nie widać, co nie?

– Daj te siatki! – wyrywa mi się. Biorę torby, wkraczam do kuchni. Inga za mną. Oj, nie pozbędę się jej. A ona ciągle papple.

– Dużo gadam, wiem – oświadczam. – Ale ostatnio... Tyle się dzieje, tyle emocji i w ogóle, że muszę to z siebie jakoś wyrzucać. No ale wróćmy do ciebie. To znaczy nie wróćmy, bo jeszcze nawet nie miałaś okazji się odezwać.

Jej gadanina, wartka i entuzjastyczna, sprawia, że zaczynam chichotać. Pierwszy raz widzę Ingę, ale wygląda na zabawną osobę.

Widać, że zna kuchnię Ewy, bo wie, gdzie co leży, i już po chwili praży na patelni ziarna słonecznika. I cały czas mówi.

– Ewa sporo mi o tobie opowiadała.

– Aha – przerywam jej – i co ci powiedziała? Że jestem zaniedbaną żelazną dziewczyną, która użala się nad sobą?

– No... mniej więcej. – Śmieje się. – Ewę nietrudno poznać od tej strony. Ale ty się tym w ogóle nie przejmuj. Mówiła mi, co cię wczoraj spotkało. Ja pierdołę, gdybym ja takiego poznała, ucięłabym mu jaja, dasz wiarę?

Wyobrażam sobie, jak ucinam Marcinowi jaja, i znowu się śmieję. Towarzystwo Ingi coraz bardziej mi się podoba i już po chwili kroję kurczaka. Od rana nic nie jadłam i zaczynam mieć ochotę na to całe penne z kurczakiem.

Inga opowiada i opowiada. Szybko poznaję jej historię, całą przeszłość, każdy szczegół. Wyłania się obraz wielkiej imprezowiczki marzącej o ustatkowaniu się. A tu życie płata figle... Teraz ciąża, całkiem nieplanowana. Świat zawalił się w sekundę.

– Ale powiem ci, Hanka, że to, co się teraz dzieje, to jest jakiś megaszok. Nagle wszystko, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczyna się zmieniać i mieć sens. Rozumiesz? Wcześniej myślałam, że zwariuję. Miałam już dosyć takiego życia, a teraz... mam wrażenie, że się ułoży. Musi, bo ja urodzę i będę miała dziecko. Czuję się taka jakaś silna, zdecydowana. I wiesz co? Spotkałam się z ojcem dziecka. Powiedziałam mu. Był w szoku, myślałam, że się ze mną pożegna. A tu zaskoczenie. Chce się ze mną widywać. Zaprasza mnie jutro na kolację, mamy pogadać i w ogóle.

– Kochasz go? – Ta opowieść naprawdę mnie wciąga. A energia, którą roztacza Inga, cudownie mnie opromienia. Odpoczywam i w ogóle nie myślę o tym, co się stało.

– To skomplikowane. On jest superkolesiem. Było mi z nim dobrze i myślę,

że pokochałabym go na zabój. Ale potem zniknął. Mówił mi teraz, że się nieco wystraszył. Że ja jestem strasznie szybka i roztoczyłam od razu widmo ołtarza. Ma rację. Jestem za bardzo do przodu.

Tak... Ile razy ja tak sobie wyobrażałam. Tylko się uśmiecham.

Kurczak z penne na moim talerzu i gadająca Inga nad talerzem. Ona chyba długo trzymała w sobie lawinę tych wszystkich historii, bo widzę jak jej dobrze, kiedy może tak trajkotać.

– Na Ewkę nie ma co czekać. Mogę zostać, jak chcesz, na noc – mówi, kiedy już zjadła calutką porcję makaronu.

– Nie... musisz się teraz dobrze wysypiać. Dzięki. Nawet nie wiesz, jak bardzo pomogłaś.

Ostatnie słowa są szczerze. Odsunęłam się ostatnio od Aśki i Kamila. Nie chcę patrzeć na codzienne przygotowania do ślubu, wystarczy mi raz w tygodniu. To dokładnie tak, jakby dziecko odpakowywało dla innych cukierki, a samo nie mogło spróbować. Ślub. Czy na tym świecie znajdzie się ktoś, kto zechce się ze mną ożenić? Ktoś normalny. Niepijący, niećpający, zdrowy na umyśle i niezakochany we własnej osobie.

Ale mam wymagania! Chyba czeka mnie jednak samotna starość.

*

Nie mogę zasnąć. Wspomnienie Marcina mocno przyblakło i na wokandę wróciły stare bolączki. Jest prawie pierwsza. A ja jestem w totalnej dupie. Nie, nie mogę tyle o tym myśleć. Idę pobiegać. Dlaczego nie? Niezwykła jest siła paradoksu. Ciemna noc i ja samotnie przemierzająca warszawskie uliczki. A przecież wczoraj z ledwością wymknęłam się psychopacie z rąk.

Kiedy biegnę, głowa sama selekcjonuje myśli i wrażenia. Ja jedynie poddaję się im, wsłuchując się równocześnie w muzykę.

Jak bumerang wracają do mnie wczorajsze słowa. Zaburzona. Zaburzona, to widać, to wyczuje każdy normalny facet. Taki się do mnie nie zbliży. Jego podświadomość wychwyci ten odór, pozna się na pustce, która trawi moje wnętrze od dawna.

On ma rację. Coś musi być ze mną nie tak.

Wracam do domu. Spocona, ale nie zdyszana. Biorę długi prysznic. Zmywam z siebie wszelkie wnioski i analizy. Spłukuję upokorzenie, strach, beznadziejność. Zamykam oczy.

Najlepiej na świecie byłoby się już nigdy nie obudzić. Jak smakuje wolność od udreń? Jak smakuje spełnienie? Jakie to uczucie, obudzić się rano i po prostu cieszyć się chwilą? Muszę jutro spróbować. Na przekór wszystkiemu.

Ewa

Jadę. Zaraz po pracy. Jeżeli tym razem się nie uda – z kimś, kogo przecież znam (dobra, bardzo słabo, ale znam!), to będzie żałośnie. Bardzo żałośnie.

Krzysiek wcale nie jest tak bardzo zadufany w sobie, jak można by pomyśleć. Takie sprawia pierwsze wrażenie, ale wszystko, co posiada, należy do niego. Wszystko kupił za własne ciężko zarobione pieniądze, oczekujące poświęconym czasem, mozolem, straconymi latami. Teraz obudził się wielce zaskoczony, że wokół niego jest mało ludzi. Tych życzliwych i szczerze oddanych.

Może spróbować umawiać się tylko z nim? Zaznać na chwilę czegoś stałego? To ideał mężczyzny. Jest całkiem przystojny, bogaty i inteligentny. Lubi rozpieszczać kobietę i bywa romantyczny.

Nuuda!

Albo nie, nie nuda.

To po prostu nie to. Krzysiek jest miły, jedna noc z nim to cudowna odskocznia i dobrze spędzony czas. Ale na dłuższą metę... Odpadłabym po pierwszym okrążeniu.

Już widzę miny wszystkich kobiet, które o Krzyśku mogą jedynie pomarzyć. Wszystkich tych, które na własne życzenie tkwią u boku kogoś, kto nie potrafi nawet śniadania zrobić i kupić złamanego kwiatka bez okazji. Na wieść o tym, że dla mnie on jest lekko nudnawy, wywiozłyby mnie na taczce gnoju i zlinczowały jak Jagnę.

Obym się dzisiaj nie wynudziła.

*

O nudzie nie ma mowy. Są świeczki, kolacja, seks. Pełen pakiet. Dom jest uroczy, czuję się, jakbym pojechała gdzieś na Mazury. Krzysiek ujmujący. A ja myślami trochę tu, trochę tam. Trochę wszędzie. Zawieszona.

Piję dużo dobrego wina. Chcę przespać noc. Nawet nie martwię się o poranną trzeźwość, wszystko zaczyna mi być obojętne.

Mam w dupie, z kim dzisiaj jestem. Krzysiek, Alek czy Wacek.

Zwisa mi, z kim się zobaczę i ile razy będziemy się bzykać.

Zrobiło się dziwnie pusto. Smutnawo.

Kiedy tuż przed zaśnięciem przypomina mi się napalony i po uszy zakochany Waldek, przeklinam soczyście. Krzysiek porusza się niespokojnie.

Tak, kurwa. Jeszcze tego w głowie mi brakowało. Szczeniaka.

Czasem zerkam na niego w biurze. Unika mnie jak ognia. Zdawkowe „Cześć”, zero kontaktu wzrokowego. Gdybym miała z nim lepsze relacje, sprzedałabym go Hance. Robi mi się żal. Byliby dobraną parą z tą swoją wrażliwością i ideałami, wtłoczonymi w głowy pełne marzeń.

Nic z tego, bo ja Faustyny już nigdy z nikim nie zeswatam.

Waldek, Waldek. Zabawiłam się nim czy nie? Przekroczyłam granicę czy

w porę się wycofałam? Widać dla niego zaszedliśmy cholernie daleko. Trzeba się było wycofać, kiedy tylko zobaczyłam maślane oczy.

Zasypiam z myślą, że chyba robię się za mała i za słaba na te wszystkie wielkie przygody. Czego tak właściwie chcę. Czego?

Inne

Hania

Tik-tak. Czas prześlizguje się przez palce. Bawi się ze mną jak najwytrawniejszy oprawca. To smaga mnie swoją szybkością, to zwalnia, przedłużając torturę do granic wytrzymałości. Czas mija, płynie, a mnie doby zlewają się w jedno i to samo.

Mijają dni, tygodnie. Wypełniam je rozmowami kwalifikacyjnymi, chodzeniem na siłownię i wieczną walką. Walczę o to, żeby się nie poddać. Zaliczam kolejne randki. Coraz mniej wierzę, że któraś zaowocuje czymś więcej.

Czasem serce zadrży. Czasem wydaje mi się, że spotkałam kogoś ciekawego. Wtedy powtarza się ten sam scenariusz. „Miło było się spotkać. Odezwę się”.

Już się nie odzywa.

Psychopatyczny Marcin musiał mieć rację. To ze mną jest coś nie tak, a ja nawet nie wiem co. Jestem zepsuta jak stara lalka, czegoś brakuje, coś „nie trybi”. Nie nadaję się do niczego. I nikomu nie będzie się chciało naprawiać starocia. Można mieć nowe, na zawołanie, z gwarancją.

Tymczasem ślub Aśki i Kamila już za chwilę. Aśka zaciąga mnie na przymiarzkę sukni ślubnej.

O Jezusie, o matko, o wszyscy święci! Wygląda oszalamiająco. Nie mogę uwierzyć, że trochę koronki i tiulu potrafi zamienić kogoś znanego mi do bólu w zjawiskowego anioła. Ciekawe, jak ja bym wyglądała w czymś takim. Ciekawe, jak by to było, gdybym szykowała się do swojego ślubu.

Przestań. Dostyc tego „a gdyby”. Ciesz się szczęściem przyjaciółki, bo wychodzi za mąż i musisz ją wspierać. Myślisz tylko o sobie. Trzęsiesz się nad każdym dniem, a nic to nie wnosi!

Ciężko, bardzo ciężko.

Dzwoni Kuba. Ślub jest w pierwszą sobotę października. Rozmawiamy chwilę. Przy nim zazwyczaj nie mam siły udawać, więc pozwalam, aby zmęczenie pobrzmiwało w głosie.

– O matko, siostra, ale jesteś wykończona! Wiesz co?

– No co, bracie? – Już się uśmiecham. Kocham tego kolesia!

– Ja ci powiem co. Przyjeżdżam wcześniej. I robię ci kilka dni ostrej jazdy przed weselem. Będziemy się szlajać, włóczyć, chlać kawę, zasypiać późno i niczym się nie martwić. Może pójdziemy razem na speed dating, będzie ubaw!

Chichoczę. Kubie nie potrafię odmawiać, więc się zgadzam. Od razu czuję się lepiej.

Kątem oka obserwuję Ewę. Coś się ostatnio dzieje. „Coś” to mało powiedziane.

Gepardzica zamieniła się teraz w kota ze schroniska. Częściej bywa w domu. Mniej mówi. Mniej dogryza. Jest trochę wyłączona. Jeżeli gdzieś znika, nie wraca z zadowoloną miną. Raz czy dwa zaprosiła Inge. Siedziałyśmy wtedy we trzy,

bo Inga od razu przyszyła mnie do grona swoich koleżanek.

Nie spuszcza z niej wzroku. Chodzi po mieszkaniu, coś czyta, bez przerwy gapi się w telefon, wierci się niemiłosiernie.

Może się zakochała? Nie, to chyba nie to... Nie ten rodzaj wzdychania. A jeżeli chodzi o nieszczęśliwą miłość? Jasne. Surrealistyczne scenariusze wykluczam od razu. W końcu zbieram się na odwagę, bo ciekawość bierze górę. Taka ciekawska ze mnie Hanka.

– Ewa, ostatnio jakaś markotna jesteś. Coś się stało?

Rzuca spojrzenie, które wbija w podłogę, ale dzielnie stoję i nie daję nic po sobie poznać.

– Myślę. Pomyśleć nie można? – fuka zaskoczona, że sama ją zaczepiam.

– Na pewno ja ci nie zabronię. Po prostu pytam.

Wzdycha teatralnie. Oj, niełatwo się zwierzyć. Nie mnie, świętej nietkniętej.

– Co mam ci powiedzieć? Ostatnio wszystko mnie nudzi i nic nie bawi. Zmęczyłam się i muszę złapać dystans. Koniec historii.

Więcej nie powie. Może i by chciała, ale chyba przez lata nauczyła się, że ludzkie emocje, te szczerze i najprostsze, są zakazane. Nie wyjdzie z pozy. Nie zostawi swojej formy. Nie porzuci roli w najlepszym teatrze. Trudno. Nie mam ani siły, ani ochoty, żeby wyciągać z niej informacje. Muszę udźwignąć swój balast, a Ewa nie wydaje się warta podchodów.

*

Tik-tak. Zegar odlicza minuty kolejnych beznadziejnych randek...

Postanawiam, że przed weselem spróbuję jeszcze choć raz czy dwa. A potem, tak jak mówił Kuba, zrobię sobie urlop od tego gówna.

Do tego czasu muszę znaleźć pracę.

Tym razem jest nieco inaczej. Na rozmowy przyodziewam maskę. Uczę się od Ewy. Wchodzę pewna siebie, roztaczam uśmiech, kipię od zalet, jakie mogę zaproponować absolutnie każdej firmie.

W końcu na jednej kobiecie chyba robi to wrażenie. Jest cień szansy. Zaprasza mnie do drugiego etapu. Mała firma, coś nowego. Zlokalizowana na Starym Mieście. Lubię klimat malowniczych uliczek i pięknych kamienic, to mnie dobrze nastraja i koi.

Dopada mnie jednak demon obojętności. Jest mi obojętne, z kim się spotykam, gdzie będę pracować, gdzie mieszkam, jakie są moje plany na weekend. Nie mam już siły, aby się ekscytować, podniecać, przeżywać mocno i intensywnie. Jestem w stanie hibernacji. Musiałam to zrobić, żeby nie zwariować. Wszystko, co się dzieje i co mnie otacza, jest oddzielone warstwą szkła. Wrażenia docierają do mnie słabsze, mniej angażujące. Tak jest dobrze. Tak jest lepiej. Dzięki temu potrafię jeszcze czerpać radość z małych rzeczy i iść do przodu.

Ewa

Hanka robi się dociekliwa. Wypytuje, co mi jest. Inga podobnie. Wkurwia mnie to, bo sama nie wiem, co się dzieje, nie mogę dojść ze sobą do ładu. Czuję, że kroi się trudna jesień, a zima będzie siekła bez litości. Po raz pierwszy w życiu nie wiem, co zastanie wiosna. Kim będę, gdy stopnieją śniegi i obudzi się długo wyczekiwane życie? Może już mnie nie będzie? Wszystko jest możliwe.

Wczoraj Hanka dostała robotę. W końcu. Widzę, że splywa to po niej, jakby wszystko miała gdzieś.

Im dłużej na nią patrzę, tym bardziej zaczynam kumać, co mimo wszystko może nas łączyć. To też mnie niezmiernie wkurwia. Nie chcę być w niczym podobna do Faustyny! Ale wychodzi na to, że obydwie użeramy się z chujowym życiem, w którym nic nie jest stabilne. I wszystko jest przeraźliwie samotne.

Cudownie. Zajebiście. W końcu doszłam do tego, żeby nazwać siebie samotną. Nachodzą mnie jeszcze inne genialne myśli.

Może pójdę do psychologa? Mam w głowie taki burdel, że sama w to nie wierzę. Tak... Ewa na kozetce. Spowiedź z życia nimfomanki! Nie... Sama sobie poradzę. Nie po to walczyłam o siebie całe życie, żeby teraz zawierzać swoje rozterki w ręce ludzi, którzy chcą wyciągnąć pieniądze w zamian za słuchanie.

Jakiś głos w środku mówi, że wcale tak nie jest i dobrze o tym wiem.

Niech głos spierdala i da spokój. No właśnie. Tylko to jest mi teraz potrzebne. Święty spokój i jakaś odmiana. Coś nowego. Umówię się na przykład z kimś, kto nie jest w moim typie. Niech nie będzie rekinem sukcesu, niech nie imponuje mi siłą. Zdajmy się na jakiś prostszy model.

Poszukiwanie nie trwa długo. Aplikacja podrzuca mi obraz faceta, który wygląda nieco jak pan profesor. Marynarka z podbitymi łokciami, okulary. Zainteresowania: literatura i historia. O kurwa. Może być ciekawie.

Pewnie nie może uwierzyć, że się do niego odzywam. Tacy jak on mają chyba sporo kompleksów. Przekonamy się, bo umawiam się z nim na wieczór. Fantastycznie!

Właściwie nie jestem pewna, co chcę mu zrobić. Co chcę, żebyśmy zrobili. Czy profesorek będzie chciał zaliczyć numerkę? Pewnie nie. A to dopiero!

Wybrał kawiarnię. Całkiem miłą, choć nie przywykłam do spotykania się w takich miejscach. Pachnie mi tu Hanką. Może oddam go w jej ręce.

Arkadiusz przybywa na spotkanie punktualnie. Wyprostowany jak struna. Pod nosem wąsik, na nosie duże okulary. Marynarka w kratę chyba przyrosła do jego ciała. I sztruksowe spodnie, matko jedyna. Bogowie, miejcie litość i nie płaczcie.

Ja wyglądam fenomenalnie. Miałam ochotę pobawić się makijażem, długo wybierałam sukienkę. Arkadiusz od wejścia nieco się peszy. O to chodziło!

Siadamy. Kawka, gadka szmatka.

– Doktorant?

- Obecnie profesor.
- Och, panie profesorze... Pan mi da zaliczenie. Szkarłatny rumieniec oblewa profesorskie lica.
- A ty, Ewo, czym się interesujesz?
- Psychologią mężczyzn.
- Zajmujesz się tym zawodowo?
- W dużej mierze. Prowadzę zaawansowane badania. Będzie z tego publikacja. Znowu mały rumieniec, pan profesor wyczał, że się z niego nabijam.
- Arkadiusz, a czego ty szukasz na portalu randkowym? Opowiedz. Ależ mnie to ciekawi. No, powiedz, proszę.
- Partnerki. To chyba oczywiste.
- Książki już nie wystarczają?
- Tak już nas natura przystosowała, że nie lubimy żyć samotnie. Nawet taki zaczytany profesor jak ja chciałby ułożyć sobie życie rodzinne.
- Zaliczasz studentki? – Chichoczę uroczo. Arkadiusz wbija wzrok w filiżankę.
- Nie mam w zwyczaju spoufalać się ze studentkami.
- No aaale gdybyyy pojawiła się taka, no wiesz... wyjątkowa.
- Nie chciałbym powielać historii Abelarda i Heloizy, ale przecież niczego nie można wykluczyć.

Kim byli Abelard i Heloiza? Nie wiem, ale to musiała być pikantna historia. Tymczasem kawa wypita. Przebieram nogami. Siedzimy od godziny, chemii brak.

– Dziękuję, Ewo, za spotkanie. Było bardzo miło. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

No jasne, że tak. Jesteśmy sobie pisani! Arkadiusz unika mojego świdrującego wzroku. Widzę, że nie tylko go onieśmielałam, ale również... męczę.

W szpilkach jestem od niego znacznie wyższa. Idziemy do drzwi, a on na pożegnanie podaje mi rękę. Nie mogę powstrzymać śmiechu.

Wsiadam do auta i postanawiam zrobić eksperyment. Piszę do niego SMS-a.

Superspotkanie, mam nadzieję na więcej.

Odpowiedź dostaję, dopiero kiedy parkuję przy mieszkaniu.

Ewo, mnie również było miło, ale nie zobaczymy się już więcej. Chyba mamy zbyt różne światopoglądy. Dużo dobrego życzę!

No, no. Nie mogę uwierzyć. Profesorek daje kosza!! Ja pierdolę, od roku nikt mi nie podziękował, a tu nagle pajac w kretyńskiej marynarce robi to jako pierwszy.

Zamykam na chwilę oczy. Po cholerę w ogóle się z nim spotykałam? Po co marnuję czas na randki z kimś beznadziejnym?

Czuję, że na nic nie mam ochoty. Nie chce mi się widywać ani z bogami seksu, ani z nieudacznikami, ani z dziwakami. Niesamowicie szybko tracę energię. Jestem zmęczona, jakbym przetańczyła noc w klubie i zaliczyła bzykanie w toalecie.

Wszystko jest mocno nie tak. Drażnienie profesorka wcale mnie nie ubawiło, a jego SMS wkurwił.

Co dalej?

Muszę sobie chyba w końcu odpowiedzieć na pytanie, którego od dawna unikam.

Czego tak naprawdę chcę? Czego domaga się Ewa ze środka mnie, którą uci-

szam, knebluję, ale ona i tak cały czas daje mi się we znaki?

Może czas zmierzyć się z pytaniem, czy miłość jednak istnieje. Chciałabym sprawdzić, czy jestem do niej zdolna. Wychodzi na to, że nikogo szczerze nie kochałam. Nie byłam na to gotowa, ale po przemieleniu w swoim łóżku tabunów mężczyźni stwierdzam, że zabawa nie wystarcza.

A czy ktoś kochał mnie? Rafał? Może. Waldek? Mógłby. Faceci z przeszłości? Nie sądzę.

Jestem kurewsko sama na tym świecie.

Jak ja to zrobiłam?

Nic nie zrobiłam. Taka karma. Taka przeszłość. Takie przeznaczenie.

Sama, sama, sama. Oto osiągnęłam punkt samotności i pierwszy raz przyznaję się przed sobą, że tak jest.

Cudownie. Zaje-kurwa-biście.

Hania

Tomek z siłowni długo na mnie zerka, a ja na niego. Jest tu nowy. Przychodzi od kilku tygodni. Umięśniony, wysportowany, brzydki. Cóż. Mówimy sobie „Cześć”.

Ja na orbitreku, on na bieżni. Ja macham hantlami, on rozbraja atlas. Widujemy się dosyć często. Przypadek, a może przeznaczenie?

Sama nie wiem, czy patrzeć na niego, czy nie. Nie podoba mi się. Nic dobrego z tego nie będzie. Ale Tomek w końcu przypuszcza atak, a ja, królowa asertywności, oczywiście zgadzam się na wspólną kawę.

Głupia. Kretynka. Żaloszna.

Przecież już po tym, jak się odezwał, wiesz, że nic z tego nie będzie! On nie jest dla ciebie!

– Hejo, cześć!

– Cześć.

– Tomek jestem.

– Hanka.

– No. Ty tak codziennie przychodzisz, co nie? Tak zaobserwowałem. I tak se pomyślałem, że może byśmy tak skoczyli po siłce albo wieczorkiem na jakieś lody czy coś. Czy spacer, jak wolisz?

– Eee. No... Spoko, czemu nie...

– No, fajowo.

Fajowo. Umięśniony Tomek ucieszył się bardzo, a ja znów pytam siebie, dlaczego zapraszają mnie najczęściej ci, którzy już na wstępie są spaleni?

Ale pójdiesz. Obiecałaś sobie, że jeszcze spróbujesz. Wstrzymaj oddech, zagryź zęby. Nic nie tracisz, a kto wie? Może niepozorny Tomek okaże się nieoszlifowanym diamentem, który właśnie ty potraktujesz brylantowym szlifem?

Nie. Tomek nie jest nieoszlifowanym diamentem. To raczej toporny klocek. Nic się nie da z tym zrobić.

– Ty sama jesteś, Hanka, co nie?

– Sama, inaczej by mnie tu nie było.

– No nie, no raczej. – Śmieje się głupio. – A ten, no, trenujesz ostro.

– Nie tak znowu ostro...

– No co ty, ostro jedziesz, widziałem. Ale chyba nigdy megagruba nie byłaś? Bo teraz to jak patyczak. – Swój niesamowicie subtelny komplement okrasza kolejną dawką śmiechu. Nie jest to rechot, ale w moich uszach brzmi jak strojenie instrumentów przed koncertem symfonicznym.

– A ty chodzisz na tańce? – Zaraz mu się odwdzięczę.

– Jakie tańce?

– Wiercisz się na tym krześle, jakby coś cię gryzło...

– Co ty gadasz? Tak se siedzę.

To se siedź. O Boże, daj mi siłę, abym nie zwątpiła i nie upadła właśnie teraz.

– No bo ja taki, wiesz, wesoły jestem na co dzień, co nie? – Tomek jest niezrówny.

– A pracujesz?

– Jasne, że pracuję.

– A gdzie?

– Jestem, psze ja ciebie, kucharzem.

– To wspaniale! Co najlepiej gotujesz?

– Eee, pewnie gulasz. – Tym razem nawet ja się śmieję, bo wizja Tomka gotującego gar gulaszu jest bardzo wyrazista.

Problem w tym, że Tomasz nie należy do bystrzaków. O nie. Nie łapie w lot żartów ani sam nie błyszczy ripostami. Jego pojmowanie świata ogranicza się do mediów społecznościowych, sportu i, jak się obawiam, picia piwa. Nie myślę się.

– Na browarka byś ze mną poszła?

– Dzisiaj już nie mogę.

– Nie no, spoko, laska, co ty. Dzisiaj to już nie, no, ale może jutro, co?

– Jutro też nie... Może się zgadamy jakoś...

Albo raczej, kretynko, będziesz musiała zmienić siłownię, żeby już nie wpadać na umięśnionego Tomka. Głupio ci? A może wolisz go spotykać i odganiać się od załotów lub, co gorsza, wysłuchiwać pretensji?

Tomek chyba widzi, że nic z tego nie będzie. Zaczyna więc zachowywać się jeszcze bardziej nerwowo i głupkowato. Mówię sobie: dosyć.

Granica wytrzymałości zaczyna zbliżać się gwałtownie. I wiem już prawie na pewno, że psychopatyczny Marcin jednak miał rację: nigdy nie przyciągnę do siebie nikogo normalnego. Nikogo, kto mógłby być dla mnie odpowiedni, bo ja sama nie jestem dla siebie odpowiednia. Zaklęte koło. Nie mogę ciągle wołać o miłość, jeżeli nie chce do mnie przyjść, widocznie taki mój los.

Kilka miesięcy poszukiwań, a ja się już poddaję? Może trzeba lat?

Nie, nie. To było kilka miesięcy upokorzeń, lęku, zawiedzionych nadziei. Kilka miesięcy amoku i wiary, która odrasta jak wątroba Prometeuszowi. Zawsze tak będzie. Zawsze tak samo boleśnie, bez sensu.

Jeszcze trzy tygodnie do wesela. Kuba przyjeżdża za dwa. Jeżeli kogoś do tego czasu poznam, to będzie cud. Jeżeli nie – odpuszczam do końca roku. Inaczej zwariuję.

Ewa

Wszystko mnie wkurwia. Łażę jak wilk w klatce. Od tygodnia z nikim się nie widziałam. Nie mam ochoty. Byłam tylko raz u Ingi. Jej rosnący brzuch i rosnąca radość życia także działają mi na nerwy. Nie potrafię stłumić zazdrości. Nie o dziecko chodzi, ale o spełnienie. Zeszła się z ojcem dziecka. Tak po prostu, jakby nic się nie stało. Chodzi szczęśliwa i uśmiechnięta. Przecież właśnie tego szukała przez lata. Tego szukałyśmy obydwie, tylko że ja nigdy się nie przyznałam, nawet sama przed sobą.

Wspaniale. Dwie królowe, dobra i zła. Ta dobra dostała księcia, a zła nauczkę. Sprawiedliwość zatriumfowała.

Wiem, że to wcale nie tak, ale budzi się we mnie żal do świata. Do ludzi. Do losu.

Znowu myślę o moich rodzicach. Jak, kurwa, miałam ułożyć sobie życie, skoro wyszłam z takiego domu?! Czy nie wystarczyło, że wyrwałam się patologii ze szponów i zaczęłam żyć na własną rękę? Jak widać, to za mało. Pomyliły mi się priorityty. Źle wycelowałam i teraz widzę, co się dzieje.

Nie jest za późno, jasne. Ale w głowie mam szambo, nigdy niespuszczone. Zaczyna ciążyć, cuchnąć, zaraz się przeleje. Na razie, poza stagnacją, nie robię nic. Zachowuję spokój. I przyznam, że nie wiem, jak się do tej roboty zabrać.

Jak się szuka miłości? Trzeba o nią poprosić? Zawołać? Czy nie wypadałoby najpierw poukładać samej siebie? Nie, nie, nie!! Za dużo elementów, to łamigłówka, której w pojedynkę nie rozwiążę.

Odpocznij. Zostaw samą siebie. Nie ruszaj. Szalałaś przez ostatnie miesiące, musisz się uspokoić. Wtedy będzie łatwiej.

Hanka ma wesele przyjaciółki. Pyta, czy jej brat cioteczny może przyjechać tydzień przedtem i mieszkać w jej pokoju. Jasne, nie ma sprawy. Wszystko mi jedno, byle dali mi spokój.

Robię przegląd gratów w sypialni. Znajduję stary kalendarz. Przeglądam z zadumą i natykam się w nim na zdjęcie Rafała, włożone luzem we wrześniowe daty. Siadam w kuchni z kawą i przyglądam się fotografii. Spogląda na mnie mężczyzna niesamowicie przystojny i elegancki, jakby to była reklama ekskluzywnej linii zegarków. To była służbowa sesja na potrzeby firmy. Idealnie skrojony garnitur, piękna koszula, zapinki... Człowiek sukcesu. Zaglądam mu w oczy. Są śmiałe i spokojne. Nie znajduję w nich załączków depresji. No tak, to naprawdę stare zdjęcie.

Spotkałam Rafała w złym czasie. Gdybyśmy się poznali teraz, stworzylibyśmy zupełnie inną parę. Ja zaczęłabym inaczej myśleć, czuć. Może udałoby mi się pokochać? A może on pomógłby pozbierać siebie do kupy?

Będzie inny Rafał. Będę inna ja. Na pewno!

*

Hanka od miesiący nikogo nie zaliczyła. Chodzi na randki, wraca z marsową miną. Mówi, że odpuszcza. Do końca roku. Może jej potowarzyszę w tej abstynencji, zobaczę.

Inga bierze ślub. Na razie cywilny. Ja pierdołę. Jakim cudem poukładała sobie życie w kilka miesięcy? Jeszcze niedawno razem bujałyśmy się po klubach, a tu nagle przyszła matka i żona? Kawalerkę ma zamiar wynająć, przeprowadza się do niego.

Wychodzi na to, że zostaję z pustymi rękoma. Na razie, bo póki co jeszcze nie myślę o tym, żeby szukać kogoś na stałe. Bo...

Bo tym razem miałoby to wyglądać zupełnie inaczej. Chciałabym związać się z kimś, do kogo naprawdę coś poczuję. A skoro tak, to ja sama muszę w końcu zrozumieć, kim jestem, czym naprawdę chcę się kierować w życiu, co mnie boli...

Kiedy zaczynam o tym myśleć, robi mi się bardzo źle. Źle jest myśleć o zmarnowanym czasie, o zjebanej rodzinie, o błędach. Źle jest myśleć o tym, że chyba wszystko dotąd było puste, choć potrzebne, by zaprowadzić mnie do tego etapu. Nie wiem tylko, ile to potrwa.

A jeżeli pojawi się ktoś wyjątkowy, a ja znowu zapragnę szaleć? A jeżeli ten ktoś zachowa się wobec mnie tak jak ja wobec Waldka? Jestem gotowa na odrzucenie? Pozbieram się po czymś takim czy wpadnę w kolejny dziki szał, zapominając o wszystkim, czego się nauczyłam?

Kurewsko się boję. Przeraza mnie myśl, że po latach ukrywania wyjdę na światło dzienne. Zasada była prosta: nic cię nie boli. Nie boli cię to, kim byłaś i skąd pochodzisz. Nie boli cię to, że coś się nie udało, ani to, co myślą inni. Nie boli cię, gdy ktoś kopnie w dupę, gdy zapomni, gdy wystawi. To wszystko nie boli.

Ale teraz będzie musiało zacząć. Jeżeli chcę wrócić do życia. Jeżeli chcę zacząć żyć, będę musiała nauczyć się, co to znaczy czuć naprawdę. Czuć to, co chcę, i to, co może mnie zniszczyć. Nie wiem, czy dam radę. Nigdy nie próbowałam. I co gorsza nie wiem, jak się do tego przyznać światu. „Cześć, to ja, Ewa, zmieniłam się. Co o tym myślicie?”.

Oczyrna wyobraźni widzę już, jak Indze i Hance opadają szczęki. Słyszę, jak ludzie w pracy zaczynają gadać, że ktoś poskromił złośnicę. Jak wszystkim będzie się wydawało, że teraz powinno spaść na mnie wiele gówna, abym zapłaciła za przeszłość.

Super. Boję się społecznej oceny. Muszę mieć to gdzieś.

Mocno się gubię.

Hania

Nowa praca jest tylko nową pracą. Niczym więcej. Chodzę tam, robię, co mam robić, mechanicznie. Nie czuję, że to nowy początek, nowa nadzieja. Nie zarabiam dobrze. Wystarczająco, aby się utrzymać, ale nie na tyle, żeby zmienić mieszkanie i żyć jak kiedyś. To mnie dobija, choć przecież dopiero zaczynam.

Mam oszczędności, ruszone ostatnio na rzecz rodziców. Teraz nie chcę już z nich czerpać. Muszę stanąć na nogi, utrzymać pracę, dotrzeć do końca roku. A co potem? Odetchnę z małą ulgą, że przetrwałam koszmarny okres. I wejdę w kolejny, również koszmarny.

Życie za bardzo kojarzy mi się z udręką. Ale może kiedy Aśka i Kamil wyjdą ze ślubnych wojaży, znów będziemy mieć dla siebie więcej czasu. Będę trenować. Może zacznę lepiej zarabiać albo znajdę inną robotę. W końcu coś się wydarzy.

Kupiłam sukienkę na wesele. W ogóle mi się nie podoba. Trudno. We wszystkim wyglądam średnio, więc co za różnica. Czuję się ostatnio brzydka. Randki nie pomagają, wręcz przeciwnie.

Piękno uzależnione jest chyba od tego, kto patrzy. A oni, stado dziwaków, nudziarzy lub zarozumiałców, widzą kogoś całkiem innego, niżbym chciała.

Jesień będzie okropna. Zimna i nudna. Deszczowa, głównie w mojej głowie. Nie żebym się tak nastawiała, gdzie tam. Ale czuję w kościach, że do wiosny albo się doczołgam, albo w ogóle jej nie dożyję. O zimie wolę nie myśleć.

Trzeba jakoś żyć. Za chwilę się ogarnę. Pozbieram, obiecuję. Po prostu bardzo się zmęczyłam. Muszę chwilę odpocząć, stanąć w miejscu, wrócić do świata, w którym było źle, ale przynajmniej spokojnie.

Jeżeli marazm jest zły, tym razem muszę wybrać zło. Muszę na powrót zamienić dni w rutynę. To przyniesie ukojenie.

Wypływam na spokojniejsze wody. Wstaję rano, biegam. Czasem idę na basen. Potem do pracy. Po pracy mam trening. Czasem Asia i Kamil chcą się spotkać. A czasem, ku mojemu zdumieniu, zaprasza mnie do siebie Inga. Tylko mnie, bo – jak mówi – Ewa ma teraz dziwny czas i trzeba dać jej spokój. Wiem coś o tym.

To nawet zabawne. Byłyśmy tak różne od siebie, a teraz... Mam wrażenie, że w jej głowie przejeżdża ten sam pociąg co w mojej. Jeden wielki chaos. Zastanawiam się tylko, co się wydarzyło. A może nic? Może po prostu zaczęła rozglądać się wokół siebie tak jak ja kiedyś? Zobaczyła, że nie otacza jej nic poza samotnością?

*

Kuba nieco zmienił plany. Przyjedzie na tydzień, ale nie przed weselem. Zostanie tuż po. Trochę mi szkoda odwlekać to w czasie, ale trudno. Uczucie rozczarowania rozchodzi się po ciele i szybko mija. Grunt, że będzie. Potrzeba mi jego spokoju, poczucia humoru. Niesamowicie uczepliłam się jego przyjazdu i myśli, że pomoże mi to naładować baterie. Przetrwać ślub, bo choć bardzo kocham Aśkę i Kamila,

to patrzeć na jakiegokolwiek szczęście zamienia mnie w płaczkę. Zdarza mi się rozbe-
czać na widok pary na ulicy. Komédie romantyczne i dramaty są zakazane. Romanse
również. Piosenki o miłości zostały wykasowane z repertuaru. Omijam temat albo ra-
czej temat omija mnie.

Dni płyną, a ja pozwalam się im nieść. Fajnie tak po prostu sobie trwać w cza-
sie. Bezpiecznie. Bez wysiłku. Może z pominięciem tego, że codzienna próba unika-
nia samej siebie to spory wysiłek.

Ewa

Sobota rano. Budzę się we własnym łóżku, na dodatek w piżamie. Ja pierdołę. Mam to uznać za krok ku nowemu życiu czy jednak za wielką porażkę?

Pytanie na śniadanie jest takie: co mam dzisiaj ze sobą zrobić? Kiedyś poszłabym do klubu, potem spędziła z kimś noc, a niedzielę przespała. To był najlepszy plan i sama się zastanawiam, czemu przestał mi się podobać. Szlajanie się samej po klubach już mnie znudziło. Jeżeli się z kimś umówię, znowu będzie bzykanie, a na razie muszę zawiesić ten cały burdel i zobaczyć, co będzie.

To może zaczniemy dzień po prostu od kawy. I jajeczniczy.

Zajebista myśl. Wstaję, jeszcze zamroczona snem, zaliczam toaletę i myślę już o filiżance mocnej kawy. Pierwszą piję parzoną, dopiero potem zaczynam myśleć i funkcjonować.

No ale tego się nie spodziewałam. Czy raczej jego.

W mojej kuchni o dziesiątej rano stoi mężczyzna. Wysoki, barczysty. Nieco za bardzo zarośnięty. Na nosie panoszą się okulary. Gdybym miała go określić jednym słowem, powiedziałabym, że to trekkingowiec. Ktoś, kto lubi wyjść rano z plecakiem i udać się na spotkanie z przygodą. Ktoś, kto weekendy spędza na górskich wyprawach lub na rowerowych trasach.

Znad krzaczastych brwi rzuca mi zagadkowe spojrzenie, ale w końcu się uśmiecha i mówi:

– No, no! Jest we własnej osobie. Ewa, nie mogę się mylić, prawda?

Szybko kojarzę fakty.

Kuba. Kuba, wesele, zaczynam kapować. Cześć.

Zajebicie. Zamiast poużalać się nad swoim losem w sobotni poranek, będę musiała znosić towarzystwo obiężyświata. Myślę, czy się nie wycofać, ale przecież jestem we własnym domu.

– A Hanka gdzie?

– Zaczęła się już robić na bóstwo. Sama rozumiesz. Muszę pokornie błagać cię, abyś zgodziła się na moją obecność w kuchni. – Znowu rzuca mi nieco wyzywające spojrzenie, w którym nie ma prośby, a raczej pytanie w stylu: „Chyba nie wyjdiesz na idiotkę i mnie nie wyrzucisz?”.

– Hm. Jeżeli zrobisz dwie kawy, to spoko. Jakoś wytrzymam.

Siłą rzeczy się uśmiecham. Podoba mi się jego przekora w głosie. Może to i lepiej, że tu jest. Sobota się zaczęła, a im szybciej zleci, tym lepiej.

– Hanka sporo o tobie opowiadała.

– Uuu, no to mogę się domyślać, że masz mnie za dzirę i wredną sucz?

To zdanie samo się wymyka i nawet mi głupio. Kuba się śmieje i łatwo poznać, że dokładnie coś takiego usłyszał.

– Hanka po prostu opowiadała, że nie boisz się śmiało poszukiwać faceta. Nie oceniam tego, bo jeszcze cię nie znam. Przyznam jednak, że mam pietra przed spa-

niem na kanapie.

O skubany! I to jest rodzina Hanki?! Koleś ma charakterek i muszę się zastanowić, czy mi się to podoba.

– Dobieram się tylko do tych, którzy mi się podobają. Więc nie bądź taki do przodu.

– No dobrze. Kajam się, a kawa właśnie do ciebie wędruje. Zapytałbym, czy zrobisz dla nas śniadanie, ale rozumiem, że jako wyzwolona nie zwykłaś przygotowywać mężczyznom śniadań.

O kurwa. Pogrywa ostro, a mnie riposty sypią się jak z rękawa.

– To ty wtargnąłeś do mojej kuchni. Skoro więc wiesz, gdzie jest kawa, jajka też znajdziesz. No chyba że zapomniałeś nawet o swoich własnych.

– Prosisz o jajecznicę? Dla siebie zrobię, a wbiecie dodatkowych dwóch jaj nie będzie problemem.

– To poproszę. Zależy też, jaką robisz.

– Czystą i średnio ściętą.

– To moją wykonaj osobno. Z szynką i mocno ściętą.

Uśmiecha się z przekąsem i lekko kręci głową.

– Jestem intruzem, więc niech będzie. Muszę się wkupić w łaski, nie mogę cały tydzień mieszkać tu na krzywy ryj.

Jajecznicę faktycznie się robi. Kuba nie pierwszy raz rozgrzewa patelnię, to widać. A jajecznicę wygląda bosko. Ten poranek zaczyna się robić coraz ciekawszy. Niespodziewanie siedzę we własnej kuchni z dzikusiem, jem śniadanie i piję kawę. Nadal w piżamie.

*

Godzina zlatuje szybciej, niż można w to uwierzyć. Nagle podskakujemy z Kubą na dźwięk słów Hanki:

– O, Ewa, wstałaś już? Długo tak siedzicie?

Wygląda naprawdę ładnie. Makijaż też inny niż zwykle. Długa, czarna sukienka przypomina bardziej wieczorową niż weselną, ale do twarzy jej w tym fasonie. Tylko mina nie pasuje. Cóż ją tak rozjuszyło? Nie mogę w mojej kuchni rozmawiać z jej bratem?

A no tak. Skoro tyle mu o mnie naopowiadała, to pewnie naprawdę się boi, że go w nocy zgwałcę. A może nie w nocy, może rzucę się na niego już teraz?

– No, dzień dobry. A no, wstałam i nawet jestem po śniadaniu. Kuba świetnie sobie radzi. Tobie też ma zrobić?

– Nie, dziękuję.

– Już się przebrałaś? Jeszcze czas.

– Chciałam, żebyś ocenił. Źle się czuję w tej kiece.

O, ja pierdołę, co ona taka marudna? Źle się czuję, bla, bla, ocal mnie, Kuba. No dobrze. Postarajmy się zrozumieć, miała trudny czas, może sobie trochę ponarżać. Tylko niech zetrze z twarzy ten wyraz wściekłości. To śmieszne. I żalotne.

– Wyglądasz przepięknie. Dobrze, że to czerń, bo mogłabyś przyćmić pannę młodą! – Kuba wydaje się niezrażony, a Hanka uśmiecha się i przewraca oczami.

– Czyli pani tylko przyodzieje sukienkę i możemy jechać na małą kawę, a potem lekki obiad?

– Tak. To zaraz będę.

Hanka odwraca się, ale widzę, że nie leży jej moja obecność przy Kubie. Ojejku. Jaka z niej strażniczka moralności. Boi się, że skrzywdzę chłopaka z Podlasia?

Mam ochotę im powiedzieć, żeby wzięli mnie ze sobą. Tak, chętnie spędziłabym z kimś czas. Myśl o weekendzie w czterech ścianach wyprowadza mnie z równowagi. Widzę, że Kuba doskonale rozpoznaje moje potrzeby, ale Hanka jest ważniejsza. Hanka chce pogadać i zrzucić tonę balastu.

– Dzięki za śniadanie, pewnie zobaczymy się jutro – rzucam.

– Jasne, że tak. Jutro gotujesz. Obiad dla naszej trójki. Nie ma poprawin, więc będziemy głoodni!

Obiad dla trójki. W głowie zapala mi się pewna lampka. Pojadę na długie zakupy. Zjem na mieście. Potem wrócę i pierwszy raz w życiu upiekę ciasto.

O kurwa, zamieniam się w Inge.

Nie. To po prostu pochłonie czas, a ja jutro na serio zrobię obiad i zaskoczę mądralińskiego Kubę deserem. Ha!

*

Plan jest dobry i trzyma się kupy. Zasada jest taka, żeby jak najmniej czasu spędzić sam na sam ze sobą i jak najmniej myśleć. Galeria handlowa staje się moim terenem. Muszę kupić formę i mikser. Nie mam też żadnych składników na ciasto. Na wypiekach znam się jak kot na kwaśnym mleku, ale od czego jest Internet? No i jutrzejszy obiad. Uczepiłam się tej myśli jak głupia. Ale dlaczego nie? Co złego jest w gotowaniu, przecież to sztuka!

W koszyku rośnie arsenał produktów. Będę musiała dwa razy obracać do samochodu! Trudno. Plan jest.

Kiedy wracam do domu, jest już osiemnasta. Doskonale. Włączam piekarnik i zabieram się za ciasto czekoladowe z gruszkami. Już po chwili absolutnie każdy centymetr kuchni tonie w czekoladzie, mące i mleku.

Kiedy jednak po ostrej walce w piekarniku łąduje ciasto, pękam z dumy. I padam na pysk. Piję wino, jestem zadowolona.

Brawo, Ewa! Brawo! Zostałaś w domu. Żadnych facetów i bzykania. Zdałaś test i, do kurwy nędzy, zrobiłaś ciasto. Jutro będzie obiad! Wcale nie jesteś na społecznym dnie.

Rozdział 53

Hania

Znam pewną piosenkę. Rozbrzmiewa mi w uszach od rana.
*Nie, już nie płaczę, bo dziś nie mam więcej łez
Jak tu płakać, skoro dziś wesele jest*

I do tańca cudnie grają

Goście brzuchy napętniają

Ale nikt z nich nie wie, że

Że to pogrzeb jest²⁰.

20 Kayah i Bregović, *100 lat młodej parze*, [w:] *Kayah i Bregović, Zic Zac*, 1999.

Kayah nie śpiewa o mnie, bo ja nie Kocham się w panu młodym i nie będę płakać z zazdrości. A jednak idealna para, którą znam od lat, powie sobie TAK. Uświęcą swoją piękną miłość. A potem będą szczęśliwi. Pomyślą o dzieciach. Będą mieli życie wypełnione sensem po brzegi. Kiedy pojawi się na świecie maleństwo, dla mnie nie będzie już czasu. Będę ciocią, będę mogła pomagać, ale zejść na plan trzeci. Już tam jestem, ale odrobinę się oszukuję. Troszeczkę.

*

Kuba przyjeżdża rano. Kiedy go widzę w drzwiach, na dzień dobry ryczę. Tak czekałam na jego przyjazd! Jedyna osoba na świecie, przy której mogę być sobą. Dzięki ci, Boże, że choć jego mi dałeś.

Ostatnio zastanawiałam się, czy nie zrobić rewolucji i nie wrócić na Podlasie. Otworzyć coś małego, być blisko Kuby, olać wielki świat. Tylko że Kuba się kiedyś ożeni. Będzie miał rodzinę, a ja nie mogę wiecznie liczyć na wsparcie. Muszę sama stawiać kroki. A Podlasie stałoby się pułapką. Tylko ja i wielkie nic. Lepiej tonąć w cywilizacji.

Idę się malować. Inaczej niż zazwyczaj, chcę wyglądać jak najlepiej i zakryć jak najwięcej. Kupiłam komplet kosmetyków, wszystko wodoodporne. Tusz do rzęs, kredka do oczu. Byleby tylko nic ich nie zmyło. Kiedy kończę dzieło i idę do kuchni, nie spodziewam się, że zaraz pożałuję przyjazdu brata.

Słyszę rozmowę. Słyszę Ewę i Kubę. Nie podoba mi się to.

Wkraczam. Zastaję ich przy śniadaniu i kawie. Tak, to doskonałe słowo: ZASTAJĘ. Czuję się dziwnie obco, jakbym przeszkodziła w schadzce.

Nie, nie, nie. Niech się Ewa trzyma od niego z daleka. Prędzej umrę, niż pozwolę harpii dobrać się do Kubę. Niech tylko spróbuje, a rozszarpię ją na drobne kawałki!

Na to w sumie nie wpadłam. A jednak ryzyko jest. Ewa, ostatnio domatorka, zamysłona nimfa. Kuba nie da się nabrać, wiem. Jednak życie potrafi zaskoczyć...

*

Kościół jest kameralny i wygląda pięknie. Gości jest sporo. Wszyscy czekamy na nich. Nie byłam na ślubie od lat. Celebrowanie i uświęcanie miłości. Idealna impreza dla kogoś takiego jak ja.

W końcu się wyłaniają. Piękni, uśmiechnięci, idealni. Wzdycham z zachwytem. Tak dobrze ich znam, a mam wrażenie, jakbym podziwiała zupełnie obcych ludzi.

Trzymam się całkiem nieźle, aż do przysięgi. Wtedy łyzy same wyskakują z oczu i zdaje się, że słyszę zupełnie inne słowa niż wszyscy.

Czy ty, Hanno, wiesz, że nikt nigdy nie będzie ślubował ci ani miłości, ani wierności i że będziesz sama aż do śmierci? Czy ty, Hanno, wiesz, że nie zostaniesz niczyją żoną, bo nikt nie będzie w stanie cię pokochać?

Amen.

*

Hej, wesele! Trzeba się bawić! Cieszyć! Jest tak cudownie. Mam mętlik w głowie. Szampan wydaje mi się gorzki, a tort mdły.

Wokół wirują pary. Niektórzy czekają na swoje śluby, inni są małżeństwem od wielu lat. Wszyscy myślą, że Kuba to mój chłopak. Niech tak zostanie.

Kuba dwoi się i troi. W końcu między kolacją a oczepinami udaje mu się wyłuskać ze mnie nieco imprezowiczki. Na jego prośbę staram się rozluźnić na parkiecie. Kwaśne wino w końcu zamienia się w promile. Szumi mi w głowie.

Aśka i Kamil porywają mnie do weselnego kręgu. Muzyka wyje, goście są mocno rozbawieni, będą tańczyć do bladego świtu. Ja też tańczę. Hej, ho! Robimy piękne, zgrabne kółeczka. Jest gorąco, choć klimatyzacja pracuje na pełnych obrotach.

Ponad dźwiękami, gwarem, stukotem naczyń przedzierają się myśli. Jutro przyjdzie nowy dzień. Potem kolejny, następny. Cały ciąg. Będę chodzić do pracy, trenować. Zadowalać rodziców, wszystkich ludzi wokół. Nie okażę im słabości i nikt nawet nie zauważy, że umieram od środka. Jak mają usłyszeć wołanie, skoro nie wypuszczam go z siebie?

Ktoś bierze mnie za rękę. To Kuba, prowadzi mnie do stolika.

– Jedziemy do domu.

– Nie było jeszcze oczepin.

– Ciebie i tak tu nie ma. Zniknęłaś gdzieś zaraz po przysiędze. Chodź. Aśka i Kamil zrozumieją.

Kuba zamawia taksówkę. Tyle myślałam o weselu, a ono nagle się kończy. Tak po prostu. Już po imprezie! Oj, dana, dana. Pobawiła się, popiła, pojadła.

W aucie nic do siebie nie mówimy. Czekam na sen. Dawno tyle nie piłam. Dawno nie byłam na ślubie.

– Jutro będzie fajnie. Posiedzimy, odpoczniemy. Może wieczorem skoczemy do kina? O nic się nie martw.

Nawet nie odpowiadam na słowa Kuby. Miło, gdy ktoś o mnie dba. Tak, jutro będzie fajnie. W końcu musi być fajnie. Właśnie teraz przysięgam sobie, że nie za miesiąc, dwa, ale już, teraz. Nie wiem, co zrobię, ale jeżeli mam planować przygnębiającą jesień, to lepiej zasnąć i się nie budzić.

W domu jest cicho. I pięknie pachnie. Staję zdziwiona. Może pomyliliśmy mieszkania? Nieważne. Grunt, że jest łóżko. Jestem bardzo zmęczona. Zасыpiam niemal od razu.

Ewa

Jest ciemno i cicho. Włącza się mózg. Jak zawsze błyskawicznie bada przestrzeń. Gdzie jestem? Z kim? Gdzie mam pójść? Jaki jest dzień tygodnia?

Otwieram oczy. To mój pokój. Moja sypialnia. Jest niedziela rano. Dochodzi ósma.

Poduszka jest mokra. Od potu, łez czy śliny?

Nie czuję się najlepiej. Oddycham z trudem. Duszno.

Wstać czy nie wstać?

Wstać. Natychmiast, ale nie gwałtownie.

Siadam na łóżku i staram się pomyśleć. Spałam bite dziewięć godzin. Królowa klubowych parkietów i bogini seksu poszła spać o dwudziestej trzeciej, upiekłszy wcześniej ciasto i udusiwszy wołowinę w czerwonym winie. Pewnie dlatego tak mi niedobrze. Od robienia nowych rzeczy, które nie są wpisane w moją naturę.

Wody. Wody, potem kawy. Nie jestem ani zaspana, ani nieprzytomna. Czuję się rześko i fatalnie zarazem.

W mieszkaniu wciąż unosi się piękny zapach moich wczorajszych kulinarnych podbojów. I jak się okazuje, lis nie ma zamiaru czekać. Bezczelnie, bez cienia wstydu i zażenowania, żre moje czekoladowe ciasto, stojąc pośrodku kuchni i przeglądając babski magazyn.

– Dzień dobry! – Pożeracz ciasta podskakuje na krześle. Mój głos roznosi się echem.

– Aaa, mogłem się spodziewać. Dzień dobry. Ewa, nie wiem, jak mam się pokajać, ale to ciasto jest tak pyszne, że musiałem spróbować. Takie rzeczy chowa się przed facetami, najlepiej w szafie, gdzie rzadko zagląдают.

Mogę tylko zamrużyć oczami. Dociera do mnie tyle, że ciasto jest zajebiste. Moje pierwsze w życiu.

– Jeżeli zrobisz mi doskonałą kawę, jestem skłonna wybaczyć. I jak to się dzieje, że drugi dzień z rzędu spotykam cię w mojej kuchni?

– Wcześniej wróciliśmy. Hania źle się poczuła.

– Nie wciskaj mi kitu.

– W każdym razie ja jestem rannym ptaszkiem. A tu taka niespodzianka. Ciasto i gazeta... Żyć nie umierać w tej Warszawie.

Kuba zachowuje się bardzo swobodnie. Jakby znał to miejsce od zawsze. Nawet nie szuka kubków. Wie, gdzie leżą, i wie, w którym zawsze piję kawę.

– Podać ciasto? – pyta, a ja czuję, że zły nastrój zaczyna mijać.

– Poproszę.

I kaweczka, i ciasteczko, i ploteczki. Niedzielny poranek w kuchni. Chyba tak wygląda normalne życie. Połowy ciasta już nie ma. Moje ego pęka z dumy. Ewa, ty to potrafisz. Gospodyni jak się patrzy!

*

Hanka na mój widok ma minę, jakby ktoś jej podał szklankę octu. Co się dzieje? Głupia gęś boi się, że uwiodę Kubę.

Kuba to nie mój typ. Zawsze unikałam takich facetów, kojarzą mi się z wydawaniem kasy na głupie wyprawy, włóczęgiem się po wsiach i myśleniem o sobie.

A nawet jeżeli już, jeżeli coś mi do głowy strzeli, niech ona sobie nie myśli, że będzie mną zarządzać. Jednak przekaz płynący z jej oczu jest tak ostry, że robi mi się gorąco. „Każdy, tylko nie ten. WARA!”

Nigdy jej takiej nie widziałam. Spoglądam na to zmarnowane stworzenie od wielu miesięcy i jedyne, co dostrzegałam wcześniej, to przygnębienie, smutek, brak energii.

Teraz patrzy na mnie kobieta, która na samą myśl o tym, że mogłabym ruszyć kogoś bliskiego dla niej, pała żywą nienawiścią.

Nie wiem dlaczego, ale wcale nie chcę, żeby ona mnie nienawidziła.

– Hanka, co ty masz taką minę? Zrobiłam ciasto. I obiad. Dla was.

– Ewa, w co ty grasz?

U la, la! Ostro jedzie!

– Nie rozumiem.

– Już drugi raz widzę, jak świergoczesz z Kubą w kuchni. Przy śniadanku.

– Hanka... – Kuba bardzo chce powiedzieć więcej, ale chyba widzi, że nie ma szans.

– To od teraz jest jakiś zakaz jedzenia śniadania w kuchni? – Mój głos twardnieje. Czuję, że muszę podjąć wyzwanie. Nie będzie mi Faustyna dyktowała, co mam robić.

– Posłuchaj mnie uważnie – przemawia dziwnie niskim tonem. – Trzymaj się od niego z daleka. Nawet nie waż się go tknąć.

– To ty posłuchaj – tym razem Kuba atakuje i nie ma litości. – Będę jadał śniadania i pijał kawy, z kim mi się podoba. Rozumiesz, Hanka? Słyszysz mnie dobrze? Jestem dorosły. Poradzę sobie i nie musisz mnie chronić. Tak??

O kurwa, sytuacja jak z kiepskiej telenoweli.

Hanka spuszcza wzrok. Odrobinę mięknie.

– Dobra, przepraszam, to było niepotrzebne. Ja... po prostu nie wiem, co się ostatnio dzieje. Z tobą, Ewa, też jest coś nie tak i nie wiem, jak reagować. To tyle.

Może powinniśmy się rozejść po dramatycznej scenie, ale – jak w zwytej rodzinie – udajemy, że nic się nie stało, i pijemy razem kawę. Hanka nieco się rozchmurza, a ja odpływam myślami.

Ta mała, chuda zołza ma szósty zmysł. Wyczuwa mnie błyskawicznie. W dochodzeniu do pewnych wniosków jest szybsza ode mnie! Nietrudno zauważyć, że coś się w moim życiu zmieniło. Jednak ja sama jeszcze nie przyznałam, że Kuba ma w sobie coś, co mnie przyciąga.

Przyciąga inaczej niż kiedykolwiek.

Facetom takim jak on nie dawałam szansy nawet w przedbiegach. Jednak im dłużej na niego patrzę, im dłużej z nim rozmawiam, tym bardziej czuję, że kogoś takiego jeszcze nie znałam.

Bije od niego dziwna siła. Nęcąca opiekuńczość, ale równocześnie stanowczość. On cały wydaje mi się obietnicą. I szczerością, bo od momentu, jak go pozna-

łam, cały czas jest sobą. Sobą w całości.

Co z tym zrobię? Nic. Zerkam na Kubę, a on na mnie. W jego oczach znajduję nutę rozbawienia i przekory. Nie potrafię wyczytać, czy również zainteresowania moją osobą.

I tak oto Ewa, piekąca ciasta i gotująca obiady, musi się zastanawiać, czy facet, całkiem zwyczajny, ziemski facet, raczy na nią spojrzeć.

Sama nie wiem, czy to dno, czy przełom. Postanawiam spokojnie zbadać sprawę. On i tak będzie tu zaledwie przez tydzień.

Hania

Wstyd mi za mój wybuch, to było silniejsze ode mnie. Niech suka nie myśli, że może skrzywdzić Kubę. Czy biorę pod uwagę, że on może mieć ochotę na przelotny romans?

W dupie to mam. Jeszcze tego by brakowało w mojej beznadziejnej układance, żeby mój brat włąził w paszczę lwa. Nie godzę się na to! Muszę się uspokoić.

Pijemy więc kawkę i siedzimy. Pomysł obiadu z Ewą przeradza się we wspólną kolację, a my całe szczęście wychodzimy z domu.

Dopiero kiedy promienie słońca muskają moją twarz, przypominam sobie o weselu. Już po wszystkim. Oddycham pełną piersią.

Chcę ten tydzień spędzić inaczej. Chcę zapomnieć o wszystkim, nacieszyć się bratem, połączyć po Warszawie.

W pracy biorę tydzień wolnego na tak zwany krzywy ryj. Jestem nowa, a już mi się urlopu zachciało. Jednak zgodzili się na to, tuż po rekrutacji, więc nie przejmuję się niczym.

Kuba działa na mnie jak balsam. Czuję, że będzie lepiej. Czuję, że wyjdę z tego cholernego otępienia, muszę tylko naładować baterie.

– Hanka, może idź do psychologa. To były cholernie trudne miesiące...

– Chyba lata.

– Zawsze było źle?

– To chyba ja to wszystko źle zaczęłam. Nie wiem. To znaczy wiem. Wzięłam na bary, ile się dało, i w końcu musiałam się przewrócić. Zaczynam fikсоваć. Nie umiem sobie wybaczyć. Nie umiem się uspokoić. Myślałam o pomocy, może pójdę. Może po tym tygodniu...

– A z Ewką to o co chodziło?

– Po prostu wolę dmuchać na zimne. Ona potrafi złamać każdego. Jak wpadniesz, może cię to słono kosztować.

– Siostra... Wyluzuj. Martw się teraz o siebie, postaraj się rozjaśnić mroki Morrri i zacząć cieszyć się życiem. Kapujesz? Pamiętasz jeszcze, jak to się robi?

Nic już nie pamiętam i kończymy trudną rozmowę. Kiedy wracamy do domu, widok Ewy w ładnej sukience i pięknie nakrytego stołu skutecznie psuje mi humor. O tak. Ona wytacza działa, a ja będę musiała na to patrzeć.

To scena jak z dramatu Mroźka. Siedzimy sobie przy stole. Ona, ja, on. Jemy kolację. Rozmawiamy. Każde z nas wycięte z innego świata. Każde upycha w głowie swoje lęki, pragnienia, obsesje i choroby. I choć mogłabym to zaakceptować, patrzeć na to przez palce, zrozumieć, że każdy żyje swoim życiem – wiem, że coś się kończy.

Widzę, jak Ewa patrzy na Kubę.

Widzę, że Kuba nie pozostaje obojętny.

Wiem, że ona zostawi na nim ślad, zada cios.

Wiem, że on się pozbiera, że będzie dobrze, jest bardzo silny.

Ale brzydzi mnie ta myśl. Nie mogę znieść tego, że Kuba, dobry, najlepszy, wyjątkowy, dosłownie za chwilę skała się jej brudem.

A może się zakocha? Może będzie cierpiał o wiele bardziej, niż mu się wydaje, i to złamie całe jego życie?

Ocknij się, myśl, Hanka! Co ci do tego? Czemu tak się boisz? Jaka jest w tym twoja rola?

Nie wiem. Wystarczą jednak projekcje wyobraźni, by robiło mi się duszno i niedobrze. Nie czuję smaku jedzenia ani też nie docierają do mnie dźwięki.

Może to wszystko tylko mi się wydaje. Może między nimi nie iskrzy. Kuba wyjedzie, ja wrócę do pracy. Wszystko będzie spokojne, a ja pograżę się w stagnacji i będę sobie żyła. Dzień za dniem.

Będę chodziła na randki, spotykała idiotów i prostaków. Potem w końcu któregoś wybiorę albo on wybierze mnie. Tylko będzie już za późno. Będę tak zgorzkniała, tak zaprzepaszczona, tak zmęczona, że nic nie będzie w stanie mnie uratować.

– Hanka? Jesteś? – głos Kuby w końcu przedziera się przez odmęty czarnych myśli. Co my tu robimy? Razem, przy tym stole, siedząc przy kolacji jak troje zwykłych szczęśliwych ludzi? Czy tylko ja cuchnę tutaj jak rozkładające się ciało?

– Jestem. Jakoś tak trudno mi się oddycha.

– Zobaczmy razem film? – pyta Ewa niewinnie, jakby wspólne siedzenie na kanapie było codziennością.

Zobaczmy film, zjedzmy razem śniadanie. Będzie fantastycznie! Scena się obraca. Czas na kolejny akt. I zmianę dekoracji.

Rozdział 56

Ewa

Cały tydzień trzyma go blisko siebie. Oka z niego nie spuszcza. A im bardziej pilnuje, tym większa pokusa.

Kuba nie wie, co ma robić. Działamy instynktownie. Siła przyciągania jest ogromna. Nigdy czegoś takiego nie czułam.

Wdarł się do moich myśli. Zakotwiczył się w fantazjach. Jest blisko, a równocześnie nie mogę tak po prostu sięgnąć i wziąć, czego pragnę.

W poniedziałek budzę się o szóstej. Serce wali mi jak młotem. Nie myślę, gdzie jestem, z kim, po co. Przytomna jak nigdy przedtem, od razu biegnę do kuchni. I nie myślę się. Jest tam.

I tak co rano. Jak dwoje zbiegów, potajemnych kochanków.

Wszystko jest pierwsze. Tak świeże i nowe, że dławię się tym, jakbym wpychała w siebie garściami rozkoszne jedzenie.

Kuba nie chce mnie dotykać. Nie uwodzi. Nie wykonuje nieprzewidzianych gestów.

Słucha. Rozmawia. Pyta.

W jego oczach i głosie czuję szczere zainteresowanie. Otwieram się tak łatwo i szybko, że ze wstydu moje policzki aż płoną.

Wystarczą dwa poranki w jego towarzystwie, by opowiedzieć mu o rodzicach.

– Myślę o nich przez ostatnie tygodnie. Nie wiem, kurwa, jak przestać. Nie było ich w mojej głowie przez kilkanaście lat. A teraz nagle wszystko się zjechało. Zaczynam wracać wspomnieniami i szukać samej siebie. Tej Ewy, która chyba gdzieś utknęła. Została ta, co chciała przejść przez życie jak lodołamacz. Ale ja nie jestem, kurwa, ani lodołamaczem, ani suką, ani twardą babą.

– No to na czym stanęło? Kim jesteś?

– Nie wiem, chyba nikim.

O, ja pierdołę. Łzy. Znowu. Chcę, żeby Kuba mnie przytulił. Chcę poczuć, jak to jest, kiedy ktoś koi ból i wspiera. On jednak wyciąga tylko rękę i unosi mój podbródek.

– Dużo tego syfu. Na raz tego nie przeskoczysz. Nawet nie próbuj. Potrzeba czasu. Więcej niż byś chciała.

– Nie mam, do chuja, czasu! Już dużo straciłam!

– A kto ci powiedział, że praca nad sobą to zmarnowany czas?!

– Zanim wyjdę na prostą, będę na emeryturze.

– Jak ty to wszystko masz dobrze rozplanowane... – kwituje.

Uśmiecham się gorzko.

*

Pięć poranków, pięć rozmów. Hanka dwa razy przyłapuje nas na gorącym uczynku. Wkurwia mnie ta jej kwaśna mina i nienawiść. Uważa mnie za gorszą. Niewartą. Niegodną. Mogłam się tego spodziewać po Faustynie. A jednak doprowadza mnie do szału. Kuba studzi mordercze zapędy.

– Zostaw ją. Nie jest teraz sobą. Ma trudny czas.

– Wszyscy mamy!

– To moja siostra i mam prawo współczuć jej bardziej niż innym. Ok?

Zazdrość dławi mnie niesamowicie, ale nie mam wyjścia. Niech mu będzie.

Czas pożegnania przychodzi bardzo szybko. Mogę sobie pogratulować, właśnie dokonałam czegoś, co wydawało mi się niemożliwe.

Pięć dni blisko mężczyzny i... nic. Żadnego seksu. Żadnego pocałunku, flirtu. Jestem czysta jak dziewica.

Przytula mnie na pożegnanie i znika ze słowami: „Odezwę się”.

Trzymam kurczowo telefon przy sobie. Po dwóch godzinach dostaję SMS-a.

Właśnie zatrzymałem się na stacji. A ty jak? Odpoczywasz?

Hania

Pojechał. Czuję ulgę. Mogę zacząć oddychać.

Robię sobie kawę. Tylko kawa może mnie uratować. Mocna, czarna, bez cukru.

Gdzie Kuba schował puszkę? Szukam. Otwieram szafkę i znajduję nie tylko kawę. Leży tam również zdjęcie. Patrzą i wydaje mi się to podejrzane. Wygląda bardziej na fotografię z magazynu modowego, ale... to foto wywołana w tradycyjny sposób.

Mężczyzna, który na niej widnieje, jest uderzająco przystojny. Niesamowicie męski, pociągający, czarujący. Patrzy śmiało w obiektyw.

– To Rafał. Mój były.

Ewa stoi za mną z telefonem w ręce.

– Co z nim zrobiłaś?

– Nic. Rozstaliśmy się i tyle.

Jasne. Prędzej uwierzę we wróżki niż w to, że zostawiłaś go w spokoju. Nie mógł wyjść z tego bez szwanku.

Chyba zdołałam ją znienawidzić w ciągu tego tygodnia. Ale jestem już spokojniejsza. Jej zasięg się zmniejszył. Mnie nic nie robi.

Wychodzę. Mijam ją bez słowa. Nie udaję, nie taję, wyciągam urazę na wierzch. Niech wie, na czym stoi.

W sobotę rano Ewa bierze kluczyki od auta i wychodzi. Dziękuję Bogu za tę łaskę. Wsluchuję się w ciszę, która zalega w mieszkaniu. Jest słodka.

Ten weekend mam zamiar spędzić inaczej. Bez mazgajenia się, bez żalu, bez słabości. Muszę wpompować w siebie życie.

Pogoda wciąż jest przepiękna. Złota jesień każe na chwilę oderwać się od ziemskiego padołu. Czas wrócić do świata i cieszyć się tym, co jest.

Aśka i Kamil zapraszają mnie do siebie. Ochłonęli po ślubie, pora włączyć się do starego rytmu życia. Zgadzam się z chęcią. To moi przyjaciele. Ostatnio zaczęłam o tym zapominać.

Ewa

Zatrzymuję się na poboczu. Muszę się wyrzygać. Jest mi kurewsko niedobrze. Wyrzucam z siebie wszystko, co zjadłam.

Jadę dalej. Jeszcze, kurwa, raz. Znów zaliczam pobocze i wymiotuję. Nie ma czym, ale organizm i tak mnie zmusza.

Nie wiem, po co to robię i dlaczego. Ale ani rzyganie, ani poranna biegunka, ani fale potu, ani mroczki przed oczami nie są w stanie mnie zawrócić. Kierunek: dom rodzinny.

Jestem niesamowicie słaba, ale jakoś przemierzam kolejne kilometry.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Jak to przeżyję, wszystko się zacznie układać. Musi. Muszę tam pojechać, przekonać się, że to, co zostawiłam, było tak chujowe, jak pamiętam. Muszę sobie udowodnić, że wiele osiągnęłam i że mogę żyć inaczej. Muszę zrobić bardzo dużo.

Kuba jest ze mną w kontakcie. Wie, dokąd jadę. Uważa, że to dobry pomysł. Trzeba się z pewnymi rzeczami rozprawić, odzyskać spokój.

A ja chcę odzyskać siebie.

Dom niemal pod Warszawą. Cholernie blisko. Sto kilometrów z hakiem. A jednak od liceum nie byłam tam ani razu. Zero kontaktu, zero wiedzy, zero jakiegokolwiek próby nawiązania więzi. Z obydwu stron. Wydawało mi się, że w mojej głowie i sercu oni wszyscy pomarli. Myliłam się. Muszą tam żyć, gdzieś bardzo głęboko, i psuć mi szyki.

Im jestem bliżej, tym bardziej wali mi serce, a kierownica ocieka potem z moich dłoni.

Nie dam rady. Kurwa, nie dam rady!

Dzwonię do Kuby.

– Ewa, posłuchaj...

– Kuba, nie, nie, nie, nie, nie, nie...

– Zabrnęłaś daleko. Zajrzyj tam tylko. Albo chociaż wejdź na posesję. Nie wiem. Ale daj sobie szansę. Wspieram cię. Ok?

Oddycham panicznie i głęboko. Kręci mi się w głowie. To jak stres przed egzaminem na prawo jazdy, tylko dwa razy większy.

Mała wiocha. Nawet nie miasteczko, nie dla mnie. Nie byłam tu taki szmat czasu, a chyba nic się nie pozmieniało. Może jest trochę ładniej?

Parkuję niedaleko domu. Muszę tam podejść piechotą i spróbować się uspokoić.

Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Nie, nie, nie. Wracam.

Kurwa, czego ty się tak boisz? Co ci zrobią?

Nic. Boję się, że będą mi się śniły po nocach i zwariuję od tego.

Idź. Idź, a potem wróć do Warszawy, zrób sobie pranie mózgu i zajmij się

Kubą. Inaczej utkniesz w martwym punkcie.

Nogi mam jak z waty, ale jakoś mnie niosą. I nagle widzę... Koślawy drewniany płot. Podwórze. Mały garaż i dom. Dokładnie taki sam jak w moich wspomnieniach. Niezbyt piękny. Postawiony na początku lat osiemdziesiątych i niewykończony. Łatany przez kiepskich miejscowych fachowców.

Podwórko, tak jak zawsze, zabałaganione. Czego tam człowiek nie znajdzie... Opony, cegły. Grabie. Drewniany wózek. I buda. Jest pies, nie znam go. Za to on wyczuwa mnie od razu.

Ja pierdolę, mocne wejście. Na sam mój widok wybiega z budy, ujadając tak wściekle, jakbym miała wyrżnąć wszystkich domowników. Powstrzymuje go łańcuch.

Pomimo ogłuszającego jazgotu nikt nie wychodzi.

Wkraczam na ścieżkę. Drzwi do domu są ciągle te same. Zamek jest spieprzony, więc jeżeli nikt nie przekręci klucza, nie domykają się. Teraz też są uchylone.

Nie ma zmiłuj. Wchodzę.

Dom wita mnie znanym zapachem. Nie jest nieprzyjemny, ale bardzo specyficzny: mieszanka woni starych mebli, kurzu i nie wiem czego jeszcze. Panuje półmrok. Ściany proszą się o malowanie. Gumolit na podłodze, niezmienny od kilkunastu lat, razi szpetotą.

Słyszę, jak w pokoju wyje telewizor. Zastanawiam się, co zrobić.

Wybieram opcję z łagodniejszym wejściem. Wspinam się po schodach na górę. Idę do mojego pokoju.

Staję w drzwiach i oczom nie wierzę. Kurz i brud. Trochę gratów, ale poza tym – wszystko jak było. Wysłuzone, otrzymane w darze biurko, niewielkie łóżko, skrzypiąca szafa. Na ścianie został nawet plakat z Leonardem DiCaprio. Nic się nie postarzało.

Nie mam z tym pokojem dobrych wspomnień. Ogarnia mnie wrażenie, że skoro tutaj nic się nie zmieniło, to w środku mnie też został ten sam brud.

Już czas. Schodzę na dół.

Telewizor drze się tak głośno, że mogłabym grać na perkusji, a nikt by tego nie usłyszał.

Wdech i wydech. Wychyl się zza ściany. No wejdź tam i miej to z głowy. Mijam kuchnię. Dobry Boże, wciąż mają stary emaliowany zlew. Poobijany jak nie wiem co.

– Mamo. – Jak to brzmi! Ja pierdolę, nie przypuszczałam, że kiedykolwiek to powiem...

Siedzi na kanapie. Ta sama kobieta, w tej samej pozycji, z tym samym wyrazem twarzy. Dużo starsza. Dużo bardziej zmęczona. Nie od razu mnie zauważa.

– Mogłabyś ściszyć ten telewizor?! – podnoszę głos. Właściwie wrzeszczę. Dokładnie tak jak kiedyś.

Wzrok matki unosi się znad ekranu i w końcu natrafia na mnie. Patrzy zaskoczona. Ręka lekko się trzęsie. Walczy z pilotem. Ale udaje się. Wyłącza głos. Tylko tyle, bo obraz nadal jest. W tym domu od pokoleń telewizor chodzi dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyłączenie dźwięku to wielkie wydarzenie. Jest zaskoczona.

– Ewa! – wykrzykuje. Matka zawsze mówiła głośno. W tym domu wszyscy mówili głośno, bo trzeba było przekrzykiwać warczące pudło.

– Ciszej, słyszę. – Jestem tu ułamek sekundy, a poczułam się, jakbym była raptem wczoraj. To dlatego, że wtedy też prosiłam o to, by się tak do mnie nie drzeć. Nie piłować mordy. Nie drzeć japy.

– Ty tutaj? Co cię przywiało?

Nie wstaje. Nie prosi, bym usiadła. Nie proponuje herbaty.

– Uznałam, że może czas zobaczyć, co u was. Jak... jak ty się miewasz?

– Jak widać. Te rządowe kurwy przebrzydłe targują się ze mną o każdy grosz. Dostaję rentę. Żyję jak pies.

Renta... Matka przez całe życie miała się różnych zajęć. Pracowała najczęściej w miejscowych sklepach. Teraz ma święty spokój.

– A ojciec? Gdzie on jest?

Matka rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Ojciec nie żyje. A ty nawet o tym nie wiesz. Ja pierdolę, córeczka tatusia.

Zdechł. Stary skurwysyn. To moja pierwsza myśl. Dopiero potem dochodzi do mnie szok i niedowierzanie.

– Jak to nie żyje? Zachlał się?

– Nie. Miał raka. Nie żyje od roku.

Idę do kuchni. Znowu uderza mnie, jak wiele sprzętów pamięta lata osiemdziesiąte. Siadam przy drewnianym stole i zamykam oczy.

W tym domu nic mnie nie zaskakuje. Przyjechałam po to, by to zobaczyć. Przypomnieć sobie, skąd pochodzę. Śmierć ojca to nie smutek. To myśl, że los sam zabrał kogoś, kogo ja zawsze pragnęłam usunąć. Wulgarnego, agresywnego, wybuchowego skurwiela, który nieraz obrzydził mi życie. Niech go piekło pochłonie.

Matka staje w drzwiach. Zakłada ręce i patrzy na mnie.

– I teraz co?

– Dlaczego tu jest taki syf? Nie umiesz posprzątać? – Nie wiem, po co zadaję tak durne pytania.

– Przyjechałaś, paniusiu, żeby mi rady dawać? Żyję, jak mi się podoba, a tobie nic, kurwa, do tego.

– Czas na mnie.

– Jasne, że tak. Zawsze był czas na ciebie. Pojechałaś, zostawiłaś ten burdel, a my musieliśmy tu żyć.

– Musieliście?!

O nie. Muszę stąd spierdalać, i to jak najszybciej. Nie zniosę takiego gadania.

– No a jak! Co ci się tak strasznie nie podobało?! Że bieda była? Jak wszędzie!

– Bieda? A może to, że ojciec wydzierał na mnie swój obrzydliwy przepity ryj dzień w dzień?!

Udaje jej się. Tracę nad sobą kontrolę, ale drzwi są blisko. Szatański pies znowu zaczyna ujadać.

– Na ojca nie gadaj! Był, jaki był, ale miałaś co żreć i w co się ubrać!

– Do widzenia!!

Idę ścieżką bardzo szybko, a matka staje na schodach i dalej krzyczy. Wycie parszywego kundla skutecznie ją zagłusza.

Zaraz za furtką skręcam w lewo.

Dom ciotki znajduje się kawalek dalej. Skoro już tu jestem, zajrzę i tam.

Łapię oddech. Serce wali jak oszalałe. Trzęsę się. Adrenalina buzuje we krwi,

nie wiem, jak rozładować napięcie.

Hania

– Hanka, dobry Boże, ty chyba schudłaś. Ty nie możesz chudnąć! Słyszysz?

– Aśka ma rację. Jakaś blada jesteś. Na chwilę cię człowiek zostawi i od razu marniejesz w oczach.

Patrzę na mnie, niby się uśmiechają, ale chyba faktycznie źle wyglądam. A przecież się umalowałam i wystroiłam. Dla nich. Dla siebie też. Chcę porzucić minę pokutnicy i cieszyć się życiem. Prawda?

– Spokojnie. Randki mnie wykończyły, ale robię sobie przerwę.

– Będzie dobrze. Nie szukaj tyle. Im bardziej szukasz, tym gorzej. Tak to już jest.

Zamykam na chwilę oczy. Te słowa zupełnie mnie rozbrajają. Im bardziej chcesz, tym bardziej nie dostaniesz. Wszystko jest na opak. A ty zawsze będziesz chciała. Zawsze będziesz wołać o miłość.

Dobrze, już dobrze. Ma być miły weekend. Miły, więc przestań się truć. Daj sobie chwilę. Weź głęboki oddech. Rozluźnij się.

Wracam bardzo późno. Ewy nadal nie ma. A więc wróciła do starych nawyków. I dobrze. Nowa Ewa miała w sobie dziwny niepokój, który połączył się z moim. Zagęszczenie się złego samopoczucia w tym mieszkaniu zaczęło być groźne dla życia. Niech ona się bawi, a ja będę robiła swoje. Rutyna nie może nas zabić. Może za to przynieść ukojenie.

Kładę się spać. To był dobry dzień. Muszę się go nauczyć. A potem powiełać jak na taśmie produkcyjnej w fabryce. Oby jak najwięcej dobrych dni trafiało do mojego życia.

Rozdział 60

Ewa

Jedna wizyta w tym piekle, a wspomnienia uwalniają się jak rój szerszeni. Atakują zajadłe, nie wiem, jak się bronić.

Ręka ojca była ciężka.

Ręka matki jeszcze cięższa.

Ojej, to żadna patologia. Taki nerwowy dom. Ojczulek był prostym człowiekiem. Trafiła mu się córka, miał być syn. Syna wychowywałyby równie surowo, jeżeli słowo „wychowanie” ma sens.

Dziecko chowa się samo, jak kura w obejściu albo świnia. Ma być przydatne, jak pies w budzie, i potulne, jak karp w wannie.

Nie byłam ani jak kura, ani jak pies, ani jak karp. Czasem zachowywałam się jak świnia. Jak ojciec świni, tak świnia ojcu. Dla mnie zasady były całkiem jasne.

Wolałam ciężką rękę niż uniżenie. Ojciec mógł mnie lać, nawet nie bolało. Gorzej, jak matka się uwzięła. Jakoś tak nie mieściło się w mojej nastoletniej głowie, żeby kobieta ciągała mnie po domu jak chłop. Targała za włosy albo biła po twarzy.

Bicie nie było codziennie. Bicie zawsze było za coś. Pod koniec podstawówki sama lubiłam to „coś” sprowokować. Wolałam dać tym prostakom jakiś powód, żeby wiedzieli, że nigdy się nie poddam.

Znienawidziłam ich wcześniej. Serio, już po komunii, jak tylko zaczęłam rozumieć, że inne dzieci mają lepiej, przejrzałam na oczy. W trzeciej klasie podstawówki nauczyłam się, że ja i oni to dwa osobne światy. Ja mam swój pokój, oni resztę domu.

Czasem musiałam się pokazać. Zejść do kuchni, coś zjeść albo skorzystać z łazienki. Wystarczyło, że ojciec mnie zauważył. Od razu znalazła się dla mnie robota: sprzątanie, koszenie trawy, zrzucanie węgla do piwnicy, pastowanie mu butów albo prasowanie koszuli na niedzielę. Dziecko musi mieć obowiązki, a nie tylko do szkoły chodzić.

Tatusz taki już był. Chłop ze wsi, krzykacz, z niczym się nie ukrywał. I podobną babę sobie wziął za żonę. Mamusia nie była nic mądrzejsza, lubiła podnosić głos i wyręczać się innymi. A jak się dowiedziała, że ojciec lubi mieć panienki na boku, że czasem do miasta na dziwki jeździ, to się wyostrzyła jak brzytwa. Przestała pracować, żeby na płatny seks ojciec nie miał. A on i tak znalazł pieniądze. Czasem pożyczyl, czasem zarobił, czasem z opieki coś na mnie dostali.

Wiedziałam o tym, bo matka nieraz od matkojebców go wyzwała, wystarczająco głośno, żeby proboszcz na plebanii usłyszał. Nic to nie pomogło.

*

Teraz wychodzę z tego domu udręczona. Spędziłam tam parę chwil. Wszystko jest po staremu...

Siostra mojego ojca urządziła się zupełnie inaczej. Dom wygląda schludnie, a na podwórku panuje porządek. To też się nie zmieniło. W porównaniu ze swoim

bratem, ona potrafiła zadbać o gospodarstwo. Każdy grosz wkładała w nowe meble i swoje dzieci. Tylko jedno ich łączyło: obydwoje darli mordę. Taka rodzina.

Drzwi otwiera sama ciotka. Zatyka ją zupełnie. Chyba prędzej spodziewałaby się w drzwiach ducha swojego zmarłego braciszka niż mnie.

– Ewa!

Dla mnie zawsze była uprzejma. Nie jestem jej dzieckiem, więc na mnie nie krzyczała. Kiedy wyjeżdżałam, chciałam utrzymywać z nią kontakt. Potem jednak zdecydowałam, że wykasuję wszystkich. Jeżeli będą chcieli mnie znaleźć, droga wolna. Nie chcieli.

– Myślałam, że już nigdy się tu nie pojawisz. – Zaprasza gestem do środka.

Ten dom także ma specyficzny zapach. Wygląda jednak całkiem inaczej. Na podłodze panele, ściany pomalowane, a meble z obecnej epoki. Widać, że tutaj ktoś żyje.

– Kawy? – pyta machinalnie.

– Nie. – Mam zamiar być tu kilka minut. Ani sekundy więcej, niż potrzeba. – Byłam u matki.

– Zapuszczona kobieta. Trudno. Ona się tak dobrze czuje. – Ciotka wzrusza ramionami. – Jak umarł twój ojciec, mówiłam jej, żeby cię poszukała i ściągnęła na pogrzeb. Ale miała to gdzieś. A ja nie będę ingerować. Mam swoje problemy.

– A jak Ania i Tomek?

– Powyrastali i już dawno ich nie ma. Mieszkają w Warszawie.

No proszę. Moje kuzynostwo żyje tak blisko mnie. Nawet bym ich nie poznała na ulicy.

– Matka ma długi?

– Mój brat zostawił jej co nieco do spłacenia. Ale co oni jej mogą zabrać? I tak nic nie potrzebuje, poza telewizorem.

Kiedy wsiałam do auta, kręci mi się w głowie. Emocje ustępują miejsca uldze i otepieniu. Długo siedzę za kierownicą.

Oni to nie ja. A jednak to jest przeszłość, która depta mi po piętach. Ich krew krąży w moich żyłach. Chwila nieuwagi i moje życie wygląda jak katastrofa.

Nie mam zamiaru szukać mojego ojca na cmentarzu. Na myśl o jego śmierci myślę, że... kurewsko sobie na to zasłużył. Już nigdy go nie zobaczę i nie będę musiała rozprawić się z tym demonem.

Dzwonię do Kuby. Odbiera natychmiast.

Płacę.

Rozdział 61

Hania

Ranek. Otwieram oczy.

Biegam.

Kawa.

Praca.

Siłownia. Randka. Spotkanie.

Kolacja.

Wieczór. Zamykam oczy.

Dni mijają, obracają się jak w wielkim młynie. Są do siebie zaskakująco podobne. Jak płatki śniegu, choć niby każdy inny.

Muszę tylko pamiętać, żeby oddychać. Jestem spokojna. Ale spokój nie przynosi ulgi.

Czuję się zmęczona. Znudzona. Bezsilna. Wplątana.

Nic mnie nie cieszy, nic nie ma smaku.

Wszystko, co się dzieje, jest poza mną. Nie dociera do środka.

Chcę czuć, ale coraz bardziej nie mogę. Ten stan jest gorszy od cierpienia. Cały czas jest tak samo, nic się nie zmienia, jestem więźniem samej siebie.

Czuję, że coś będzie musiało się zmienić. Nie dam długo rady żyć w ten sposób.

Duszę się. Pragnę. Szarpię.

Potrzebuję zmiany. Drastycznej, szybko. Czegoś nowego, co pozwoli mi oddychać.

Jestem na skraju. Patrzę w przepaść i coraz bardziej myślę, że tam na dole może być rozwiązanie.

Skacz, skacz, skacz!

Już prawie. Już prawie się nie boisz.

Ewa

Pamiętam Adaśka. Na zawsze zostanie w mojej pamięci. Przypomnił mi się, jak tylko wyszłam z domu ciotki. Adasiek był ode mnie starszy o rok. Przystojniak. Wysoki dryblas, zawsze mi się podobał. Na początku szóstej klasy zostałam jego dziewczyną. Miał bogatych starych i niezły dom. Jego pieniądze mało mnie interesowały. Podobało mi się tylko to, że po szkole mogę do niego chodzić.

Jego rodzice nie mieli nic przeciwko. Synuś znalazł sobie niezłą dupę. Wiem, że ojciec Adaśka tak myślał, i dlatego sam kupował mu kondomy.

Adasiek do niczego nie musiał mnie zmuszać. Miał chłopak dar, przyznaję. Najpierw bawił się ze mną ładnych kilka miesięcy. Rozbierał tylko do pasa. Pieścił sutki. Całował tak, że odlatywałam. Doprowadzał do spazmów, ale nie posuwał się dalej. W jego pokoju mogliśmy robić, co nam się podobało. Mogłam jęczeć, na partezie nic nie było słychać.

Chciałam więcej. Chciałam przekroczyć barierę, ale Adasiek nie tak to widział. Zaczął mnie rozbierać do naga. Robił ze mną takie rzeczy, że jeszcze teraz, na samo wspomnienie, oddech przyspiesza. Skąd to wszystko wiedział? Nie wiem, nie obchodziło mnie to. Rozkosz była nieziemską. Potrafiłam szczytować kilka razy. Doprowadzał mnie do szału. Badał moje ciało, skanował każdy fragment. Szukał miejsc, które dawały mi największą przyjemność.

Potem szedł się spuszczać do kibla.

Z czasem zaczął zdejmować przy mnie gacie. Musiałam dojść przynajmniej trzy razy, gdy pieścił mnie językiem lub palcem, zanim pozwolił dotknąć przyrodzenia. Byłam rozgrzana jak hutniczy piec.

Sama zaczęłam błagać, żebyśmy poszli na całość. Czułam, że jak tego nie zrobimy w ten sposób, rozsadzi mnie.

Nasłuchiwałam się od koleżanek, że penis za pierwszym razem zada mi ból. No jasne. Byłam w pełni gotowa, a penisa Adaśka znałam doskonale. Nauczyłam się go ssać tak, że on pojękiwał równie głośno jak ja. Przestał latać ze spermą do toalety. Wolał moje usta.

W końcu to się stało.

Ojciec Adaśka głupi nie był. Zaznaczył mu, że żadnej ciąży nie będzie tolerował i że gumki mają być. Staraliśmy się bawić, jak jego starzy byli w pracy. Czasem nie szliśmy do szkoły, cały dzień się nagrzewaliśmy, to były czasy... Praktycznie mieszkałam u niego, większość czasu leżąc nago na łóżku.

W dzień mojej inicjacji było doskonale. Jak zawsze. Zostaliśmy w domu, to był piątek. Kondom poszedł w ruch. Ja też nie chciałam bachora, prędzej bym usunęła, niż urodziła. Pełne zabezpieczenie.

Gdy w końcu poczułam twardego fiuta w środku, wrzasnęłam z przejęcia. Nie pamiętam żadnego bólu. Chciałam tylko więcej i więcej. Mocniej. To była inna zabawa, wyższy poziom.

Musieliśmy spróbować wszystkiego. Stałam się wyrafinowana. Adasiek nie zostawał w tyle. Z biblioteczki rodziców przytaszczył *Kamasutrę*. Podobały mi się te obrazki. Chciałam przetestować wszystkie. Potrafiliśmy rznąć się nawet trzy razy dziennie. Przed szkołą i po szkole. Kiedyś Adasiek mnie zaskoczył. Starzy w robocie, a na wideo, na jego wielkim telewizorze, zapodał porno. Jakość VHS nam nie przeszkadzała, nie znaleźliśmy innej.

Adasiek był całym moim światem. Był zapomnieniem. Ilekroć zaczynaliśmy się zabawiać, nie musiałam już skupiać się na niczym innym. Myślałam tylko o organizmach, które zaciemniały wszystko. Nie potrzebowaliśmy wody, choć barek w jego domu zawsze był pełny. Nasze ciała były lepsze od alkoholu i kokainy. Potrafiliśmy się wprawić w stan nieważkości. Kiedy padaliśmy na łóżko, byłam zbyt podjarana i nasycona, by myśleć o tym, że wcale nie mieszkam u Adaśka, a jedynie pomieszkuję.

Całą szóstą i siódmą klasę przesiedziałam u niego. Adasiek nie był głupi i pomiędzy jednym ostrym numerkiem a drugim znajdował czas na naukę. Mnie też gonił do książek. Śmiał się i mówił, że nie będzie się ruchał z niedouczoną.

A potem nagle, po jakimś razie, powiedział, że idzie na studia. Przeprowadza się do Warszawy. Zacznie medycynę. Będzie rozbierał nie tylko mnie, ale też trupy.

Pokornie czekałam, jak to się wszystko skończy. A skończyło się tak, że spakował manatki i ojciec odwiózł go do stolicy.

Zostałam sama. Trzeba było wrócić do domu.

Byłam w ósmej klasie i już wiedziałam, że będę stamtąd spierdalać, aż się będzie kurzyło. Chciałam jechać do Adaśka, do Warszawy. Zrobić tam liceum, mieszkać z nim i rznąć się na okrągło jak zawsze.

Poszłam do jego ojca. Adasiek się nie odzywał i nie wracał na weekendy. Chciałam zapytać, czy mnie tam zawiezie, gdy już skończę szkołę.

Powiedział, że nie ma sprawy. I dodał, że jak się z nim prześpię, dorzuci małą sumkę na dobry start. Najpierw coś mnie zakłuło, ale potem spojrzałam na to inaczej. To nie był wcale odrażający facet. Wręcz przeciwnie. Synalek odziedziczył po nim urodę. Pan Hirek, bo tak miał na imię, był dobrze trzymającą się czterdziestką piątką. A ja nie uprawiałam seksu od dłuższego czasu i musiałam męczyć się z rodzicami.

Poszliśmy do pokoju Adaśka. Żona była w pracy, pan Hirek chyba wziął urlop na żądanie. Wyglądało na to, że to po nim jego syn odziedziczył niezwykle talent.

Kazał mi się rozebrać. Długo pieścił moje ciało, szepcząc, że jest piękne i cudownie młode. Znów szczytowałam kilkakrotnie, jeszcze zanim zdążył mnie wziąć. Było bosko. Zapomniałam na moment o mordzie ojca i pokrzykującej matce. Sama krzyczałam, ale tym razem dlatego, że było mi dobrze. Znowu byłam na moim ulubionym łóżku. Pan Hirek miał świetne ciało. Wcale nie stare. Siwe włosy na klatce jarały mnie jak mało co.

Potem sypialiśmy ze sobą regularnie. Specjalnie przestawił sobie pracę na godzinę dziesiątą. Żona wychodziła z domu tuż przed ósmą.

Nie chciałam jego kasy. Zrozumiał. Wystarczyło, że mogłam się znieczulać. Odlatywać. Zapominać. Nie byłam nigdy dziwką. Hirka uważałam za swojego faceta.

W końcu, zgodnie z obietnicą, odwiózł mnie do Warszawy. Okazało się, że Adaśka, który wcale nie wracał do domu przez cały rok akademicki, tam nie było... Zmienił uczelnię. Pojechał do Poznania. O mnie jakoś nie chciał słyszeć.

Pan Hirek wynajął mi na całe lato mieszkanie i zostawił parę groszy. Był wystarczająco wpływowy, żeby pomóc załatwić liceum w stolicy.

Te wakacje były jak sen. Mała kawalerka. Cała moja. Bez rodziców, w wielkim mieście. Hirek przyjeżdżał, ile mógł. Żonie wmawiał, że to delegacje. Bzykaliśmy się na moich włościach, a ja myślałam, że tak będzie zawsze.

Jednak pod koniec sierpnia nagle kontakt się urwał. Hirek przestał przyjeżdżać. Pieniądzy wystarczyło mi do końca września. Potem zdałam się na miękkie serca matek moich koleżanek ze szkoły. Szybko zaczęłam pracować. Robota kelnerki w weekendy nie była zła. Wiedziałam doskonale jak wyciągać spore napiwki.

Przetrwałam. W klasie maturalnej odłożyłam na tyle, żeby wynająć sobie pokój. Myślałam o studiach. Było mi dobrze, bo nie musiałam wracać do domu. Stałam się panią samej siebie i byłam za to wdzięczna losowi.

Nigdy nie myślałam o tym jak o patologii. Seks posłużył lepiej niż narkotyki czy wódka. I ostatecznie mnie wyzwolił. Wyrwałam się z domu. Nie zatęskniłam ani razu.

Chyba jednak coś nie zagrało, skoro przeszłość upomina się o swoje. Prędzej sczezną w piekle, niż dam się jej pochłonać.

Hania

Skoro terazniejszość nie daje odpowiedzi, zaczynam grzebać w przeszłości.

Coś musiało nie zagrać bardzo dawno temu. To oczywiste. Zawsze wiedziałam, że zgoda rodziców na wspieranie ich stała się moim grobem. Złożyłam w nim całą moją energię. Oddałam siebie.

Stwardnienie rozsiane u ojca było wyrokiem. Z tym się da żyć, ojciec radzi sobie do dzisiaj. Matka widziała to inaczej. Najpierw czekała na jego śmierć. Nie mogła się skupić na pracy. Pomagała rodzina, wspierali nas miejscowi. Na Podlasiu wszyscy są jak przyjaciele.

W lato wynajmowało się turystom pokój – zawsze jakiś zastrzyk gotówki.

Finanse to była pięta achillesowa moich rodziców. Ilekroć matka dawała mi pieniądze na zeszyty szkolne, przybory techniczne lub nowe buty, widziałam w jej oczach ból.

Kiedy na początku września kupowała komplet podręczników, płakała. Domy budżet nie mógł utrzymać mojej edukacji. W liceum nie brałam od niej nawet złotych.

Miejscowi dawali mi pracę. Sprzątałam pensjonaty, pracowałam w polu, pomagałam w kuchni. Stałam się niezależna, a każdy grosz nadwyżki oddawałam matce. Widziałam w jej oczach gorącą wdzięczność. Nie ukrywała, że moja pomoc jest dla niej cenna.

Opiekowała się ojcem wspianiale. Z miłością i troską. Poświęcała mu sto procent uwagi. Ten układ mi odpowiadał. Każdy miał zajęcie, każdy był za coś odpowiedzialny. Byłam dumna, że godzę ze sobą szkołę, pracę i naukę.

W liceum miałam kilku adoratorów. Co z tego? Nie było czasu na zaloty. Obowiązki czekały.

Jeden chłopak pracował ze mną przy żniwach. Podkochiwałam się w nim. Z wzajemnością. Swój pierwszy raz zaliczyliśmy w stodole. Było fatalnie. Sporo do niego czułam, więc nie narzekałam. Potem spotykaliśmy się chwilę, ale życie się o mnie upomniało. Nawet nie wiem, czy nadal mieszka w okolicy.

Kiedy wyjeżdżałam na studia, czułam ulgę, że odetnę się od Podlasia. Byłam zmęczona. Pracą, odpowiedzialnością, brakiem perspektyw.

W Warszawie przez myśl mi nie przeszło, żeby zaszaleć. O nie. Nie znałam innego schematu. Liczyła się praca, pieniądze odłożone na koncie i czujność, żeby nic się nie zawaliło.

Nie widziałam w tym nic złego. Czułam ciężar. Rozumiałam, że ten układ śmierdzi. Zawsze jednak powtarzałam: to są moi rodzice.

Ojciec milcząco zgadzał się na wszystko. Kocha mnie, wiem to. Czuję. Zapomniał tylko, że odebrał mi życie. Nie poprzez chorobę, ale poprzez brak myślenia.

Nie odważę się na to, żeby ich za cokolwiek winić. Wszystko sprowadza się do tego, że ja sama podjęłam każdą decyzję. Po prostu nikt mnie przed tym nie po-

wstrzymał.

Rozdział 64

Ewa

Wszystko jest inaczej. Bomba wybuchła, zostało pogorzelisko. Ale... Pożar ugaszony. Czuję, jak ostatnie płomienie wygasają i odsłania się przede mną obraz powojennej rozpacz.

Tyle tu pracy, tyle rzeczy do poukładania. Nie wiem, czy w ogóle jestem w stanie się za to zabrać.

Gruzy. Wszystko jest w gruzach, ale też nigdy nie byłam tak pewna siebie.

Patrzę na mój świat, na to, co jest we mnie, i widzę, jak kiełkuje nadzieja. Może jest szansa. Może się odbiję od dna i zaczerpnę kiedyś prawdziwego życia. Z emocjami. Z radością, bólem, odpowiedzialnością, utrapieniem, szczęściem. Z miłością.

Kuba przyjeżdża. W przyszłym tygodniu go zobaczę.

Na samą myśl serce zdradza mnie mocnym łomotem. Czasem mam wrażenie, że Hanka to usłyszy, kiedy stoję obok niej i piszę z nim SMS-y.

Słodką jest nasza tajemnica. Trzeba będzie w końcu jej powiedzieć, ale Kuba ma obawy, to zrozumiałe. Patrzę na nią. Ona jest tu tylko ciałem. Duch wędruje gdzieś, gdzie chyba nikt nie ma wstępu...

A ja się odradzam. Kuba jest wszystkim, co na razie mam. To znakomity początek nowej mnie.

Jest każdym moim uśmiechem. Jest nadzieją. Jest budzeniem się rano i zasypianiem. Jest poranną kawą i zamyśleniem w pracy. Jest czekaniem i tęsknotą.

Zachwył. To dobre słowo. Nigdy tyle nie czułam. Nigdy nie dałam się ponieść tak mocno i to wzbudza euforię.

Każdy dzień to setki wiadomości. Miliony słów. Dużo rozmów.

Nie zauważam listopada za oknem. Wiem tylko, że odliczam dni do jego przyjazdu.

Hania

Nie. Czekał. Nie, proszę. To za dużo. O jedną małą kroplę za dużo. Właśnie patrzę, jak czara goryczy się przelewa, jak wycieka, bez mojej kontroli, bez szans odwrotu.

– Nie wierzę w to. Nie wierzę, że pomimo wszystkiego, co ci powiedziałam, ty i tak w to wejdiesz.

– Hanka, posłuchaj. Opamiętaj się. Mam swoje życie. Ryzykuję, bo chcę. Nawet nie muszę ci się tłumaczyć, ale robię to, bo cię kocham.

– Ona jest wszystkim, czego nienawidzę. Jest kłamstwem, szyderstwem, dziwką i suką. Wszystkim naraz, a ty tak po prostu chcesz się o tym przekonać na własnej skórze! Nie zniosę tego!

– Zadzwoń, proszę, jak się uspokoisz. I nie wcześniej. Cześć.

Rozłączył się. Mój Kuba, mój ukochany braciszek, w ramionach tej modliszki. Uczucia wstydu, nienawiści i rychłego załamania mieszają się niebezpiecznie. Targają mną.

Krzyczy we mnie wiele głosów. Racjonalność kłóci się z emocją.

Tak, wiem, to jego życie, nie moja sprawa.

Nie, nie wytrzymam tego. Nie wytrzymam całego mojego życia, każdej kolejnej chwili, a nawet sekundy.

To chyba to. Czekałam na ten moment i nienawidzę siebie, że taką drogę wybrałam. A jednak. Musi się dziać tak wiele, abym zrobiła to, czego nie wolno robić.

Ucieknę.

To żadne rozwiązanie, to nie ta droga. Jasne.

Ale ja muszę.

*Bo czasem lepiej odejść od zmysłów, by nie zwariować*²¹. Święte słowa.

²¹ Edyta Bartosiewicz, *Jenny*, [w:] *Dziecko*, PolyGram Polska, 1997.

Nie muszę ani długo myśleć, ani specjalnie się zastanawiać. Wiem doskonale, jaki jest plan. Tak szalony, kretyński i nedorzeczny, że boję się sama siebie.

Ten pomysł zrodził się dokładnie wtedy, gdy usłyszałam o bilecie dookoła świata.

Nie stać mnie na taki bilet.

Na moim koncie widnieje dokładnie dwa tysiące złotych i pięćdziesiąt groszy.

Do tego wypłata, dwa i pół tysiąca złotych.

I samochód. Golf.

Działam jak postrzelona. Szybko, gwałtownie, ale też precyzyjnie. Kieruje mną pragnienie tak silne, że mogłabym zaplanować budowę trzeciej linii metra w Warszawie! I nie pomylić się ani o jotę.

Biegnę pod blok, muszę zrobić zdjęcia samochodu. Jak najszybciej.

Po czterdziestu minutach ogłoszenie widnieje na portalach, a ja zabieram się za przeglądarki.

Najpierw cel. Gdzieś daleko.

Czuję się, jakbym miała gorączkę. Emocje władają moim ciałem, przejmują nade mną całkowitą kontrolę. Sobota wydaje się snem.

Telefon dzwoni. Ludzie chcą oglądać auto.

Mówię, że jasne, ale sprawa jest wyjątkowo pilna. Niech biorą ze sobą gotówkę. O takiej okazji nawet nie śnili!

Umawiamy się na niedzielny poranek. To już jutro...

Golfa wystawiłam za trzy tysiące.

A więc jest szansa, że łącznie będę miała pięć i pół kafla. To wystarczy, żeby gdzieś ruszyć. Wszystko układa się w logiczną całość. Wypłata za dwa dni. Kolejna gotówka. Doskonale.

Wiem, że nie zasnę. Idę pobiegać.

Robię dziesięć kilometrów i ciągle mi mało. Biegnę dalej. Kiedy pokonuję piętnasty kilometr, w końcu czuję, że to już. Wystarczy.

Kładę się do łóżka. Serce wali, a w głowie myśli biegają nadal jak oszalałe. Nie dają chwili wytchnienia.

A więc to postanowione. Zrobię to. Dam nogę. Dlaczego? Bo nic się nie układa, nic nie jest tak, jak bym chciała. Nie widzę wyjścia, choć szarpałam już za tyle klamek, tyle razy okupowałam niejedne drzwi.

Co robię nie tak? Pewnie wszystko. Pewnie mogłabym iść do specjalisty, wszystko z czasem wyprostować, czegoś się o sobie dowiedzieć, stawić czoła.

Jestem zmęczona. Tak potwornie, strasznie zmęczona, że chyba niczego bardziej nie chcę, niż odciąć się od świata. Od wszystkiego.

Zostawić rodziców.

Zostawić Aśkę i Kamila.

Zostawić pracę.

Mało tych rzeczy do zostawienia. Mało kto będzie tęsknił.

Myślę o tym, że już nie będę pomagać matce i ojcu. Łzy poczucia winy mieszą się z pewnością siebie. Już nie chcę, za dużo, za długo. Nie jestem w stanie dłużej dźwigać brzemienia, muszą sobie poradzić. Przecież nie umrą... Zdziwią się, gdy mnie zabraknie. I chyba tylko tyle, bo potem poczują się dotknięci i opuszczeni. Będą mnie nienawidzić.

A Kuba? Teraz to ja powiem: „Mam swoje życie. Ryzykuję, bo tak mi się podoba”. Niech układa sobie związek z królową warszawskich dziwek i jadowitych żmij, a kiedy przyjdzie cierpienie, nie będę musiała na to patrzeć i osuszać jego łez.

W końcu morzy mnie sen. Przykrywa adrenalinę jak ciepły koc i na chwilę przynosi ulgę.

*

Niedzielny poranek to wielki stres. Czuję, jak poca mi się ręce. Muszę sprzedać auto dzisiaj. Nawet za bezcen, ale pieniądze są mi potrzebne.

W końcu o jedenastej przyjeżdżają kupcy. Na ich widok lekko się uśmiecham. Ona – tleniona blondynka z pieskiem, on – łysiejący pan z brzuszkiem w marynarce.

– Co się pani tak spieszy, hm? Jakieś buble wciska?

– Żadne buble. Jeszcze dzisiaj muszę kupić bilet lotniczy. Okazja jest. Auto zadbane, proszę sprawdzić.

O tak. Pan nie omieszka zbadać sprawy. Dziunia stoi i wierci mnie wzrokiem. Jegomość ogląda każdy centymetr auta. Stęka, poci się, kuca i wstaje. Dotyka, lustruje, krzywi się, kręci głową, potakuje.

– Można się przejechać?

– Jasne.

Ładujemy się do golfa. Niedzielna przejażdżka po osiedlu. Prowadzi dziunia. Musi wyczuć maszynę. Siedzę z tyłu, napięta jak struna. Boli mnie całe ciało, oddech mam płytki. Zaklinam każdą sekundę.

– Pani, auto wydaje się w porządku.

– Doskonale.

– Pani, dam dwa czterysta i szafa gra.

Nie tak szybko, proszę pana.

– Dwa siedemset to maks. Inaczej nic mi to nie da. Proszę brać, taka okazja się wam nie trafi. Auto jest zadbane, wszystko chodzi jak złoto.

– Pani, dwa i pół i kończymy te negocjacje.

– Dobra. Dwa i pół.

Amen.

Formalności, formalności, formalności. To się dzieje naprawdę. W mojej ręce ląduje dwa i pół tysiąca złotych, a oni odjeżdżają autem.

Lecę na tramwaj. Muszę podjechać do najbliższego wpłatomatu.

*

To dobry moment, żeby powiedzieć: kurwa. Jeden wpłatomat nieczynny, przejeżdżam pół Warszawy, żeby znaleźć drugi. Udaje się, ale w domu jestem dopiero o szesnastej.

Nic nie jem, z ledwością zmuszam się do picia wody.

Wczoraj podjęłam już decyzję, dokąd polecę.

Chile.

Niech będzie Chile. Chile na początek, może na dłużej, zobaczymy.

Jaki jest plan? Planu nie ma.

Wszystko mi wisi. Dolecę tam i już. Będzie, co ma być. Może wyląduję w rynsztoku, może będę pracować na czarno w kebabie, a może będę uczyć angielskiego.

Wszystko może, byle z dala od tej przebrzydłej, beznadziejnej, zagarniającej mnie rzeczywistości.

W końcu udaje mi się znaleźć bilet. Trzy tysiące osiemdziesiąt sześć złotych. Wylot za pięć dni. Nie z Warszawy, z Berlina.

Pięć dni na to, by pożegnać się ze starym życiem.

Pięć dni na to, żeby przygotować się do skoku.

Może wrócę, a może nie. Wołałabym nie.

I nikomu nic nie powiem. Ani Ewie, ani Kubie. Nawet Aśce i Kamilowi. Nawet rodzicom. Nie chcę się tłumaczyć, spowiadać, usprawiedliwiać. Nie chcę słuchać argumentów. Nie chcę!!!

Bilet jest mój. O Boże. Mój. Jestem złana potem i z ledwością oddycham. Ale

plan staje się rzeczywistością. Za pięć dni cały mój świat wyleci w kosmos, a ja ewakuuję się daleko, w zapomnienie.

Tam, w Chile, będzie nowa Hanka. Lepsza. Odważniejsza. Pewniejsza siebie. A jeżeli nie, to nauczy się taką być, i to szybko.

Ewa

Odliczam dni.

Dłużą się potwornie.

Skupiam się tylko i wyłącznie na nim. Może to źle? Nie wiem, ale kiedy tylko przestaję myśleć o Kubie, wraca wizja mojej matki siedzącej przed telewizorem.

Nie, nie. Dziękuję za takie obrazki. Nie chcę.

Powiedział Hance, że do mnie przyjeżdża. Pojechało ją, i to zdrowo. Stroi fochy?! Mała żmija, będzie kładła kłody pod nogi. Niech spierdala i zajmie się sobą.

Dzieje się coś dziwnego. Kiedy ją widzę, poraża mnie dziwna energia. Bije od niej jakaś łuna, chorobliwa i stresująca. Jest spięta i całkiem oderwana od rzeczywistości. Staram się jej unikać.

Nie jest to trudne.

To jednak nie koniec dziwności. Widzę, że zniknął samochód Hanki. Sprzedała go? Pożyczyła? Oddała do warsztatu? I od dwóch dni obserwuję, jak lata na pocztę z paczuszkami. Nic nie mówię Kubie. Nie chcę rozmawiać z nim o niej. Chcę, abyśmy rozmawiali o nas.

Piszemy do siebie codziennie i dzwoniemy. Jeszcze chwila, a napiszę mu, że go kocham. Bo na razie tak jest. Nie czułam nawet połowy tego co teraz do nikogo w życiu. To cudowne, emocjonujące, nowe.

Wciąż mam bałagan w głowie. Gorąco wierzę, że kiedy Kuba zagości w moim życiu, wszystko się zacznie układać. Nie wiem jeszcze, jak to wszystko będzie.

Ale...

Ale pomyślałam, że mogę jechać do niego na Podlasie. Dlaczego nie? Nic mnie tu nie trzyma, w zakichanej, śmierdzącej Warszawie. Inga będzie miała gdzie przyjeżdżać ze swoją nową superrodziną. A ja mogę robić biznes na agroturystyce, pić rano kawę na werandzie i kupować jajka na targu.

To ma sens. Czuję, że ta droga prowadzi prosto do celu. Do nowego życia, spełnienia.

Galopuję jak szalona, ale jestem pewna swego.

Tam, na Podlasiu, będzie nowa Ewa. Lepsza. Spełniona. Zakochana. Nie ma innej możliwości.

Rozdział 67

Hania

Sprzedaję, co się da. Wszystko, co mogę opchnąć natychmiast, wysłać szybko, bez zastanawiania się i sentymentów.

Kilka książek. Nieco biżuterii. Każdy grosz się liczy. Kupiłam bilet na autokar do Berlina. Wszystko zaczyna się spinać w całość.

Ewa patrzy na mnie dziwnie, czuję jej spojrzenie. Nie ma to znaczenia. Kuba ma do niej przyjechać dzień po moim wyjeździe. Niech się bawią, niech robią, co chcą.

Czuję, że znikam. To cudowne patrzeć na wszystko wokół i myśleć: „Mnie to już nie dotyczy”.

W pracy wykonuję szybki manewr. Tuż po otrzymaniu wypłaty, idę się zwolnić.

– Przykro mi. Ale sprawa jest pilna, muszę wyjechać z dnia na dzień. Dosłownie. – Stoję w gabinecie prezesa, ale myślami jestem już daleko. Bardzo.

Umowa zlecenie ma swoje uroki. Nikt nie może mnie zatrzymać. Nawet nie są szczególnie zdziwieni. Jedź, krzyżyk na drogę.

Amen.

Nie jest źle. Bilet kupiony. Pokój posprzątany. Zostawiam właściwie wszystko, poza laptopem, plecakiem i kilkoma ubraniami. Składam pismo, że wyjeżdżam z kraju i rozwiązuję umowę na abonament telefoniczny. Mało mnie obchodzi, jak na to zareaguje operator.

Właściwie nie sypiam, a pogrążam się w letargu.

Jeszcze kilkadziesiąt godzin.

*

Ostatni dzień w pracy. Wiem, jak go spożytkuję.

Przede mną pusty ekran Worda. Zaraz nasmaruję dzieło życia. Najprawdziwszy na świecie list pożegnalny.

Zanim to się stanie, biegnę do łazienki. Najpierw obłąkańczo się śmieję. Potem płaczę. Zajmuje mi to pół godziny.

Spokojna wracam do biurka.

Kochani.

Tacy kochani, że mam ich zamiar zostawić praktycznie bez pożegnania? Jeszcze raz.

Cześć!

Czytając moją wiadomość, możecie poczuć się zaszokowani.

Przepraszam.

Nie ma mnie już w Polsce. Jestem w Berlinie, za chwilę wsiadam do samolotu. Lecę do Chile, przez Madryt.

Mam bilet w jedną stronę. Nie wiem, ile czasu spędzę w Santiago, co będę do-

kładnie robiła i czy wyruszę w dalszą podróż. Na to liczę, ale niczego nie jestem w stanie przewidzieć.

Jeszcze raz was przepraszam, ale... pewnie mi nie uwierzycie, że to jedyna szansa, żebym odzyskała siebie. Ostatni rok pokazał mi, że w tym życiu nie ma dla mnie miejsca. Muszę spróbować zrobić coś szalonego. Coś innego.

Najpewniej będę się odzywała drogą e-mailową. Dajcie mi czas. Nie dobijajcie się. Muszę się oswoić, przeczekać, popróbować.

Postaram się napisać, gdy już uda mi się zakwaterować w Santiago.

Przytulam wszystkich

Hanka

Wiadomość wklejam do e-maila i zapisuję w kopiach roboczych. W pole adresaci wpisuję mojego ojca, Kubę, Aśkę, Kamila, Ewę i Ingę.

Tylko tyle osób na tym świecie musi wiedzieć, że znikam. Cała reszta nie istnieje. Przelotne znajomości, płytkie relacje.

*

Jest bardzo wcześnie. Ewa chyba śpi. Do autobusu mam jeszcze trzy godziny, ale nie chcę, żeby zauważyła moje zniknięcie. Zostawiam w łazience wszystkie kosmetyki. W pokoju też nie widać, żebym miała tu już nie wrócić.

Wychodzę z pojemnym plecakiem i torebką.

Zamykam za sobą drzwi. Klucze zostawiłam w szufladzie... Znajdzie je, prędzej czy później.

Siedzę na dworcu autobusowym, pogrążona w myślach. Pozwalam im błądzić, nie skupiam się na niczym konkretnym.

Długa podróż przede mną. Bardzo długa. A potem jedna wielka niewiadoma.

W brzuchu, oprócz kawy i suchej bułki, miele się panika i euforia.

Co ja robię? Kim jestem? Czemu wybieram ucieczkę?

Nie ma powrotu. Mogę przylecieć do Polski, ale w oczach bliskich będę chorą outsiderką. Naznaczoną.

Oddaję się słodyczy tego, że tak naprawdę nic nie wiem. Będę się teraz wychylała na każdym zakręcie, żeby zobaczyć, co przynosi los. Kolejny dzień, kolejna godzina.

Nie wiem, czy rodzice poradzą sobie finansowo. Wiem za to, że już dawno powinienam rzucić to brzemień. Oby tylko ojciec zrozumiał...

Myślę o Ewie, Kubie... O Indze, która oczekuje dziecka, o Aśce i Kamilu, którzy też planują powiększenie rodziny. Nie ma dla mnie miejsca wśród nich. Nie pasuję. Stara panna, singielka z przymusu, nie odnajdzie się pomiędzy ludźmi, którzy smakują spełnienia.

Podjeżdża autobus.

Zerkam ostatni raz na stację Młociny, na betonowe królestwo, i żegnam się już bez żalu. Dramatyzm jest mi niepotrzebny. Nowa Hanka nie dramatyzuje, tylko zawsze myśli o przyszłości.

Ewa

O, ja pierdole... Pokurwiło ją zupełnie?!

Patrzę na e-maila i już trzeci raz skanuję treść. Kuba rzucił się, żeby przeszkakować pokój Hanki. Wraca z kluczami i siada na łóżku. Jest w takim samym szoku jak ja. Milczymy dłuższą chwilę.

Dzwoni jego telefon.

– To ojciec Hanki – szepcze i wychodzi.

Analizuję sytuację.

Nie ma jej, trudno. Tracę lokatorkę i przedziwną towarzyszkę, która w ostatnich tygodniach stała się raczej kulą u nogi. Kuba bardzo to przeżyje... Ale przecież ona nie umarła!

I co więcej... Może ma rację? Może wybrała najlepiej, jak mogła?

Nawet nie wiem, gdzie leży Chile. Pewnie w chuj daleko.

Na chwilę łapie mnie zaduma. W sumie obydwie skoczyłyśmy na głęboką wodę. Faktycznie, sporo nas łączyło. Kiedyś być może się spotkamy. Inne, szczęśliwsze, spełnione.

Wraca Kuba. Jest blady, milczący. Mocno go przytulam.

– Chyba... nie czujesz się winny? Przecież to absurd! – Badam grunt. Odpowiada mi cisza i mocniejszy uścisk. – Kuba, ona nie umarła. Pojechała w podróż. Może to będzie przygoda życia, a jak nie, wróci do nas. Pomożemy, jeżeli będzie trzeba. Słyszysz?

*

Weekend mija w dziwnej atmosferze. Udaje mi się odwrócić uwagę Kuby, ale wiem, że myśli o niej i toczy wewnętrzny bój.

Jestem zazdrosna. Nie tak to sobie wymarzyłam.

Nie doceniam jednak Kuby. Szybko wraca na tor i roztacza nade mną opiekę. Pyta o rodzinny dom. Niedzielę spędzamy razem. I w końcu przychodzi pora na seks.

Jego dotyk, wzrok, każda komórka ciała wprawia mnie w drżenie. Nikt nigdy nie był tak blisko. Nie wiem, co robić. Chcę ukrywać emocje, ale to niemożliwe.

To on. Mężczyzna, na którego czekałam. Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu się pojawił.

Dygoczę, jakbym dostała ataku febry. Może to jest choroba? Odbiera mi kontrolę nad ciałem. Znowu płaczę.

Kuba mocno mnie przytula.

Nie zasnę dzisiaj. Kurczowo chwytam jego dłonie.

Chcę, żeby jego ciepło i zapach wniknęły w moje ciało. Chcę nim emanować, chcę korzystać z niego, gdy tylko poczuję, że mi źle...

Niech mi nikt nie mówi, że nie zasłużyłam. To jest moje i nie oddam ani chwili.

Ani sekundy.

Hania

Jestem Hania. Taka sobie Hania.

Stoję na lotnisku w Santiago i nie wiem, co dalej.

Jestem Hania, która narodziła się na nowo, ale bardzo się boi. Najbardziej tego, że jest starą Hanią, która zaraz wychyli się zza plecaka.

Nie. Jej już nie ma. Została na dworcu w Warszawie. Ona jest śmiercią i zatrąceniem. Ja jestem nową drogą i dobrym wyborem.

Zaczynam od szaleństwa. Jakiś głos w sercu podpowiada, że szaleństwem było tkwić w tantym życiu. Drugi głos szepcze, że robię dokładnie to co Ewa. Zatrącam się. Uciekam.

Uciszam obydwu.

Teraz ja przejmuję ster.

Nagle czuję, że ktoś podchodzi blisko. Unoszę głowę. O mało nie padam na posadzkę. Mężczyzna przytrzymuje mnie mocno i pomaga usiąść na ławce.

– Przepraszam. Nie chciałem pani wystraszyć. Po prostu... Jedziemy razem od samej Warszawy. Chciałem wcześniej się przywitać, ale... sam nie wiem.

Za to ja wiem.

Spoglądam w jego oczy. Są zmęczone, ale bardzo piękne. Udręka nie zdołała zatrzeć śladów boskości. Może jeszcze bardziej je wydobyła?

To on, na pewno. Rafał. Mężczyzna ze zdjęcia, które znalazłam w kuchni.

Przez moment zalewa mnie fala strachu. Przeszłość obmywa mi stopy, nie chce odpuścić. Wysunęła się z samolotu jak nienażarta strzyga, by tutaj również mnie stłamsić i złamać... Ale spoglądam na niego jeszcze raz i widzę, że on też skoczył. Zrobił dokładnie to samo co ja.

Przeszłość nie ma prawa nas tutaj dopaść. Rozprawimy się z nią w okamgnieniu, prawda?

– Nic się nie stało. Mam na imię Hania.

– A ja Rafał.

Uśmiecham się. Nie wiem jak on, ale ja idę przywitać Santiago. Czeka wystarczająco długo.

Rozdział 70

Ewa

– Ale dlaczego? – pytam naiwnie, chociaż wszystko już wiem.

– Ewa. Posłuchaj uważnie. Wiele o tym myślałem. To... wszystko jest za wcześnie. Dla ciebie. Ty ciągniesz za sobą taki ogromny bagaż i tak wielkie bagno, że za chwilę w nim utoniesz. A ja tylko pogorszę sprawę. Zamiast skupić się na sobie, będziesz udawała, że wszystko jest świetne. Ale nie jest. Za dużo w tobie siedzi. Musisz coś z tym zrobić. A ja muszę dojrzeć. Poczekać na ciebie, jeszcze nie wiem.

Leżę na łóżku. Łza dosięga telefonu.

– To przez Hanke? Uważasz, że to nasza wina?

– Nie...

– To co, do kurwy nędzy? Przegrałam? Tak po prostu? To ma być naučka od losu? Kara?! – gadam jak potłuczona. Aktorka z marnego teatru.

– W ogóle mnie nie słuchasz. Nikogo nie słuchasz od zawsze...

– Skoro nie ma już o czym rozmawiać, to cześć.

Rozłączam się. Nie chcę płakać przy nim. Wystarczająco dużo słabości okazałam... Teraz przychodzi za to zapłacić.

Chciałabym zamknąć oczy i już się nie obudzić.

Co ja, kurwa, narobiłam?

Otworzyłam puszkę jebanej Pandory. Wychyliłam nos z kokonu i od razu, na dzień dobry, dostaję po ryju.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Nie ma już odwrotu. Nie ma szansy na ratunek. Co zaczęłam, będę musiała skończyć.

Jestem niczym. Jestem zerem. Czy tak?

Leżę długo. Może już nigdy nie wstanę. Jednak zanim sen uwalnia mnie z udreki, w głowie rozbrzmiewają słowa Kuby. Skup się na sobie. Napraw, co zepsute. Zrozum. Poczekaj. Ułóż. Poskładaj.

I nie wołaj o miłość. To nie ten czas.

Warszawa – Świerklaniec – Dolistowo Stare 2016–2017

Podziękowania

Szczególne podziękowania... Przede wszystkim dla Kasi Kosakowskiej za piękne zdjęcia na okładkę. Kocham z Tobą pracować! Maryni Pawlak za odważne pozowanie do zdjęć. Piotrkowi Rejowskiemu za tytaniczną, profesjonalną i dokładną pracę nad materiałem filmowym. Adze Góreckiej za wyszperanie kontaktów... Ewelinie Fojcik za wieczne wspieranie mnie na każdym kroku. Oli Cebuli za to, że jest, obok Eweliny, zawsze pierwszą czytelniczką.